

JAK ŁATWOGANG ZDETRONIZOWAŁ OWSIAKA

O AGORZE BEZ ZNIECZULENIA



ZAMACH NA TRUMPA. CZY POLSKI PREZYDENT JEST DOBRZE CHRONIONY?



NIEWYGODNA PRAWDA O „CZTERECH PANCERNYCH"

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

19 (701) 2026
4–10 maja 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

MAFIA, ŚMIERĆ, ZONDACRYPTO

SZOKUJĄCE KULISY POTĘŻNEJ AFERY, W KTÓREJ ZBRODNIA PRZEPLATA SIĘ Z OSZUSTWEM NA MASOWĄ SKALĘ, A W TLE JEST WIELKA POLITYKA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

Numer w sprzedaży do 11 V 2026 r.

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek



Zyskujesz też możliwość
czytania SIECI
na telefonie



- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 5bce68f2a2

Wyścig do Poczobuta

W ubiegły wtorek przechodziłem obok Domu Polonii na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Od dawna wisi tam nieco wyblakły już plakat z podobizną Andrzeja Poczobuta. Przechodniom on nieco spowszedniał, wyjaśnia to zmieniana codziennie liczba: 1911 dni w więzieniu. Szybko przeliczyłem – kurcze, sporo ponad pięć lat. Dosłownie pół godziny później dotarła do mnie wiadomość przekazana przez prezydenta Karola Nawrockiego: Andrzej Poczobut został uwolniony i jest już na polskiej ziemi.

Należy dziękować Bogu, że polski dziennikarz i działacz mniejszości polskiej na Białorusi przeżył, że siepacze Łukaszenki go po prostu nie zabili. Swoje dostał, co widać na jego umordowanej twarzy, ale żyje. Ten niezwykle odważny mężczyzna stał się symbolem niezłomności, a w Mińsku (ani w Moskwie) takich symboli nie lubią.

Wielu modliło się więc o uwolnienie Poczobuta, ale wielu wykonywało także zakulisową pracę dyplomatyczną. Jak się okazało, kluczowa była prośba o pomoc, którą wystosował prezydent Karol Nawrocki podczas ubiegłorocznej, wrześniowej wizyty w Białym Domu. Donald Trump zrozumiał, że dla polskiego przywódcy jest to sprawa ważna i uruchomił machinę dyplomatyczną, której pracy efekt mamy widoczny dziś. Krótko mówiąc, bez nacisku Stanów Zjednoczonych Andrzej Poczobut nadalby marniał w białoruskiej tiurmie. Warto o tym mówić, bo nie każdemu przechodzi przez gardło nazwisko Nawrockiego w tej kwestii. Szkoda, bo jego zasługa jest, jaka jest, a on sam jej nie wyolbrzymia.

Sytuacja zrobiła się niezręczna, bo pierwsze fotografie wolnego Poczobuta zamieścili Bartosz Wieliński z „Gazety Wyborczej" i... premier Donald Tusk. Wielińskiego rozumiem, to wieloletni współpracownik i przyjaciel uwolnionego. W większości spraw diametralnie się z nim nie zgadzam, ale przyznaję, że o Andrzeja Poczobuta upominał się przez te wszystkie lata często i konsekwentnie. Ale skąd w tej historii Tusk?

Owszem, polski rząd (zresztą nie tylko polski) odegrał swoją rolę w uwolnieniu pięciu więźniów (z nazwiska znamy jeszcze jednego – to zakonnik z Krakowa Grzegorz Gaweł, absurdalnie oskarżony o szpiegostwo). Białorusini, a właściwie Rosjanie, dostali w zamian także pięć osób. W sumie nikogo ważnego, więc tym bardziej należy docenić to, że do grupy zwolnionych udało się włączyć Andrzeja Poczobuta. Nie stało się to przy okazji poprzednich wymian. Szczególnie rozczarowująca była informacja z sierpnia 2024 r., że Polska oddała szpiega Pawła Rubcowa, a Poczobut nie odzyskał wolności wtedy. Rubcowa witał na rosyjskiej ziemi sam Putin – to pokazało, że nie był on szeregowym agentem. Musiał być cenny. A my od lat słyszeliśmy od premiera Tuska, że Poczobut jest ważny, ale gdy przyszło co do czego, to Rubcowa oddaliśmy do za bezdurno.

Nie unikajmy też stwierdzenia, że polskie służby musiały wziąć udział w ubiegłotygodniowej wymianie. Tak, służby kierowane przez ministra Tomasza Siemoniaka mają w tej dobrej nowinie swoje zasługi. Można go nie szanować, można się z nim spierać, można głosować na kogo innego, ale jeśli dołożył cegiełkę, to czemu za to nie podziękować?

I w sumie nie ma z tym problemu. Tylko z nazwiskiem Nawrocki – powtórzę to jeszcze raz – w tej historii jest problem. Donald Tusk przyciskany przez dziennikarzy wydusił w końcu, że „słyszał o zaangażowaniu pana prezydenta". Serio. Coś tam słyszał. Ależ to małość, ale miernota, żeby nawet w momencie tak dobrym i szczęśliwym nie umieć się tym szczęściem podzielić. Żeby nie powiedzieć prawdy, a nie podstawiać się do fotki ze zmaltretowanym człowiekiem. Denerwuje mnie to, bo polscy patrioci z reżimem Łukaszenki mają naprawdę ciężko. A rząd koalicji 13 grudnia nie miał ich na uwadze, gdy nie było okazji, by coś z tego mieć. Przecież to Tusk i jego rząd zdecydowali o drastycznym zmniejszeniu dofinansowania dla mediów Związku Polaków na Białorusi. A dzisiaj robią sobie zdjęcia z Poczobutem.

Zapewne niechcący, ale solidnie za to uderzył w swojego kierownika wspomniany już Tomasz Siemoniak. W jednym z wywiadów powiedział, że z zażenowaniem obserwował „wyścig do Poczobuta", te karkołomne próby pokazania, że „Poczobut jest mój". Tusk wygrał ten wyścig, ale tylko dlatego, że ktoś go podwiózł i wystawił tuż przed metą.

Marcin Wikło



Autopromocja

eprasa.pl 5bce68f2a2

SIECI

spis treści



34 Ppłk Sienkiewicz chciał zamordować kulturę
Z prof. Piotrem Glińskim rozmawia Jerzy Szmit



41 Odstraszanie Rosji załamało się pod Ełkiem
Marek Budzisz



51 Kruszy się imperium Orbána
Aleksandra Rybińska

NA POCZĄTEK

5 **TUSK NA RZECZ BERLINA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **KONIEC DARMOWYCH LEKÓW DLA SENIORÓW?**
Dorota Łosiewicz

9 **PO TYM RZĄDZIE ZOSTANĄ POMNIKI NĘDZY**
Jan Pietrzak

9 **CZEGO NAS UCZY ZAMACH NA TRUMPA?**
Samuel Pereira

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **MAJÓWKA W CIENIU ZATOKI I BRUKSELI**
Daniel Obajtek

13 **TRÓJMORZE NA SZLAKACH**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA AGATY MROCZKOWSKIEJ-JĘDRZEJEWSKIEJ**
Michał Korsun

16 **NIEMIECKA SZKOŁA „MORALNOŚCI”**
Arkadiusz Mularczyk

17 **POLAKU, LECZ SIĘ SAM!**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

18 **KRYPTOPAŃSTWO**
Marek Pyza

KRAJ

23 **CHROŃMY PREZYDENTA POLSKI!**
Stanisław Janecki

26 **POLAK POTRAFI, PAŃSTWO NIE**
Dorota Łosiewicz

30 **O AGORZE BEZ ZNIECZULENIA**
Piotr Gursztyn

34 **PPŁK SIENKIEWICZ CHCIAŁ ZAMORDOWAĆ KULTURĘ**
Z prof. Piotrem Glińskim rozmawia Jerzy Szmit

38 **NIETYPOWY POSEŁ**
Konrad Kołodziejski

41 **ODSTRASZANIE ROSJI ZAŁAMAŁO SIĘ POD EŁKIEM**
Marek Budzisz

44 **CZERWONE KORZENIE MARSZAŁKA**
Mirosław Szumiło

ŚWIAT

48 **ZAMACH W HILTONIE**
Jan Rokita

51 **KRUSZY SIĘ IMPERIUM ORBÁNA**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

54 **WYSTARCZY WIELKIE KŁAMSTWO I JEDNO POKOLENIE**
Dariusz Matuszak

57 **ŚWIADOMOŚĆ WYOSTRZONA DO BÓLU**
Maciej Walaszczyk

HISTORIA

60 **NIEWYGODNA PRAWDA O „CZTERECH PANCERNYCH I PSIE”**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

63 **TYP NIEPOKORNY**
Jolanta Gajda-Zadworna

66 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: BOHATEROWIE „SNU NOCY LETNIEJ” I „THE FAIRY QUEEN”**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **SATANIC CONVENT**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **MAŁPA I UEFA**
Ryszard Czarnecki

74 **SYSTEM TRAFIA W PUNKT**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl 5bce68f2a2

BRONISŁAW WILDSTEIN

Tusk na rzecz Berlina

„Największym i najważniejszym pytaniem dla Europy jest to, czy Stany Zjednoczone są gotowe być tak lojalne, jak opisano to w naszych traktatach" – ogłosił w wywiadzie dla „The Financial Times" Donald Tusk. Wyjaśnił, że chodzi o to, czy Amerykanie pomogą zaatakowanym przez Rosję europejskim sojusznikom. Nawet doświadczeni dziennikarze tej gazety uznali wypowiedź za „niezwykłą". Spowodowała natychmiastową reakcję nie tylko ambasadora USA w Polsce, lecz także Białego Domu. Amerykanie wskazują, że od dekad to Stany są gwarantem bezpieczeństwa Europy, której wielu krajom zarzucić można, że nie wywiązują się ze swoich sojuszniczych zobowiązań.

Dzieje się to w trakcie wielkiej ofensywy dyplomatycznej Niemiec, które robią wszystko, aby Waszyngton zaakceptował je jako swojego głównego partnera. Aktywność ta przynosi owoce. Wiceszef Pentagonu Elbridge Colby oświadczył, że Waszyngton jest zadowolony, iż Niemcy zaczynają odgrywać główną rolę w zapewnieniu bezpieczeństwa Europie. Wystąpienie Tuska zwiększa nieufność Stanów wobec Polski i działa na rzecz oparcia się Waszyngtonu na Berlinie.

To już kolejna tego typu deklaracja ze strony obecnego rządu w Warszawie. U jej początku leżą skandaliczne wypowiedzi Tuska, który kandydata do najwyższego urzędu w USA nazwał kremlowskim agentem. Z najostrzejszym atakiem na Stany wystąpił szef polskiego MSZ Radosław Sikorski na tegorocznej konferencji bezpieczeństwa w Monachium. Potępił USA, m.in. za to, że chcą narzucić Europie swoje wartości, w tym koncepcję wolności. Sikorski nie wyobraża sobie wolności bez cenzury. O sprawie pisałem.

Trump wielokrotnie wypowiadał się pozytywnie o Polsce jako o wyjątkowo wiarygodnym sojuszniku amerykańskim. Podczas pierwszej kadencji dawał do zrozumienia, że relacje między naszymi krajami powinny być uprzywilejowane. Polska jako lider wschodniej flanki NATO byłaby w amerykańskim interesie.

Obecny rząd robi wszystko, aby do tego nie dopuścić. W prywatnych rozmowach jego przedstawiciele twierdzą, że sprawa jest przesądzona. Podobno Amerykanie postawili już na Niemcy, które wydają na obronę najwięcej w Europie, a ich budżet wojskowy jest czwarty co do wielkości na świecie. Dodatkowo ich militarne fundusze mają ulec radykalnemu zwiększeniu.

Tyle że dane te nie wyczerpują sprawy. Analitycy wskazują nieefektywność środków pompowanych w armię niemiecką. Zasilają one głównie jej biurokrację. Co piąty ochotnik rezygnuje ze służby w pierwszych sześciu miesiącach, a liczba oficerów i szeregowców Bundeswehry jest nieomal równa. Ostatni sondaż pokazał, że jedynie co szósty Niemiec gotów byłby bronić swojego kraju – w Polsce deklaruje to ponad 80 proc. obywateli. Strategiczne interesy Niemiec, które deklarują wprost, że walczą o globalną pozycję, nie są tożsame z amerykańskimi. Wydatki zbrojeniowe Berlin traktuje jako ratunek dla swojej buksującej gospodarki.

W tym stanie rzeczy Polska jawi się dla wielu ośrodków w USA jako sojusznik, z którym można wiązać zdecydowanie większe nadzieje. Rząd Tuska robi jednak wszystko, aby utrącić polskie ambicje i abyśmy w żadnym wypadku nie mogli stać się konkurencją dla naszych zachodnich sąsiadów. Jaskrawo widać to w dziedzinie gospodarki.

Położenie Polski, które stanowi źródło naszego geopolitycznego utrapienia, jest jednocześnie naszą ekonomiczną szansą. Leżymy na przecięciu wielkich szlaków, co otwiera przed nami perspektywę przekształcenia się w wielki, międzynarodowy hub, który generować powinien gospodarcze przewagi. Prowadziłoby to do podjęcia przez nas konkurencji z Niemcami, a wszystko wskazuje, że Tusk tego za żadną cenę nie chce. Naszą rolę widzi jako podwykonawcy ich projektów. Również politycznych. Jego rząd realnie zablokował wszystkie wielkie inwestycje, które miały się stać kołem zamachowym polskiego biznesu. Dotyczy to CPK, rozbudowy infrastruktury Bałtyku, drożności Odry czy budowy Via Carpatii, łączącej Bałtyk z Morzem Śródziemnym.

Politycznie gabinet Tuska stał się awangardą europejskich ataków na politykę USA. Niemcy robią wszystko, aby pozyskać sobie ekipę Trumpa, polski rząd robi wszystko, aby go do siebie zrazić. Trudno nie dostrzegać koincydencji tych wydarzeń.

Wyobrażenie, że możemy bezpieczeństwo swoje budować w oparciu o Niemcy, jest więcej niż naiwne. Berlin nie czuje się zagrożony przez Rosję i marzy o odbudowie z nią szczególnych relacji gospodarczych. Przynależność do UE nie przeszkadzała Angeli Merkel w budowie gazociągów bałtyckich, które napędzały również militarny potencjał Putina. Protestowało przeciw temu wiele europejskich państw. Kanclerz Niemiec odpowiadała, że energetyczne inwestycje leżą w interesie niemieckim, a innym wara od tego. Trzeba być więcej niż naiwnym, aby wyobrazić sobie, że rząd RFN poświęci cokolwiek dla dobra Polski.

Bardziej ponure, że polski premier zabiega głównie o interes niemiecki.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5bce68f2a2



Sygnalista nadaje

Ale Pan Premier Donald Franciszek dojechał tych Jankesów i pomarańczowego tyrana Trumpa! Powiedział zagranicznej gazecie, że nie wierzy Ameryce i że ten agresywny pakt NATO jest martwy. To dobrze, bo z powodu jego rozszerzania Rosja bardzo się denerwowała i musiała napadać na inne kraje. I jeśli teraz nie będzie NATO ani Jankesów w Europie, to Rosja będzie już spokojniejsza. Rosja taka, jaka jest. Kanclerska głowa z Pana Premiera. A Trumpowi głupio, że stracił przyjaźń 20. gospodarki świata. „Premier Tusk traci cierpliwość do Trumpa" – jak ładnie napisał dziennik „Rzeczpospolita". Kto by w ogóle miał do niego cierpliwość? I tutaj trzeba przywołać genialną myśl wybitnej osoby geopolitycznej Elizy Xero-Michalik, która od dawna postuluje wywalenie USA z NATO. Oraz zawarcie strategicznego sojuszu z Chinami. Słuszny postulat. Wielkie demokracje powinny trzymać się razem!

JE minister sportu i gimnastyki ***Rutnicki Jakub*** poinformował opinię publiczną o przygotowaniach do odparcia agresji (może rosyjskiej, ale raczej amerykańskiej, na Grenlandię – szczegółów nie znamy). Otóż rząd przeszedł bardzo tajne szkolenie. Uczestniczył w tym też ten Nawrocki z Gdańska, który bezprawnie zajmuje pałac prezydencki (dr Kontek nadal przelicza głosy). Niestety doszło do karygodnego skandalu. Minister został zaatakowany za to przez niejakiego Przydacza Marcina, siepacza z szajki tego Nawrockiego: „Trzeba stwierdzić, że ministrem rządu Rzeczypospolitej jest kretyn" – powiedział o Rutnickim. Apelujemy do ministra Żurka Waldka, aby tego tak nie zostawił. Musi być za to kara! Do ustalenia, z którego paragrafu: czy za obrazę ministra, czy za ujawnienie tajemnicy państwowej i lekarskiej dotyczącej pana ministra. W każdym razie kara musi być surowa. Co najmniej dwa lata aresztu tymczasowego.

Nie znaliśmy ***Sławka Mentzena*** od tej strony. Nie tylko zdolny optymalizator podatkowy, lecz także wybitny reżyser filmików EjAj i świetny żeglarz. Oglądaliście to dzieło, gdzie Sławek ratuje otumanionych wyborców PiS? Wyciąga ich z tonącej kaczystowskiej łajby i zabiera na swój piękny biały jacht. To akurat trudno zrozumieć, bo lepiej by było, gdyby ta małpioludzia czereda (copyright Jarosław Bratkiewicz w „Gazecie Wyborczej") zatonęła. Należy jednak podkreślić, że Sławek i jego ciągle Nowa (bo mało używana) Nadzieja to przykład odpowiedzialnej i konstruktywnej opozycji. Po co się męczyć z jakąś awanturującą się Pełczyńską-Nałęcz z Polski 2050, kiedy można rządzić z kimś tak zgodnym jak Sławek Mentzen? Dobre jest też to, że widać, iż nie zmarnowały się środki z KPO HoReCa. Warto było dać Sławkowi na jacht.

Teraz o pisowskich zbrodniach. Lista jak zwykle długa, ale musimy zacząć od czegoś bardzo zaskakującego. Jarosław Kaczyński atakuje kaczyzm, a konkretnie aneks do raportu z likwidacji WSI. Powiedział, że to tylko jakieś nudy i głupoty. „Tam jest wiele tez o charakterze publicystycznym, a nie takim, które powinny być w tego ro-

eprasa.pl 5bce68f2a2

dzaju dokumencie" – stwierdził. Szach-mat, prawaczki! Jeśli Kaczyński tak mówi, to wniosek jest tylko jeden: trzeba odtworzyć tę dzielną i zasłużoną formację WSI oraz WSW, WOP i LWP. Ten Kraju nie stać na to, aby tracić takie kadry jak generałowie Różański, Dukaczewski, Stróżyk i Pytel. Oraz płk Mazguła.

Zbrodnia numer jeden. I zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez Bielana Adama, który pokątnie serwuje posiłki na osiedlu Biały Kamień w Warszawie. Przestępstwo polega na doprowadzeniu zwierzątek domowych typu kot do niebezpieczeństwa utraty zdrowia, a nawet życia. Bielan utuczył koty do takich rozmiarów, że nawet Jarosław Kaczyński był tym wstrząśnięty. „Rozmawialiśmy o kotach" – przyznał się do winy Bielan. Kaczyński nie wierzył, że koty Bielana mogą być aż tak grube. Kazał mu je zważyć. Jedynym, co jest pocieszające w tej oburzającej historii, to fakt, że wietnamska społeczność Warszawy ograniczyła działalność w branży gastronomicznej. Macie szczęście, koty!

Zbrodnia numer dwa. Atak Przemysława Czarnka na wybitną specjalistkę, minister zdrowia Joannę dwojga nieznanych nazwisk. „Prywatyzacja służby zdrowia to nie jest rzecz nowa w naszym państwie i dążenie do prywatyzacji służby zdrowia nie jest rzeczą nową w naszym państwie, ona zawsze występuje wówczas, kiedy na czele rządu stoi Donald Tusk" – grzmiał Czarnek. No i co z tego? Co złego jest w prywatyzacji szpitali? Kapitał nie ma narodowości. Nie ma darmowych obiadów. Każdy jest kowalem swojego losu. Jak się nie ma miedzi, to się w domu siedzi (o ile ktoś taki ma dom). Jeśli kogoś nie stać na służbę zdrowia, to znaczy, że jest roszczeniowym nieudacznikiem. *Homo sovieticus* i inne takie.

Teraz zbrodnia niesłychana. ***Św. Juras***, patron walki z sepsą, został okradziony. Stracił prawie 300 mln zł przez jakiegoś oszusta internetowego, który nie był z Nigerii, ale warszawskiej Pragi. Niejaki Łatwogang z artystą wokalnym Bedoesem zebrali te pieniądze, nie korzystając ze wsparcia telewizji publicznej w likwidacji, policji, wojska, spółek Skarbu Państwa, fajerwerków i Złotego Melona. Naiwni ludzie wpłacali mu, myśląc, że w ten sposób ratują chore dzieci. Może i ratują, ale teraz te pieniądze nie trafią już do Jurasa. A z czego potem zapłacić za Woodstock i billboardy „Polacy, razem pokonamy to zło"?

Towarzyszyło temu smutne zdarzenie, które jest najlepszym dowodem na szkodliwość akcji wymierzonej w św. Jurasa. Populistyczny motłoch zaatakował wybitną autorytetkę moralną, prof. red. ***Monikę Stokrotkę-Olejnik***. Prof. Monika w dobrej wierze przyszła wesprzeć Łatwoganga. Wtedy doszło do rzeczy haniebnej. „Jest taka sytuacja, że ludzie piszą, proszą o zmianę, mówią, że też polityka tu jest jakaś. Ja osobiście nie wiem. Wy działacie jakoś politycznie?" – zapytał Łatwogang. „Ja jestem dziennikarką, ale działam niepolitycznie, działam społecznie, promuję książki, mam program" – odpowiedziała z godnością prof. Stokrotka. No i wyszła, bo nie ma co się bratać z taką hołotą, która nie wie, kto jest polityczny, a kto niepolityczny. I nie wie, kim jest Monika Olejnik!









Naiwniacy i prawacy się oburzają, a nam to imponuje. Chociaż nie jesteśmy beneficjentami tego procederu, bardzo chcielibyśmy nimi być. Bo mieszkanie na wynajem to nie towar, ale prawo. U gen. Jarka Stóżyka – czyli Jamesa Bonda demokracji walczącej – jako doradca pracuje pan pułkownik, który jest też czyścicielem kamienic. No i o to jest wielkie halo, jakby było o co. Pan płk Zbyszek Lichocki został oskarżony o udział w aferze reprywatyzacyjnej. Pracował kiedyś w tajnych służbach, ale został z nich wyrzucony w 2015 r. Na szczęście wrócił wtedy, gdy nastała praworządność (tak jak ją rozumiemy). Dobrze się stało, bo to człowiek z wielkimi zasługami. Już w PRL służył ludowej ojczyźnie jako prokurator wojskowy. Opiekuje się też starszymi ludźmi i reprezentuje ich w sądzie. Np. taki przypadek: płk Zbyszek zaangażował się w odzyskanie kamienicy na warszawskiej Pradze dla starszego pana – Józefa Pawlaka, lat 128. Pułkownik był nawet tak miły, że zgodził się przyjąć pieniądze dla pana Józefa na swoje prywatne konto. Symboliczne 2,5 mln zł. Nie wyszło, bo jacyś zawistni ludzie stanęli na przeszkodzie. Niedobrze! Bo dzięki takim ludziom jak płk Zbyszek jesteśmy przecież 20. gospodarką świata.

Uwaga! Brak oficjalnego potwierdzenia ze strony św. Jurasa, patrona walki z sepsą. Nie ma też stanowiska Onetu w tej samej sprawie. To na pewno prawackie kłamstwo, o którym informujemy, aby nikt nie dał mu wiary. Trolle piszą, że św. Juras obraził się na portal Onet z powodu swojego zdjęcia, które tam zamieszczono. Miał na nim wyglądać zbyt tłusto, podczas gdy on czuje się młodym bogiem. Onet w swej głupocie miał nie zmienić zdjęcia, więc św. Juras wywalił ich z obsługi WOŚP. No to pójdą na Pragę do tego Łatwoganga. Pardon! Oficjalnie to nie jest prawda (ale fajnie brzmi).

Fot. Liudmila Skwarczyńska, Andrzej Wiktor x2, Shutterstock

eprasa.pl 5bce68f2a2

WIEŻA BAB

Koniec darmowych leków dla seniorów?

Rzecznik rządu deklaruje, że nie wie o sprawie, co tylko pogłębia niepewność i wrażenie braku kontroli nad sytuacją

Kolejne tygodnie przynoszą coraz bardziej dramatyczne sygnały dotyczące ochrony zdrowia, która z ochroną i zdrowiem ma już niewiele wspólnego. To, co jeszcze niedawno wydawało się pojedynczymi decyzjami administracyjnymi, zaczyna się układać w szerszy obraz systematycznego ograniczania dostępu do świadczeń. Po cichu, etapami, ale konsekwentnie.

Od 1 kwietnia pacjenci w całej Polsce zaczęli odczuwać skutki nowych limitów na podstawowe badania diagnostyczne. Placówki medyczne działające w ramach kontraktów z NFZ otrzymały wyraźne sygnały o konieczności „racjonalizacji kosztów". W praktyce oznacza to ograniczenia w liczbie wykonywanych badań, takich jak rezonans magnetyczny, tomografia komputerowa, gastroskopia czy kolonoskopia.

Lekarze alarmują, że zmiany nie są jedynie kosmetyczne. W wielu przypadkach oznaczają one powrót do sytuacji sprzed lat, kiedy pacjent, nawet z pilnym skierowaniem, miesiącami musiał czekać na diagnostykę. Szczególnie dotkliwe są limity dotyczące badań obrazowych, które stanowią podstawę wykrywania chorób nowotworowych czy neurologicznych. Opóźnienia w diagnozie to nie tylko statystyka – to realne pogorszenie rokowań.

Dodatkowo pojawiają się informacje o ograniczeniach w finansowaniu zabiegów planowych. Operacje zaćmy, endoprotezy czy niektóre procedury kardiologiczne mają być wykonywane w mniejszej liczbie niż dotychczas. Szpitale, zmuszone do dostosowania się do nowych realiów finansowych, zaczynają tworzyć dłuższe listy oczekujących lub przesuwać terminy zabiegów na kolejne miesiące.

Na tym tle jeszcze bardziej alarmujące są doniesienia dotyczące możliwych zmian w programie darmowych leków dla seniorów. Program ten, wprowadzony przez Prawo i Sprawiedliwość, był jednym z filarów wsparcia dla osób powyżej 65. roku życia. Dla wielu seniorów oznaczał realne odciążenie domowego budżetu i możliwość regularnego leczenia chorób przewlekłych.

Jak ujawnił poseł PiS, były wiceminister zdrowia Janusz Cieszyński, obecna wiceminister zdrowia Katarzyna Kacperczyk miała zwrócić się do Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji o przygotowanie wariantu zakładającego usunięcie z listy 65+ części leków. Chodzi przede wszystkim o te preparaty, które – choć tanie jednostkowo – są masowo przepisywane i tym samym generują znaczące koszty dla budżetu publicznego.

Taka logika budzi sprzeciw wielu ekspertów. Wskazują oni, że właśnie te „tanie" leki są często stosowane w podstawowych terapiach, takich jak leczenie nadciśnienia, cukrzycy czy chorób serca. Ich ograniczenie może doprowadzić do pogorszenia stanu zdrowia pacjentów, a w dłuższej perspektywie zwiększyć koszty systemu poprzez konieczność leczenia powikłań.

Dodatkowe kontrowersje wzbudza sposób procedowania sprawy. Zlecenie dla Agencji nie zostało podane do wiadomości publicznej przez wiceminister Kacperczyk, co rodzi pytania o transparentność działań resortu zdrowia.

Sprawę skomentowała także Katarzyna Sójka, była minister zdrowia, posłanka PiS, która zwróciła uwagę, że to kolejne cięcie w służbie zdrowia dokonywane przez koalicję 13 grudnia. „100 konkretów KO. Głodowe posiłki w szpitalach? Zrobione. Cięcia na rezonans i kolonoskopię? Zrobione. Cięcia operacji zaćmy i limity do lekarzy? W drodze. A co teraz? Pani Kacperczyk z kierownictwa MZ właśnie się wygadała... IDĄ po BEZPŁATNE leki dla seniorów" – napisała na platformie X.

Tymczasem rzecznik rządu Adam Szłapka deklaruje, że nie wie o sprawie, co tylko pogłębia niepewność i wrażenie braku kontroli nad sytuacją.

Całość zaczyna wyglądać jak test wytrzymałości systemu i cierpliwości pacjentów. Jeśli obecny kierunek się utrzyma, dostęp do publicznej ochrony zdrowia będzie coraz trudniejszy. I pewnie o to chodzi. Tuż za rogiem czeka szeroko zakrojona prywatyzacja.

Najbardziej niepokojące jest jednak to, że zmiany te dotykają fundamentów systemu: diagnostyki, leczenia i farmakoterapii. A kiedy zaczynają się chwiać fundamenty, trudno mówić o stabilności całej konstrukcji. Dla wielu Polaków, nie tylko seniorów, może to oznaczać nie tylko większe wydatki, lecz także realne zagrożenie dla zdrowia i życia.

Dorota Łosiewicz



Po tym rządzie zostaną pomniki nędzy



Jan Pietrzak

Mam sympatyczną wiadomość. Zrobiłem eksperyment, urządziłem 89. urodziny, oczywiście z nieocenionym udziałem mojej żony. Imprezę udało się przetrwać (w moim wieku) dzięki kochanej rodzinie i fantastycznym przyjaciołom, co pozwala mi wypełnić obowiązki redakcyjne w postaci felietonu. Cieszycie się? Wiem, że nie wszyscy, ale na wszystkich nawet Pan Bóg nie może liczyć, a co dopiero ja, kabaretowy grzesznik. Upiłem się nieco piwem bezalkoholowym, żeby nie wyjść na gbura w gronie sprawdzonych smakoszy markowych trunków. Należy sprostać wiekowym obyczajom w tak szczególnym momencie życia. A moment jest zaiste wyjątkowy.

Niemcy właśnie rozkradają nam Polskę. Robią to inaczej niż w latach 1939–1945, ale efekt ma być taki sam: Polska w ruinie, Polacy w nędzy. „Tyn trynd" trwa od czasów saskich. Po dynastii Wettynów dobrali się do nas Prusacy z kajzerami i Bismarckiem, a po kolejnym skoku historii – hitlerowscy bandyci. Nie mogą się od nas odczepić, męczące typy. Przegrali dwie wojny światowe i od nowa wszczynają awanturę. Tym razem za pomocą organizacji zwanej Unią Europejską. Z naszą dobrą wolą i chrześcijańskim miłosierdziem zapisaliśmy się do tego grona, licząc na partnerskie relacje i pozytywne efekty. Słabo to wyszło.

Na początek owocnej współpracy doprowadzili do upadku polskich stoczni. W Hamburgu i Rostocku są lepsze. A te postkomunistyczne w Gdańsku i Szczecinie do niczego się nie nadają, bo pracowały głównie na zamówienia radzieckie. Tak to argumentowano. Dochodził ukrywany, lecz istotny pretekst ideologiczny. To ze stoczni w sierpniu 1980 r. ruszyła w Polskę fala buntu Solidarności. Likwidacja stoczni ma być przestrogą! To likwidacja nie tylko infrastruktury technicznej, lecz także legendarnego środowiska, które trzeba przeorientować. I tak się stało. Na miejscu zwycięskiego buntu pozostał jedynie Pomnik Poległych Stoczniowców. Pomnika zwycięskich stoczniowców nie ma nigdzie. Naturalnie pomniki martyrologii są absolutnie niezbędne, by ocalić narodową pamięć, a nasi okupanci nigdy nie pozwalali na pomniki polskich zwycięstw i są po prostu konsekwentni.

Szykuje się natomiast dość oryginalny w skali Europy wysyp pomników byłej „służby zdrowia". W tym szpitalu im. B. Bieruta uratowano od czerwonki tysiące pacjentów. W tej placówce pierwszej pomocy udzielono ostatniego namaszczenia okolicznej ludności... itp. Prawdę mówiąc, jakieś pomniki powinny stanąć również w miejscach powstawania najpopularniejszych polskich produktów: Syrenki, Malucha, Poloneza, Stara, Ursusa...

W Unii jesteśmy odstawieni od produkcji czegokolwiek, na czym można zarobić, bo tym w UE zajmują się Niemcy. My mamy jedynie kupować niemieckie produkty w niemieckich sieciach i cieszyć terenami „natura", dopóki nie wytną nam lasów... Fajny plan? Jak tu dożyć do setki, której mi wszyscy (z wyjątkami) życzą?

Czego nas uczy zamach na Trumpa?



Samuel Pereira

Gdy kilka dni temu prezydent USA Donald Trump został ewakuowany przez Secret Service z kolacji z korespondentami Białego Domu, podczas której padły strzały – rano w Polsce oglądaliśmy sceny, które słusznie kojarzą nam się z amerykańskich filmów. Od tego czasu wyszły na jaw nowe fakty dotyczące zamachowca – wroga nie tylko administracji Trumpa, lecz także chrześcijan, ale nie o tym jest mój felieton.

Po tej próbie zamachu przez nasz kraj przetoczyła się krótka dyskusja o sprawach bezpieczeństwa. Co zrozumiałe, w mediach wypowiadali się eksperci od służb i zabezpieczeń wizyt najważniejszych osób w państwie. W mojej głowie zaś odezwało się echo groteskowych słów Marcina Kierwińskiego z początku lutego br. „W ramach kontroli, którą wykonywałem jako MSWiA od października do połowy stycznia, jednym z obszarów, który podlegał szczególnemu badaniu, były plany ochrony najważniejszych osób w państwie i z tego są też konkretne wnioski, które będzie teraz wdrażał pan płk Jackowicz" – powiedział 9 lutego minister spraw wewnętrznych i administracji. Dlaczego te słowa brzmią groteskowo? Z kilku powodów.

Pierwszym jest przeprowadzanie politycznych czystek kosztem Służby Ochrony Państwa, co skutkuje rosnącym bałaganem w tej służbie, bo doświadczony dotychczasowy szef jest zawieszony, władza szuka kwitów na niego, a stojący niżej w hierarchii dyrektorzy albo zostali zwolnieni, albo są zastraszani. Młodsi to widzą i trudno, by czuli się komfortowo. Tak samo zauważają, jaka hipokryzja toczy obóz polityczny, który dziś kontroluje wszystkie służby. Przecież po kradzieży samochodu Małgorzaty Tusk, niebędącej osobą ochranianą (z własnej woli), zamiast ukarać tego, który za to odpowiadał – to jest płk. Tomasza Jackowicza – Kierwiński go awansował. Jakie wnioski miał więc wyciągnąć nominat Kierwińskiego w SOP, skoro przecież sam siebie nie wyrzuci ze służby? A dotyczy to innych spraw, o których przyjdzie czas powiedzieć. Jedyne, na czym im teraz zależy, to przejęcie „ochrony" prezydenta Karola Nawrockiego. Po co? Dla informacji czy czegoś jeszcze? Pozostawiam to pytanie otwarte.

eprasa.pl 5bce68f2a2

Szokujący Wujek Dobra Rada

To już naprawdę przypomina „Misia" i scenę, gdy por. MO Lech Ryś „sprawując społecznie dyskretną opiekę nad gromadką urwisów", zasypuje ich serią dziwnych porad sprowadzających się do unikania problemów i ich prawdziwych przyczyn. Rzeczywistość goni jednak satyryczną fikcję. Szef policyjnego związku zawodowego skupiającego niemieckich śledczych kryminalnych (BDK) Dirk Peglow zupełnie serio radzi Niemkom, aby wobec coraz większego zagrożenia gwałtem po prostu unikały kontaktów z mężczyznami.

W czasie rozmowy w państwowej telewizji ZDF, prowadzonej przez zadeklarowaną lesbijkę imigranckiego pochodzenia, oficer policji oświadczył, że relacja kobiety z mężczyzną zwiększa ryzyko przemocy psychologicznej lub fizycznej. Rzekomo mają to potwierdzać dane, według których co najmniej dwie kobiety dziennie stają się ofiarami zabójstwa lub próby zabójstwa oraz przestępstw seksualnych. Jego zdaniem kobiety dla swojego bezpieczeństwa powinny trzymać się z daleka od mężczyzn.

Tego rodzaju tezy nawet dla poddawanych od lat polityczno-poprawnej tresurze Niemców okazały się szokiem. Oczywiście później z rozmowie z „Bild" Peglow złagodził swoje stanowisko, twierdząc, że jego wypowiedź została zmanipulowana. Akurat w ostatnich dniach policja ujawniła dane z 2025 r., wskazujące na 9-procentowy wzrost gwałtów. A także na radykalny – aż o 72 proc. – skok przestępstw seksualnych. Ich sprawcami są często cudzoziemcy (38,5 proc. podejrzanych), mimo że stanowią tylko 15 proc. populacji.

Jak się okazuje, kobiety pochodzące spoza Europy znacznie rzadziej są obiektami napaści seksualnych lub ich nie zgłaszają (22,3 proc.), co wskazuje, że gwałciciele imigranckiego pochodzenia za cel wybierają głównie Niemki. Dane



wykazały również znaczącą nadreprezentację imigrantów (42,9 proc. wszystkich podejrzanych), przede wszystkim Afgańczyków i Syryjczyków, w przypadku przestępstw z użyciem przemocy. Jednak prawdopodobnie rzeczywisty wpływ imigracji na jej skalę jest znacznie większy, biorąc pod uwagę, że statystyki nie uwzględniają imigrantów, którzy już uzyskali obywatelstwo niemieckie albo zaliczają się do drugiego pokolenia cudzoziemców urodzonych w Niemczech. Ale nic nie pozostaje bez reakcji. Według nowych sondaży AfD już puka do drzwi Urzędu Kanclerskiego.

Maciej Walaszczyk

Dżihadyści biją Rosjan

Sytuacja w Mali, środkowoafrykańskim państwie, w którym sześć lat temu w wyniku zamachu stanu do władzy doszli orientujący się na Rosję wojskowi, szybko zmienia się na niekorzyść rządzących. Islamscy rebelianci, wsparci przez Tuaregów, rozpoczęli udaną ofensywę, która dotarła do stolicy kraju Bamako.

Dżihadyści zaatakowali jednocześnie kilka miast i baz wojskowych. Ich celem stało się m.in. międzynarodowe lotnisko w Bamako oraz kwatera główna rządowych sił zbrojnych. W trakcie walk zniszczono rezydencję ministra obrony, a sam minister zmarł w wyniku obrażeń. Zginął również szef wywiadu, co oznacza, że pięcioosobowa junta wojskowa straciła dwóch członków.

Dla Rosjan, którzy w Mali mają swój Korpus Afrykański, szczególnie bolesna okazała się porażka w okolicy położonego na północy miasta Kidal. „Są nagrania, na których widać linczowanie [białych] żołnierzy i ciągnięcie ich za ciężarówkami" – powiedziała dziennikowi „The Times" Nina Wilén z Królewskiego Instytutu Stosunków Międzynarodowych Egmont. W efekcie porażki siły prorządowe, w tym Rosjanie, w ramach wynegocjowanego z rebeliantami porozumienia opuściły miasto. Kidal był oblegany przez Tuaregów z Frontu Wyzwolenia Azawadu, którzy przyłączyli się do rebelii islamistów. Taki obrót wydarzeń jest wyjątkowo niekorzystny dla junty i wspierających ją Rosjan, bo Tuaregowie, którzy do 2012 r. walczyli w sąsiedniej Libii jako najemnicy po stronie Kadafiego, uchodzą za dobrze uzbrojonych, wysokiej klasy żołnierzy.

To, co się stało w Mali, może mieć teraz wpływ na sytuację w Burkina Faso i Nigrze, gdzie również trwa powstanie dżihadystów, a rządy sprawują promoskiewskie junty. Rząd w Mali jeszcze nie przegrał wojny, ale jak powiedział mediom Ibrahim Yahaya Ibrahim, ekspert z International Crisis Group, to, co się dotychczas wydarzyło, „podważa wizerunek Rosji jako potężnego państwa, które dysponuje zdolnością do pokonania nawet najbardziej zaciekłych rebeliantów".

Latem 2024 r. światowe i rosyjskie media informowały, że Tuaregów walczących z rządem Mali szkolą ukraińscy oficerowie sił specjalnych. Niewykluczone zatem, że rosyjsko-ukraińska wojna trwa również na kontynencie afrykańskim.

Marek Budzisz



eprasa.pl 5bce68f2a2

Indie

Brak gazu to brak żywności

Wśród indyjskich rolników pojawiły się oznaki paniki. Jej powodem są zakłócenia w produkcji nawozów azotowych wywołane przedłużającym się konfliktem w Zatoce Perskiej. Deficyt nawozów oznacza słabe plony i, co za tym idzie, poważne zagrożenie dla indyjskiego rolnictwa.

Indie, drugi co do wielkości konsument nawozów na świecie po Chinach, są w dużym stopniu uzależnione od importu zarówno surowców, jak i produktów gotowych, z których większość pochodzi z Zatoki Perskiej, głównie z Kataru (gaz ziemny) i Arabii Saudyjskiej (nawozy). Wojna w Iranie oraz blokada cieśniny Ormuz doprowadziły do przerwania dostaw, co stawia pod znakiem zapytania tegoroczne zbiory.

W Indiach są trzy sezony siewu. Najważniejszy przypada na porę monsunową i rozpoczyna się w czerwcu. Wtedy sieje się m.in. ryż, kukurydzę i soję. Zazwyczaj już na początku maja rolnicy zaopatrywali się w nawozy – głównie mocznik – który jest niezbędny do uzyskania wysokich plonów na jesieni. Jest on powszechnie stosowany jako podstawowy składnik odżywczy, a jego roczne zużycie wynosi 35–40 mln t. Chociaż jego znaczna część jest wytwarzana w kraju, to produkcja bazuje na importowanym gazie ziemnym (aż 85 proc. gazu w Indiach pochodzi z importu).

Rolnicy nie mają więc pewności, czy uda im się kupić odpowiednią ilość nawozów, tym bardziej że ze względu na niedobory gazu krajową produkcję ograniczono o 30 proc. W marcu zapasy mocznika wynosiły zaledwie 6,2 mln t. I choć władze zapewniają, że do czerwca uda się zaspokoić wszystkie potrzeby, to nikt nie wie, co będzie później. Jeśli bowiem rolnicy zużyją teraz większość nawozów, to zabraknie ich w kolejnym sezonie prac rolnych, który startuje już w październiku. Wtedy wysiewa się zboża, przede wszystkim pszenicę, owies i jęczmień.

W obawie przed najgorszym scenariuszem rolnicy zaczęli skupować nawozy na zapas. Sprzedaż nawozów jest dotowana przez państwo, ale zagrożenie deficytem wywołało spekulację. W Pendżabie, który jest głównym spichlerzem kraju, takiej sytuacji nie było od co najmniej 35 lat.

Indie, które w latach 60. XX w., podczas tzw. zielonej rewolucji, zdołały zmodernizować rolnictwo i osiągnąć samowystarczalność żywnościową, znów stoją przed widmem niedoborów. Jeśli konflikt w Zatoce Perskiej nie zostanie szybko wygaszony i nie zostaną przywrócone dostawy surowców, to bezpieczeństwo żywnościowe najludniejszego kraju świata może być zagrożone.

Konrad Kołodziejski

Piękni czy zdrowi?

Japońska służba zdrowia boryka się z niedoborem specjalistów, mimo że uczelnie medyczne co roku kształcą tę samą liczbę studentów. Braki odnotowują zwłaszcza takie dziedziny jak chirurgia, medycyna ratunkowa, pediatria i medycyna wewnętrzna, choć studia w tych specjalizacjach klinicznych od lat podejmuje stała liczba chętnych.

Problem polega na tym, że coraz większa liczba młodych lekarzy porzuca wyuczone kierunki, by przejść do prywatnych klinik medycyny estetycznej. Zamiast leczyć choroby i ratować życie, zajmują się korekcjami, liftingami, wypełniaczami, laserami, peelingami, botoksem i kwasem hialuronowym.

Powód ich wyboru jest prosty. Po pierwsze, aby uzyskać licencję lekarską, należy odbyć bardzo długi i wymagający staż w szpitalach publicznych, natomiast w placówkach medycyny estetycznej można podjąć pracę od razu, bez stażu i licencji. Po drugie, tradycyjna kariera w szpitalu wiąże się z wyczerpującymi zmianami, stresem i odpowiedzialnością prawną za ewentualne błędy lekarskie. W odróżnieniu od niej medycyna estetyczna oferuje regularne godziny pracy, spokojne, niestresujące zajęcie i znacznie niższe ryzyko prawne. Wreszcie po trzecie, zarobki chirurga plastycznego w prywatnej klinice piękności są niemal dwukrotnie wyższe niż chirurga w normalnym szpitalu.

Wspomniane zjawisko zaczyna przybierać rozmiary kryzysu strukturalnego, który grozi brakiem lekarzy zwłaszcza na terenach wiejskich. Stawia też pytanie o wykorzystanie środków publicznych. Koszty kształcenia lekarza ponosi bowiem budżet państwa, czyli każdy podatnik, który potem nie otrzymuje zapewnionej mu opieki, a zyski trafiają do sektora prywatnego.

Japończycy bacznie przyglądają się Korei Południowej, która ma te same problemy. Rząd w Seulu postanowił temu zaradzić i w 2004 r. podjął decyzję o zwiększeniu liczby studentów o 2 tys. rocznie. Wywołało to masowy strajk, w którym wzięło udział 93 proc. stażystów lekarskich. Rozwiązanie problemu nie jest więc proste, ale trzeba go szukać.

Grzegorz Górny

Japonia



Fot. Shutterstock x4

eprasa.pl 5bce68f2a2

Majówka w cieniu Zatoki i Brukseli

Tylko silna, niepodległa i odważna polityka energetyczna zapewni, że kolejne majówki nie będą psute droższymi paragonami i upokarzającą świadomością, iż w Brukseli ktoś obcy decyduje, ile mają kosztować polski prąd, benzyna i chleb



Wróciłem z majówkowego wyjazdu z mieszanymi uczuciami. Rodzinny grill, pierwszy w tym roku wypad za miasto, spotkania z bliskimi – wszystko to powinno smakować wolnością i beztroską. Zostawiło jednak przede wszystkim rachunek. Na stacji paliw, w sklepie i przy rozliczeniu domowych mediów. „Witajcie w nowej normalności Tuska" – pomyślałem, z goryczą patrząc na kwotę na paragonie.

Ceny na stacjach, nawet przy doraźnych limitach, są boleśnie wysokie. Wojna w Zatoce Perskiej, ataki na infrastrukturę i blokada cieśniny Ormuz uderzyły w globalny rynek ropy i gazu. Droższe paliwo, droższe nawozy, droższy transport – koszyk zakupów na majówkę ważył w portfelu znacznie więcej niż rok temu. Globalny kryzys jest bezlitosny.

Ale najgorsze jest to, co dorzuca do tego rząd Donalda Tuska. Europejski Zielony Ład, pakiet Fit for 55 i system ETS to nie regulacje – to otwarta wojna Brukseli z polską gospodarką. Ceny uprawnień do emisji CO bezlitośnie windują rachunki za prąd i ciepło, a nadchodzący ETS2 ma brutalnie dobić ogrzewanie domów, transport i ceny żywności. Polska, kraj bogaty w węgiel i realne potrzeby energetyczne, płaci w tym zielonym szaleństwie najwyższą cenę w całej Unii Europejskiej. W czasie, gdy w Zatoce Perskiej płoną instalacje, Ursula von der Leyen z fanatyczną determinacją wciska ideologiczną agendę, jakby celem było nie ratowanie klimatu, lecz zniszczenie konkurencyjności państw takich jak Polska.

Rząd Tuska, zamiast walczyć o przetrwanie polskiej gospodarki, zamiast wyrywać derogacje, blokować absurdalne terminy i chronić polski przemysł oraz rolnictwo – po prostu kapituluje. Zamiast głośnego „nie" w Brukseli słyszymy uniżone mamrotanie o „dialogu", „monitorowaniu sytuacji" i „europejskiej solidarności". To nie jest kompromis. To zdrada interesu narodowego. To dobrowolne oddanie suwerenności w zamian za oklaski w Brukseli. Polacy płacą podwójny rachunek – raz za skutki wojny w Zatoce Perskiej, drugi raz za haniebną uległość wobec unijnych ideologów.

Gorzką ironią jest to, że jeszcze niedawno Polska budowała prawdziwe bezpieczeństwo energetyczne. Rząd Zjednoczonej Prawicy z determinacją zwiększał dywersyfikację – terminale LNG, Baltic Pipe, projekty chroniące nas przed uzależnieniem. Dziś prezydent Karol Nawrocki kontynuuje tę odważną, patriotyczną linię – stawia na polski interes, na rozwój własnego potencjału wydobywczego, na węgiel jako stabilne źródło w okresie przejściowym i na atom jako strategiczną przyszłość. To jest polityka suwerennego państwa.

Tusk wybrał drogę kolaboracji z Brukselą. Majówka minęła, ale rachunki zostały – i będą rosły. Polacy wrócili do codzienności i boleśnie odczuwają skutki tej antypolskiej polityki. Lekcja jest brutalna i jasna: nie wystarczy doraźne łatanie i propagandowe komunikaty. Potrzebujemy rządu, który polską rację stanu stawia ponad brukselskimi dogmatami, rządu gotowego powiedzieć głośne, twarde „nie", gdy wymagają tego suwerenność, dobro obywateli i przyszłość narodu.

Bo tylko silna, niepodległa i odważna polityka energetyczna zapewni, że kolejne majówki nie będą psute droższymi paragonami i upokarzającą świadomością, iż w Brukseli ktoś obcy decyduje, ile ma kosztować polski prąd, benzyna i chleb.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 5bce68f2a2

Trójmorze na szlakach



Marta Kaczyńska-Zielińska

W inicjatywie Trójmorza uczestniczą Austria, Bułgaria, Czechy, Estonia, Chorwacja, Łotwa, Litwa, Węgry, Polska, Rumunia, Słowacja, Słowenia i Grecja. Partnerami strategicznymi są Komisja Europejska, USA, Niemcy, Japonia, Hiszpania oraz Turcja. Ukraina, Mołdawia, Albania i Czarnogóra uczestniczą w projekcie jako kraje stowarzyszone.

W spotkaniu uczestników inicjatywy Trójmorza w Dubrowniku w kwietniu br. po raz pierwszy wzięła udział Turcja jako „partner strategiczny" – ten status uzyskała podczas szczytu w Warszawie w 2025 r. Według informacji prasowych w trakcie spotkania Ankara miała podkreślić rosnące znaczenie łączności, wskazać, jak napięcia geopolityczne i trwające konflikty ujawniły słabości globalnych łańcuchów dostaw i bezpieczeństwa energetycznego oraz wezwać do dywersyfikacji szlaków i zasobów. Turecki minister miał się odnieść do projektów, takich jak Środkowy Korytarz i Droga Rozwoju, przedstawiając je jako uzupełniające się szlaki wspierające globalny handel.

Korytarz Środkowy, znany również jako Transkaspijski Międzynarodowy Szlak Transportowy (TITR), łączy Chiny i kraje europejskie przez Kazachstan, Morze Kaspijskie, Azerbejdżan, Gruzję i Turcję, omijając rosyjski Korytarz Północny i Kanał Sueski, skracając czas dostawy między Europą a Azją do 15 dni w porównaniu z tradycyjnymi trasami, które wymagały 15–60 dni. Centralna rola Turcji na szlaku handlowym sprawia, że kraj ten staje się handlowym hubem, łączącym bezpośrednio 21 państw. Poprzez linię kolejową Baku–Tbilisi–Kars i tunel Marmaray Turcja zapewnia połączenie z rynkami europejskimi, omijając tradycyjne szlaki handlowe na północy.

Tracą na tym Małaszewicze, które do 2022 r. były kluczowym hubem logistycznym łączącym Azję z Europą przez Rosję i Białoruś. Polska może jednak zyskać, budując nowe węzły dzięki Via Carpatia i stając się częścią systemu transportowego łączącego Azję z Europą z pominięciem Rosji. Chiny mogą postrzegać Korytarz Środkowy jako przedłużenie Inicjatywy Pasa i Szlaku (BRI), zmniejszając zależność od rosyjskich szlaków tranzytowych, a jednocześnie poprawiając dostęp do rynków europejskich.

Usprawnienie przepływu towarów Korytarzem Środkowym borykającym się z niedostatkami wystarczająco przepustowej infrastruktury wymaga znacznego zaangażowania finansowego. Z punktu widzenia Chin Korytarz otwiera potencjalne możliwości inwestowania w budowę dróg, portów i linii kolejowych. Efekty tego zaangażowania można obserwować m.in. w państwach afrykańskich.

W ostatnich miesiącach Azja Środkowa stała się jednak bliższa Stanom Zjednoczonym i jest otwarta na amerykańskie wsparcie modernizacji Korytarza Środkowego. Oprócz bezpośrednich korzyści gospodarczych USA mogą w ten sposób równoważyć wpływy Rosji i Chin. Udoskonalenie połączeń pozwoliłyby na realizację ambicji krajów regionu, a Stany Zjednoczone zyskałyby dostęp do ogromnych złóż minerałów i ziem rzadkich.

Projekt Droga Rozwoju, ogłoszony w 2023 r., to z kolei umowa o transporcie lądowym i kolejowym, której inicjatorami są Irak, Turcja, Katar i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Projekt ma na celu ułatwienie przepływu towarów z irackiego portu Grand Faw bezpośrednio przez Turcję do Europy. Grand Faw ma się stać największym portem kontenerowym na Bliskim Wschodzie. Projekt zakłada budowę linii kolejowej i równoległej autostrady, łączącej ten port z granicą turecką, skąd będzie ona połączona z Europą turecką siecią kolejową.

Według ekspertów Droga Rozwoju mogłaby radykalnie skrócić czas o 10–15 dni i o 30 proc. obniżyć koszty tranzytu towarów eksportowanych z Zatoki Perskiej do Europy. Przyniosłoby to korzyści zarówno gospodarce Zatoki Perskiej, jak i Europie, a w szczególności Trójmorzu, wyposażonemu w prowadzące przez Polskę Via Carpatia i w przyszłości w Rail Carpatia – łączące Saloniki z Kłajpedą poprzez Grecję, Bułgarię, Rumunię, Węgry, Słowację, Polskę i Litwę. Wschodnia Polska mogłaby się stać kluczowym węzłem między Azją, Bałkanami a Bałtykiem oraz strategiczną częścią UE i NATO.

REKLAMA



23/0426/F

eprasa.pl 5bce68f2a2



Walizka Agaty Mroczkowskiej-Jędrzejewskiej

psycholog, mamy nastolatków

Codzienne prowadzę rozmowy na różne tematy z obcymi ludźmi, a także wymieniam uśmiechy na ulicy ze świadomością, że chwila serdeczności poprawia jakość życia. Rozwój technologiczny świata spowodował rozluźnienie więzi międzyludzkich. Człowiekowi jako istocie społecznej od najmłodszych lat powinna towarzyszyć wielopokoleniowa duża rodzina jako plemię gwarantujące wsparcie i naukę. Obecnie mamy diametralnie odwrotny trend, w którym dziecko już od najmłodszych lat jest oddawane do żłobka, aby oboje rodzice mogli pracować, a bliska rodzina spotyka się tylko podczas świąt. Konsekwencjami są poczucie pustki i pandemia depresji, ale gdyby ludzie po prostu szczerze ze sobą rozmawiali, bliscy przytulali się, to jestem przekonana, że byłoby mniej chorób wynikających z osamotnienia. Niestety spory procent Polaków nie podejmuje próby wysłuchania i zrozumienia się w ramach wartościowej dyskusji.

Na fali trendów często robimy rzeczy nieistotne, a wydaje nam się, że się rozwijamy. Pniemy się po szczeblach kariery, żyjemy głównie pracą, często zaniedbując kontakty międzyludzkie. Nie rozumiem tego, bo dla mnie największym szczęściem jest rodzina, bliscy i życzliwe osoby wokół. Ciekawe ćwiczenie, które może nam pokazać, co tak naprawdę jest dla nas najważniejsze po latach: „Gdybyś cofnął się do 2006 r., co byś zrobił w pierwszej kolejności?". Ja pobiegłabym do pokoju dziadków i mocno ich przytuliła.





LEKTURY

Zawsze zabieram książkę poruszającą temat, który aktualnie mnie interesuje oraz magazyn o tematyce zdrowotnej. W tym wszystkim mam świadomość, że przede mną jest jeszcze mnóstwo ciekawych tematów do zgłębienia. Ciekawostkami dzielę się na Instagramie: @agatanaturalnie.



Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Agaty Mroczkowskiej-Jędrzejewskiej

eprasa.pl 5bce68f2a2





PODUSZKA

Nawet na jedną noc muszę mieć swoją poduszkę – „jasiek" – wypełnioną łuską gryki oraz mały materacyk z gorczycą pod lędźwie, który jednocześnie ma działanie rozgrzewające, np. przy różnych bólach.



AKCESORIA

Ponieważ się nie maluję, stosuję inne akcesoria dodające uroku i podkreślające mój styl, np. klamry do włosów, kolorowe spinki czy klipsy z piórkami. Zawsze mam przy sobie okulary przeciwsłoneczne, które są jednocześnie zapasowymi okularami korekcyjnymi.

KOSMETYKI

Na co dzień i w podróży używam moich sprawdzonych kosmetyków i suplementów polskiej firmy Colway, które bazują na kolagenie rybim. Dzięki nim omijają mnie bóle kręgosłupa, a mojej mamie pomogły w problemie sercowym.





ŚWIECZKA

Wożę ze sobą także małą świeczkę z wosku pszczelego typu tealight jako miły akcent zapachowy na wieczór w pokoju hotelowym, relaksującą i oczyszczającą powietrze.



SÓL, HERBATA, OLIWA

Obowiązkowo wożę ze sobą sól kłodawską kamienną niejodowaną, herbatę z melisy i mięty – oczywiście sypaną, aby unikać pyłu herbacianego zamiast liści – oraz dobrą portugalską oliwę.



KLAPKI I SZLAFROK

Uwielbiam chodzić boso po naturalnych nawierzchniach, więc zawsze zabieram ze sobą klapki, by łatwo móc je zrzucić i pochodzić po trawie czy piachu, a w dłuższych podróżach, np. w samolocie, zakładam je, aby nogi „pooddychały". Zabieram też ze sobą bawełniany szlafrok, żeby nie musieć korzystać z hotelowych ręczników.

WODA

Zawsze mam przy sobie butelkę na wodę ze szkła borokrzemowego lub w podróżach zagranicznych plastikową butelkę bez BPA z filtrem węglowym, aby zapewnić lepszą jakość wody.





ŚNIADANIÓWKA

Przy dłuższych wyjazdach zabieram ze sobą pudełko z własnym jedzeniem, aby nie musieć korzystać z fast foodów (pakuję bezglutenowe grzanki, warzywa, owoce).

OLEJ KOKOSOWY

To ważny element towarzyszący mi na co dzień i w podróży. Oleju kokosowego używam do płukania rano jamy ustnej (w domu nawet częściej oleju słonecznikowego), stosuję także pastę do zębów bez fluoru z hydroksyapatytem do odbudowy szkliwa.



UBRANIA

Koniecznie różnokolorowe, w których czuję się szczęśliwa. Z zasady raczej unikam czarnych, bo mam wrażenie, że przyciągają negatywne emocje, często nie nasze.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl 5bce68f2a2

Niemiecka szkoła „moralności”



Na pewno pamiętają państwo, jak niemal rok temu wręczyłem raport o stratach wojennych Polski młodemu niemieckiemu europosłowi, który po wygranej prezydenta Karola Nawrockiego groził naszemu krajowi, że być może znów trzeba będzie zablokować środki unijne.

W ubiegłym tygodniu wróciłem do tej sprawy. W ramach debaty nad budżetem UE na kolejne siedem lat zadałem posłowi Körnerowi pytanie, co sądzi o utworzeniu w Unii Europejskiej funduszu na rzecz ofiar II wojny światowej.

Odpowiedź, którą usłyszałem, była niezwykle bezczelna. Mentorski ton, pouczanie i wypominanie Polsce, że korzysta z funduszy europejskich... A do tego sugestia, że w imię jedności Europy nie należy wracać do przeszłości, lecz skupić się na budowaniu przyszłości – tak jak on rzekomo robi.

Tyle że środki z unijnych funduszy nie są żadnym „prezentem”, lecz elementem wspólnej polityki, współtworzonej przez wszystkie państwa członkowskie. Co więcej – nie oszukujmy się – często są obwarowane warunkami i służą również interesom największych państw, w tym Niemiec.

Zamiast rzeczowej rozmowy pojawiły się więc sugestie, że nie doceniamy unijnych pieniędzy. Jakby fundusze miały być narzędziem do uciszania debaty o niemieckiej winie.

Niemiecki poseł powinien zrozumieć, że nie ma to nic wspólnego z tym, iż Niemcy do dziś nie rozliczyły się z reparacji wojennych wobec Polski. Próba przykrycia tego tematu opowieścią o „europejskiej solidarności” brzmi dziś jak wygodna wymówka. Ta narracja jest po prostu bezczelna.

Bo prawdziwa solidarność nie polega na wzajemnym pouczaniu, lecz respektowaniu lekcji z historii. Nie polega też na zamiataniu trudnych spraw pod dywan w imię politycznego komfortu, lecz wyciąganiu z nich wniosków.

Jeśli ktoś naprawdę chce budować przyszłość Europy, powinien mieć odwagę zmierzyć się także ze swoją przeszłością. Bez tego nie będzie ani zaufania, ani prawdziwego partnerstwa.

Arkadiusz Mularczyk

Przejrzeć się jak w lustrze

Z Kamilą Siwińską, reżyserką, autorką scenografii i projekcji najnowszej premiery Polskiej Opery Królewskiej, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



Dlaczego zdecydowała się pani wystawić właśnie „The Fairy Queen” Henry’ego Purcella?

Kamila Siwińska: Uwielbiam momenty, w których teatr łączy się z życiem i tutaj też jako twórca odnajduję wiele swoich doświadczeń. To pozwala na własną interpretację, na zanurzenie się i w warstwę muzyczną (w tym przypadku nieprowadzącą dramaturgicznej ścieżki, ale komentującą wydarzenia), i w teksty wyznaczające sens całości.

Czym jest semi-opera?

Z jednej strony czerpiemy z klasycznego operowego gatunku, z drugiej szukamy przestrzeni między teatrem operowym i dramatycznym. Łączymy te światy, dziś tak od siebie odległe, a także zaciekawione i zachwycone sobą nawzajem. W spektaklu – na żywo i w projekcjach – występują również aktorzy Teatru Studio. Mam nadzieję, że to początek dłuższej współpracy.

Jaki przekaz niesie dziś „Królowa wróżek/elfów”?

Bardzo uniwersalny. To opowieść o toksycznej relacji, która – często mylona z miłością – jest uzależnieniem emocjonalnym. Nie daje nic oprócz niespełnienia, frustracji i zagubienia siebie.

Jest pani absolwentką wydziału Reżyserii Dramatu warszawskiej Akademii Teatralnej, a także wydziału Multimediów ASP w Poznaniu. Czy przełożyło się to na współczesną koncepcję całości?

Nawiązujemy do epoki baroku, a jednocześnie chcemy, by dzisiejszy widz mógł się przejrzeć w tej historii jak w lustrze.

Czytaj też: Moje szlaki str. 68

Fot. G. Mart, mat. Polskiej Opery Królewskiej

eprasa.pl 5bce68f2a2

Polaku, lecz się sam!



Służba zdrowia i jej kondycja zupełnie nie interesują dziś młodych, silnych i pełnosprawnych Polaków. Dlatego większość naszych rodaków nie bierze sobie do serca likwidacji szpitali i rosnących kolejek do leczenia przez NFZ. A ponieważ demografia znajduje się w totalnej zapaści, zamykanie porodówek też nie szokuje przedstawicieli „ostatniego pokolenia".

Ale to się zmienia! Skażona żywność z Ukrainy czy Mercosuru i zatrucie środowiska (woda, powietrze, gleba, wszechobecne promieniowanie sieci i inne) będą wpływać na pogarszanie się stanu zdrowia coraz młodszych roczników. Lawinowo narastają choroby cywilizacyjne: alergie, zawały, udary, nowotwory, bezpłodność... Życie w pośpiechu i świat wirtualny przysparzają nam stresu i chorób psychicznych. Bomba z opóźnionym zapłonem – powikłania wygenerowane przez „pandemię" – już daje o sobie znać. Oswajamy się z falą zgonów ludzi młodych, wysportowanych, dzieci i noworodków. Dlatego służba zdrowia powinna być w zasięgu zainteresowania i troski wszystkich roczników Polaków, niezależnie od opcji politycznej, wyznania religijnego czy orientacji seksualnej! Nie każdego będzie przecież stać na prywatne leczenie. Odnoszę jednak wrażenie, że fani ekipy rządzącej są skłonni poświęcić życie swoje, swoich dzieci i wnuków, gotowi polec za uśmiechniętą partię, która właśnie wygasza państwową służbę zdrowia. W tej sytuacji postuluję zainwestować przynajmniej w psychiatrię. Ponad 30 proc. ludzi „mądrych inaczej" – to już jest prawdziwa epidemia!

PS Wielu z nas wraca do medycyny niekonwencjonalnej, ludowej, do holistycznej naturoterapii i leczniczych diet. Niektórzy wykorzystują AI do diagnozowania swych schorzeń. Następuje renesans ziołolecznictwa, w cenie jest dziś zdrowa żywność.

W „Historii we fraszkach: od Mieszka po Staszka" tak spuentowałem śmierć księcia Henryka IV Probusa: „Dbaj o siebie, coś trenuj, odżywiaj się eko / Będziesz wtedy medyków omijał z daleka...".

Lech Makowiecki

ZDJĘCIE TYGODNIA Ruszyły matury. Trzymamy kciuki



Fot. Paweł Marcinko/KFP/REPORTER

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. *COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).*
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: POLSKI KOMITET OLIMPIJSKI/FACEBOOK, TOMASZ PIKULA/EAST NEWS, FILIP NAUMIENKO/REPORTER, ANDRZEJ WIKTOR x2, SHUTTERSTOCK/PRESSMASTER

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	366 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 5bce68f2a2

Kryptopaństwo

Obserwujemy właśnie największą aferę finansową ostatnich lat. I ciężko uciec przed porównaniami do Amber Gold. Znów mamy przestępców, za którymi widać cień mafii, dziesiątki tysięcy oszukanych klientów, liczących na szybki zysk i tego samego premiera, który winnych szuka wśród politycznych przeciwników, podczas gdy zarządzane przez niego państwo zaspało



MAREK PYZA

Gigantyczne pieniądze z rynku kryptowalut, przedsiębiorca, po którym ślad zaginął i jego partner biznesowy, który uciekł do Izraela. Mafie z Polski i Rosji, tysiące oszukanych ludzi. Popularna giełda promowana przez najpopularniejszych sportowców, reklamy na koszulkach klubów polskiej i włoskiej ligi piłkarskiej, umowy marketingowe podpisywane w Monako, sponsoring wydarzeń politycznych. Do tego dziwne decyzje w prokuraturze, utajnione posiedzenie Sejmu jako mechanizm PR premiera, zalew fejków publikowanych przez polityków partii rządzącej i znów bezradność służb. Wydaje się, że w tej historii jest już wszystko, a przecież ona się dopiero rozkręca.

„Ślad wiedzie do Dubaju", „Trop prowadzi do Rosji", „Tropy prowadzą do Szwajcarii", „Trop w sprawie Zondacrypto prowadzi przez Emiraty i Luksemburg" – artykuły prasowe z takimi tytułami ukazywały się w kwietniu. Czy się wykluczają? O dziwo nie.

RYZYKOWNA ZABAWA

Tam, gdzie pojawia się okazja do zarobienia łatwych pieniędzy – i to dużo szybciej niż w ramach tradycyjnych mechanizmów inwestycyjnych – tam zawsze jest ryzyko. Dowiodły tego liczne przykłady piramid finansowych z Amber Gold na czele, która na długie lata powinna była stać się ostrzeżeniem dla niecierpliwych inwestorów. W przypadku kryptowalut ryzyko jest podwójne. To rynek chimeryczny, wciąż z wieloma zagadkami. Co chwilę pojawiają się tokeny, na których można szybko i dużo zarobić, a także błyskawicznie stracić fortunę.

Gwiazda bitcoina, którego kurs na przełomie 2020 i 2021 r. w ciągu zaledwie kilku miesięcy wzrósł sześciokrotnie, przyciągała niczym magnes neodymowy. Jeśli jednak ktoś kupił tę kryptowalutę np. pod koniec 2021 r., w kolejnych dwóch latach rwał włosy z głowy, bo kurs spadł o połowę. Cierpliwi odrobili to w latach 2024 i 2025, gdy bitcoin sięgnął rekordowych wycen, ale w 2026 r. znów mamy potężny dołek.

Drugie ryzyko wiąże się z niestabilnością, nieprzejrzystością i brakiem odpowiednich regulacji tego rynku. W tej chwili na świecie jest prowadzonych ok. 16 tys. śledztw dotyczących oszustw



Założyciel Zondacrypto Sylwester Suszka uznawany jest za osobę zaginioną

eprasa.pl 5bce68f2a2

wokół kryptowalut. Mamy tu przecież działalność hakerów (tylko ci z Korei Północnej ukradli w zeszłym roku kryptowaluty o wartości 2 mld dol.), beztrosko słabo zabezpieczone portfele zewnętrzne czy giełdy zakładane przez przestępców, by prać pieniądze. Czy ten ostatni przypadek dotyczy Zondacrypto?

Można powiedzieć, że gdyby w tym przypadku polscy inwestorzy byli zapobiegliwi i interesowali się podmiotem, któremu powierzają swoje pieniądze, co najmniej kilka miesięcy wcześniej zorientowaliby się, że należy stamtąd jak najszybciej uciekać. Już bowiem w ogólnodostępnym raporcie rocznym za 2024 r. spółki BB Trade Estonia OÜ, która stała za Zondacrypto, można było wyczytać, że firma inwestuje środki klientów – co jest sprzeczne z jej regulaminem – a co najmniej 75 mln euro pożyczyła innym podmiotom, często bez jakiegokolwiek zabezpieczenia. Raporty za poprzednie lata też wykazywały liczne nieprawidłowości.

Nie trzeba było zresztą samodzielnie przedzierać się przez estońskie dokumenty. Sygnałów alarmowych było mnóstwo. W 2018 r. Komisja Nadzoru Finansowego wpisała BitBay (poprzednik Zonda) na listę ostrzeżeń. Powód? Działalność bez zezwolenia. W 2018 r. wszczęto śledztwo.

Dodatkowo w pierwszej połowie 2025 r. estoński nadzór najpierw ogłosił alert, iż firma może nie posiadać wystarczającego pokrycia kapitałowego dla depozytów klientów, a kilka miesięcy później wpisał spółkę na listę podmiotów naruszających obowiązki sprawozdawcze.

ŁATWE MILIONY

W Polsce mało komu to przeszkadzało. Pierwsze śledztwo zostało umorzone, bo brakowało regulacji prawnych, złamanie których można było giełdzie zarzucić. Gdy wokół BitBay zaczęły pojawiać się wątpliwości i pytania o powiązania jej założycieli ze światem przestępczym, spółka przeniosła się najpierw na Maltę, a później do Estonii.

Inwestorów nad Wisłą nie zaniepokoiło nawet zaginięcie jej założyciela Sylwestra Suszka, nazywanego polskim „królem bitcoinów" – o tym za chwilę. Ale co z niego był za król? Dziś sporo zakulisowych informacji wokół Zondacrypto przynosi portal money.pl. Jego dziennikarze poinformowali m.in. o drastycznym spadku rezerw bitcoina na tej giełdzie, powiązaniach jej właścicieli z mafią i ucieczce prezesa Przemysława Krala do Izraela.

Tyle że ten sam należący do Wirtualnej Polski serwis we wrześniu 2019 r. opublikował rozmowę z Sylwestrem Suszkiem. Rzecz działa się w najbardziej prestiżowej lokalizacji w stolicy – wieżowcu Złota 44, w którym biznesmen miał też swój apartament. Pytania zadawała wychowana w Rosji Gruzinka, ówczesna wicedyrektor obszaru biznes w wp.pl. Mówiła do Suszka po imieniu i była ewidentnie zafascynowana swoim interlokutorem.

> Gdyby w tym przypadku polscy inwestorzy byli zapobiegliwi i interesowali się podmiotem, któremu powierzają swoje pieniądze, co najmniej kilka miesięcy wcześniej zorientowaliby się, że z Zondacrypto należy jak najszybciej uciekać

Suszek siedział w mokasynach, bez skarpet, z jedną nogą na drugiej, mało elegancko trzymając się za kostkę, a z jego nalanej twarzy wylewał się strumień okrągłych zdań. Po każdym z nich można było się zastanawiać, jak ten grubo ciosany osobnik doszedł do tej fortuny. Kupno snobistycznego apartamentu za miliony było dlań „pieczątką" na karierze. Zapytany, po co mu planowany wieżowiec na Śląsku, odpowiadał, że to takie... spełnienie marzeń. „Każdy z nas jako dziecko marzył o czymś. Ja również. Marzyłem o superfajnych samochodach, mam je. Marzyłem o lotnictwie – mam je. Idę po prostu dalej".

Z dalszej części rozmowy dowiedzieliśmy się, że Suszek miał pewne dołki – milionowe długi, „komorników, masy upadłościowe etc.", lecz działo się to w dawnych czasach, gdy miał... 21 lat (to ciekawe, bo rejestry KRS nie wskazują, by był zaangażowany w jakąkolwiek działalność gospodarczą przed 23. rokiem życia). Ale zakasał rękawy i zarobił jeszcze większe pieniądze.



Prezes Zondacrypto Przemysław Kral po wybuchu afery uciekł do Izraela

Fot. Tomasz Pikuła/East News, polski komitet olimpijski/facebook

eprasa.pl 5bce68f2a2

Jakie to wszystko proste! Wystarczy wziąć się do roboty i już miliony spływają na konto.

Przypominamy tę rozmowę, bo świetnie pokazuje stały mechanizm przy okazji afer gospodarczych: zanim coś z hukiem upadło i zostawiło tysiące ludzi z pustymi kieszeniami, ktoś to pomagał nakręcać, bezkrytycznie prezentując „biznesmena" jako godnego zaufania człowieka sukcesu.

Tak było w przypadku Amber Gold, które z daleka śmierdziało piramidą finansową i obiecywało zyski nie do zrealizowania. Bursztynowa operacja za pierwszych rządów Donalda Tuska też była szeroko promowana. Media brały od Marcina i Katarzyny P. pieniądze za reklamy, politycy Platformy Obywatelskiej i ich koledzy z trójmiejskich elit uwiarygadniały założone przez przestępców linie lotnicze OLT Express, ciągnąc ich samolot po płycie gdańskiego lotniska. Producent filmu o Lechu Wałęsie wziął od nich kasę na obraz Andrzeja Wajdy „Człowiek z nadziei", a miasto zarządzane przez Pawła Adamowicza – na Miejski Ogród Zoologiczny.

GRUNT TO PR

W sprawie Zondacrypto (wcześniej Zonda) też mieliśmy długą operację uwiarygadniania firmy. Jej usługi reklamowali piłkarze Wojciech Szczęsny, Giorgio Chiellini czy David Trezeguet. Jej logo pojawiło się na koszulkach Lechii Gdańsk, Rakowa Częstochowa, Pogoni Szczecin, GKS Katowice, Wieczystej Kraków, Juventusu Turyn, Atalanty Bergamo, FC Bolonii, Parmy Calcio, AS Monaco. Firma sponsorowała wyścigi Tour de Pologne oraz kobiecy Giro d'Italia.

Wielki neon z logotypem Zondacrypto zawisł też na siedzibie Centrum Olimpijskiego nad Wisłą. Umowę sponsorską z Polskim Komitetem Olimpijskim (w jej ramach ustalono, że część wynagrodzenia za medale zawodnicy otrzymają od sponsora w kryptowalutach – czekają do dziś) podpisano w październiku w Monako. Dlaczego tam? Bo jak wieść gminna niesie, już wtedy Przemysław Kral obawiał się przyjazdu do Polski, by nie zostać zatrzymanym. Prezes PKOl bagatelizował tę okoliczność i tłumaczył, że przed podpisaniem umowy wysłał do ABW pismo z prośbą o sprawdzenie firmy. Tyle że – jak ripostował minister Tomasz Siemoniak – dokument nie zawierał nawet jej nazwy, a dotyczył ogólnej prośby o szkolenie z zakresu ryzyk związanych ze współpracą z podmiotami „oferującymi produkty i usługi niestandardowe". Inna sprawa, że przez długie miesiące najbardziej aktywnej działalności giełdy podległe koordynatorowi służby nie zrobiły za wiele, by uniemożliwić przestępczy proceder.

Wcześniej firma Krala mocno weszła na polski rynek medialny, stając się jednym z głównych partnerów telewizji Republika. Według danych Instytutu Monitorowania Mediów stacja miała otrzymać aż 95,4 proc. budżetu, który giełda ulokowała u dziesięciu analizowanych nadawców telewizyjnych (ukazało się w niej 5599 spotów spośród wszystkich 5869). IMM wyliczył, że Republika zarobiła na tym blisko 36 mln zł, choć bazował na danych cennikowych, które rzadko znajdują odzwierciedlenie w rzeczywistych cenach spotów. Suma ta musi więc być sporo niższa, choć wciąż niebagatelna.

Republika była również współorganizatorem sponsorowanej przez Zondacrypto konferencji amerykańskiego środowiska konserwatywnego CPAC w Jasionce. To tam pojawił się m.in. Karol Nawrocki. Do dziś obecność prezydenta na tym wydarzeniu jest dla koalicji paliwem do ataków wymierzonych w głowę państwa.

> Pytanie, co się stało z zasadniczym majątkiem Zondacrypto, czyli sejfem, w którym leży ponad 300 mln dol. w bitcoinach. – Jeśli prawdą jest, co twierdzi Kral, że pierwotny szef spółki nie przekazał mu klucza dostępu do tego sejfu, to okaże się, że Suszka wyeliminowano za wcześnie. Ale dziś nikt tego nie wie – mówi nasz informator

GDZIE „KRÓL", SKĄD KRAL?

Wróćmy do wierchuszki giełdy, w której zmiany zaszły w okolicznościach rodem z filmów sensacyjnych. To jedna z największych tajemnic kryminalnych ostatnich lat.

10 marca 2022 r. Suszek pojawia się w Czeladzi na terenie bazy transportowej należącej do jego wspólnika Mariana W. „Mańka". To tam biznesmen tankował swój śmigłowiec. Tego dnia przyjechał na miejsce Porsche Taycan (z terenu bazy zniknął następnego dnia). I przestawał dawać znaki życia. Zaginięcie Suszka zgłosiła jego siostra.

Zagadek jest tu co niemiara. O godz. 15.08 zarejestrowano ostatnie logowanie jego telefonu. Policyjny pies podjął trop, który prowadził z biura Mariana W. do parkingu, tam się urwał. Wiele wskazuje, że Suszka wywieziono w innym aucie. Dodatkowo kamery monitoringu... przestały działać w dniu zaginięcia.

Śledczy badali hipotezę o upozorowaniu uprowadzenia celem ucieczki przed mafią. Ale ten kierunek jest mało prawdopodobny m.in. ze względu na żądania okupu, które otrzymywała rodzina biznesmena. Według relacji najbliższych on sam przed zniknięciem miał dostawać ostrzeżenia, np. siekierę wbitą w samochód. Najbardziej prawdopodobna jest więc wersja o zabiciu Suszka. Tu pojawiają się kolejne domysły, wśród których przewijają się motywy z filmów o mafii – okaleczanie, a nawet rozpuszczanie zwłok w kwasie.

Nicole Suszek, siostra zaginionego, wciąż otrzymuje groźby i głuche telefony. „Ty nie masz pojęcia, kto zainwe-

21/0426/F

eprasa.pl 5bce68f2a2

stował w twojego brata i zrobił go tylko płotką do prania kasy!!!" – przeczytała w jednej z wiadomości. „Związek z zaginięciem może mieć szef Zondacrypto Przemysław K., który osiem miesięcy przed zniknięciem brata sukcesywnie przejmował jego spółki, oraz Marian W., właściciel stacji benzynowej w Czeladzi" – powiedziała „Faktowi".

Ten ostatni jest jedyną osobą, która usłyszała zarzuty w sprawie uprowadzenia Suszka. Przebywa jednak na wolności i dysponuje listem żelaznym do innego śledztwa, dotyczącego śląskiej mafii paliwowej, która miała mieć bazę operacyjną na terenie jego firmy. Do dziś swoje interesy ma prowadzić z Monako.

Drugim najbliższym współpracownikiem szefa Zondacrypto był Przemysław Kral. Faktycznie w pewnym momencie zmieniła się jego rola z prawnika na właściciela biznesów Suszka. To śląski adwokat. Jak mówi nam osoba badająca tę sprawę, pochodzi z dobrej rodziny, ale związał się z niewłaściwymi ludźmi: – Badamy jego powiązania z mafią paliwową, karuzelami VAT-owskimi i praniem brudnych pieniędzy. To on miał poznać Suszka z ludźmi półświatka.

Podobno początek tej giełdy wyglądał tak: przed ponad dekadą Suszek wynajął kamienicę w fatalnym stanie, była głęboko zawilgocona. Zobowiązał się do jej osuszenia. I zrobił to za pomocą koparek do kryptowalut, czyli komputerów. W skrócie polega to na tym, że maszyny „kopią", czyli wykonują miliardy operacji matematycznych na sekundę, potrzebnych do znalezienia konkretnego losowego numeru pasującego do aktualnego bloku transakcji. Jeśli się go znajdzie, do publicznej księgi (blockchaina) zostaje dopisany nowy blok, za który jest wypłacana nagroda – nowo utworzona moneta. Komputery zużywają więc olbrzymie ilości prądu i generują mnóstwo energii, którą Suszek miał wykorzystać do osuszenia lokalu.

Słyszymy, że Kral miał go poznać z ludźmi ze śląskiego świata przestępczego. A ci stwierdzili, że zamiast bawić się w kopanie, lepiej będzie założyć giełdę kryptowalut. Rolą Krala miało być przekonanie Suszka, że dla jego bezpieczeństwa będzie lepiej, jeśli przepisze na prawnika swoje interesy. I przepisał.

Czy w takim razie cała działalność BitBay i Zondy była jedną wielką pralnią pieniędzy? To hipoteza uważana przez śledczych za bardzo prawdopodobną.

Mówimy o grupie ludzi kochających luksus i nieznających umiaru. Opowiada nam się o podstawianiu wynajętych samolotów dla kontrahentów, oferowaniu atrakcyjnych pań do towarzystwa.

Pytanie, co się stało z zasadniczym majątkiem Zondacrypto, czyli sejfem, w którym leży ponad 300 mln dol. w bitcoinach. – Jeśli prawdą jest, co twierdzi Kral, że pierwotny szef spółki nie przekazał mu klucza dostępu do tego sejfu, to okaże się, że Suszka wyeliminowano za wcześnie. Ale dziś nikt tego nie wie – mówi nasz informator.

REKLAMA



Przemysław Kral w kwietniu uciekł do Izraela, którego paszportem dysponuje od ubiegłego roku.

TUSK SZUKA ZŁOTA (POLITYCZNEGO)

Gdzie zatem te związki z przestępcami ze Wschodu? W zeszłym tygodniu „Gazeta Wyborcza", powołując się na służby, doniosła, że kontrolę nad Zondą miała mieć od 2018 r. powiązana z Putinem mafia tambowska, jedna z najgroźniejszych rosyjskich grup. Problem w tym, że od wielu lat właściwie nie istnieje. Zdaniem dziennikarzy money.pl w giełdę od początku była zaangażowana mafia, ale polska – ze Śląska i z Krakowa. Rosjanie mieli się pojawić dopiero na przełomie 2021 i 2022 r.

Ma to wynikać z danych zawartych w szwajcarskich rejestrach, gdzie w zarządzie spółki Divisio Holding AG (jedyny udziałowiec estońskiego właściciela Zondy) odnaleziono nazwisko szwajcarskiego prawnika obsługującego interesy rosyjskich oligarchów, przewijającego się w aferze Panama Papers. Tych nitek jest zresztą więcej.

Wspomniany na wstępie Luksemburg wyskakuje zaś przy podmiocie S&B Investment SA. Jego szefem pierwotnie był Suszek, ale 14 listopada 2023 r. (kilkanaście miesięcy po zaginięciu) został wykreślony z rejestru, a jego miejsce zajął Kral. Wymieniono również audytora. Nowym została firma Case and Key Sàrl, którą kieruje rosyjska para z powiązaniami m.in. z rosyjskimi biznesmenami objętymi sankcjami. Według ustaleń „Rzeczpospolitej" luksemburskie podmioty Krala kontrolowały trzy spółki zarejestrowane w Zjednoczonych Emiratach Arabskich (przy pomocy słupa), które w 2018 r. były jedynymi udziałowcami BitBay.

To ledwie kontur międzynarodowej pajęczyny spółek i powiązanych z ciemnymi interesami postaci, które pojawiają się w orbicie Zondacrypto. Czy kiedykolwiek poznamy pełny obraz tej sprawy? Czy też polskim władzom i nadzorowanym przez nie służbom wystarczą strzępki informacji, byle tylko wykorzystywać je do walki z opozycją?

A sięgają po metody haniebne. Poseł Jan Grabiec (były szef KPRM u Tuska) wymalował za pomocą AI grafikę, którą kolportował w mediach społecznościowych. Widzimy na niej sporą grupę polityków PiS na tle ściany z wielkim logiem Zondacrypto. To ordynarny fejk, wielokrotnie wyjaśniany nawet przez lewackie serwisy factcheckingowe, ale Grabiec nie usunął go do dziś. Jego kolega Cezary Tomczyk, wiceszef resortu obrony, wstawiał zaś – również przerobione przez sztuczną inteligencję – zdjęcie siedziby PiS, na której nad szyldem partyjnym widnieje logotyp Zondy.

> Po upadku Zondacrypto weta prezydenta są wykorzystywane jako maczuga na niego. Zarzuca się mu, że z powodu odrzucenia ustaw państwo nie mogło pomóc oszukanym klientom giełdy. Tyle że to wierutna bzdura

To poziom trolli internetowych, jakimi stali się wspomniani politycy. Niestety niewyższy prezentuje premier. Donald Tusk jeszcze w grudniu zorganizował szopkę z niejawnym posiedzeniem Sejmu, na którym grzmiał o tym, że Zondacrypto została założona za rosyjskie pieniądze (mówił to też publicznie, choć wciąż nie ma na to żadnego potwierdzenia). Cel był jeden – zmusić prezydenta do podpisania ustawy o rynku kryptowalut, która w tamtym czasie leżała już u niego na biurku.

Karol Nawrocki ją zawetował (dwukrotnie – ponownie w lutym), bo – jak tłumaczył – proponowane prawo było zbyt restrykcyjne, wykraczało poza niezbędne standardy unijne i powodowałoby zahamowanie rozwoju sektora krypto w naszym kraju.

Po upadku Zondacrypto weta są wykorzystywane jako maczuga na prezydenta. Zarzuca mu się, że z powodu odrzucenia ustaw państwo nie mogło pomóc oszukanym klientom giełdy. Tyle że to wierutna bzdura. Przepisy zakładały bowiem termin 1 lipca 2026 r. jako ostateczną datę graniczną tzw. okresu przejściowego, po którym każda giełda krypto w Polsce musiałaby posiadać już pełną licencję i podlegać restrykcyjnemu nadzorowi KNF. A zatem dla klientów Zondy ta ustawa nie miała żadnego znaczenia.

Rząd musi więc zrobić trzecie podejście do ustawy i skupić się na tym, czego faktycznie Unia wymaga odnośnie do rozporządzenia w sprawie rynku kryptoaktywów (MiCA), zamiast dokładać swoje obostrzenia. Ale przede wszystkim powinien odpowiedzieć na pytania, które w minionym tygodniu zadawał szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki: „Dlaczego dopiero 17 kwietnia, czyli po drugim głosowaniu nad wetem, minister Żurek niczym borsuk wyszedł z dziupli i zaczął coś robić w kontekście prokuratury? Dlaczego nie korzystaliście z Kodeksu karnego? Dlaczego nie korzystaliście z ustawy o przeciwdziałaniu praniu pieniędzy? [...] Jak to jest, że można dopiero teraz z tego korzystać, a przez 2,5 roku nic w tej sprawie nie zrobiliście? Dlaczego premier Tusk jeszcze 8 lutego stał z koszulką z napisem »zondacrypto«?".

A stał. Bo była to koszulka jego ukochanej Lechii Gdańsk. Teraz cała sprawa stoi na prokuratorach ze Śląska, gdzie karty rozdaje świeżo powołany na naczelnika śląskiego wydziału ds. przestępczości zorganizowanej Prokuratury Krajowej Marek Wełna, znany jako wróg prawicy. To on wcześniej nadzorował w centrali PK postępowanie dotyczące Polnordu i Romana Giertycha (skandalicznie umorzone). To on zaraz po trafieniu do Katowic odwołał sześciu prokuratorów prowadzących ważne śledztwa – dotyczące m.in. polityków KO i Lewicy, a także w sprawie RARS.

Jego postać gwarantuje, że jeszcze nie raz będziemy się dziwić, co się dzieje w tej sprawie. A premier zrobi wszystko, by nią manipulować aż do wyborów.

eprasa.pl 5bce68f2a2

Chrońmy prezydenta Polski!

W atmosferze nienawiści do Karola Nawrockiego i przy nieustannym traktowaniu go jako przeszkody trzeba zapewnić głowie państwa nadzwyczajne środki ochrony



STANISŁAW JANECKI

Czwarty już zamach na prezydenta USA Donalda Trumpa uświadamia, że w niebezpieczeństwie znajduje się także prezydent RP Karol Nawrocki. Przez premiera Donalda Tuska, szefa MSZ Radosława Sikorskiego, szefa MSWiA Marcina Kierwińskiego oraz kilkudziesięciu posłów rządzącej koalicji głowa państwa jest traktowana jako przeszkoda, bo to ona psuje im szyki. Wielokrotnie dawali do zrozumienia, że byłoby najlepiej, gdyby Nawrockiego nie było na urzędzie. Żeby w ogóle go nie było. Podobnie jest traktowany Donald Trump. W Stanach Zjednoczonych znaleźli się tacy, którzy postanowili fizycznie usunąć swojego prezydenta. Aby nie był już przeszkodą.

Słowom o prezydencie Nawrockim jako przeszkodzie towarzyszy nakręcanie atmosfery nienawiści do niego. I z tej nienawiści może się urodzić coś złego, bo przy zachowaniu proporcji podobna nienawiść jest skierowana wobec prezydenta Trumpa od końca 2016 r. Włączają się w nią celebryci: w USA uosobieniem zapiekłej niechęci, a wręcz nienawiści do prezydenta są aktorzy Robert De Niro i Meryl Streep, a w Polsce podobną rolę odgrywają Andrzej Seweryn i Joanna Szczepkowska. To powoduje, że nienawiść ma szerszy zasięg, gdyż aktorzy funkcjonują nie tylko jako celebryci, lecz także jako autorytety dla tych, którzy sympatyzują z Koalicją Obywatelską lub Lewicą.

Robert De Niro mówił np. o prezydencie Trumpie: „Przyłożyłbym mu w twarz”. Nazwał też wtedy (w 2016 r.) Trumpa m.in. „idiotą”, „świnią”, „palantem”, „katastrofą narodową” oraz „kundlem”. Z kolei w styczniu 2026 r. Joanna Szczepkowska mówiła o prezydencie Nawrockim jako o „złej twarzy z martwym intelektem i pustymi oczami”, a w lutym 2026 r. był dla niej „szkodnikiem”. W marcu nazwała głowę państwa „zwykłym żulem”, „ulicznym żulem”. Używała też określeń „nadęty

Fot. Andrzej Wiktor

i pusty" oraz „wykrzyczała" w jednym z wpisów: „Chamem pan jesteś, panie Nawrocki". W mediach społecznościowych zestawiła obok siebie nazwiska „Hitler" i „Nawrocki".

Trzeba jasno powiedzieć, że prezydent Karol Nawrocki jest poważnie zagrożony. I z tego powodu powinien być szczególnie chroniony.

SOP TO ZA MAŁO

Wypowiedzi premiera Tuska sugerujące „oczywiste związki ze światem przestępczym" stały się podstawą do żądań sprostowania w związku z naruszeniem dóbr osobistych kandydata (a później prezydenta). Pozwanie Artura Łąckiego z KO dotyczy publicznych wypowiedzi posła, które prezydent Nawrocki określił jako „świadome kłamstwa i szczucie".

Dotychczas nienawiść znanych osób do prezydenta Nawrockiego nie miała znamion nawoływania do fizycznego wyeliminowania głowy państwa. Jednak koncepcja odsunięcia Karola Nawrockiego od pełnienia powierzonej mu przez naród funkcji ma wielu zwolenników, także wśród celebrytów. Jeden z największych zwolenników takiego rozwiązania, Roman Giertych (a także tacy profesorowie prawa jak Andrzej Zoll, Wojciech Sadurski czy Marek Safjan), podsuwa celebrytom i innym politykom takie rozwiązanie, że „przejęty" wreszcie Trybunał Konstytucyjny stwierdziłby niemożność sprawowania funkcji przez głowę państwa, a wtedy na jej miejsce wskoczyłby marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty.

Nieważne, że na gruncie prawa nie jest to możliwe wobec zdrowego i sprawującego urząd prezydenta. Giertych nie tylko zarzucał (w marcu 2026 r.) głowie państwa „postawę chamidła", lecz także określił Nawrockiego jako „uzurpatora". Radził też: „Skorzystaj z okazji do milczenia i pójdź na siłownię". Z kolei prof. Wojciech Sadurski nazywał Karola Nawrockiego „kandydatem na zamordystę" i „uczestnikiem igrzysk łgarzy", a Polska pod jego rządami miałaby być „mroczną dystopią". Nawet rozwiązanie z Czarzastym byłoby zamachem stanu, w którym wprawdzie prezydenta Nawrockiego nie wyeliminowano by fizycznie, jednak w panującej atmosferze nienawiści mógłby się znaleźć ktoś, kto poczułby się zobowiązany do wypełnienia zadania i targnięcia się na życie prezydenta.

Trzeba mieć w pamięci to, że nienawiść do prezydenta Lecha Kaczyńskiego i traktowanie go jak przeszkody (Donald Tusk powiedział nawet: „Ja nie potrzebuję prezydenta") nie doprowadziła wprawdzie do spisku wewnątrz kraju przeciwko niemu, ale mogła się przyczynić do spiskowania z Władimirem Putinem i jego urzędnikami, co ostatecznie – szczególnie po rozdzieleniu wizyt w Katyniu prezydenta i premiera – skończyło się śmiercią Lecha Kaczyńskiego.

Jeśli panuje atmosfera nienawiści, a dodatkowo dochodzi do spiskowania przeciwko głowie państwa z obcymi siłami, ochrona państwowych służb powołanych do chronienia najważniejszych osób we państwie, a prezydenta w szczególności, okazuje się niewystarczająca.

W związku z katastrofą smoleńską Biuru Ochrony Rządu (obecnie te zadania wypełnia Służba Ochrony Państwa) zarzucono ok. 20 istotnych błędów dotyczących przygotowania i zabezpieczenia wizyty prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Funkcjonariusze nie sprawdzili wcześniej lotniska Smoleńsk-Siewiernyj, na którym miał lądować prezydent. BOR nie dokonało samodzielnego sprawdzenia lotniska pod kątem pirotechnicznym przed przylotem delegacji. Funkcjonariusze Biura nie znali nawet numeru telefonu satelitarnego znajdującego się na pokładzie Tu-154M i nie utrzymywali kontaktu z kolegami obecnymi w samolocie. Nie podjęli też działań w celu uzyskania informacji o zapasowych lotniskach ani nie zapewnili tam ochrony na wypadek lądowania awaryjnego. Ówczesnemu wiceszefowi BOR, gen. Pawłowi Bielawnemu, zarzucono niedopełnienie obowiązków przy planowaniu i organizacji zadań ochronnych. Za te zaniedbania został on w 2016 r. skazany na 1,5 roku więzienia w zawieszeniu. Sąd uznał go za winnego niedopełnienia obowiązków, co skutkowało realnym zagrożeniem bezpieczeństwa prezydenta.

W trakcie procesu biegli wskazali na to, że sposób organizacji i realizacji działań ochronnych był niezgodny nawet z zasadami BOR. Świadomie odstąpiono od rozpoznania przez Biuro lotniska w Smoleńsku. Wielkim błędem była nieobecność jego funkcjonariuszy na lotnisku oraz niesprawdzenie tras przejazdu prezydenta. Nie było choćby jednego oficera Biura, który czekałby na Lecha Kaczyńskiego na lotnisku. Praktycznie żadna struktura BOR nie przeprowadziła analizy zagrożeń, a plan ochrony był niezgodny z zasadami tej służby. Ponadto niewłaściwy był nadzór. Istotnym błędem okazał się wybór oficerów do ochrony w Smoleńsku, bez doświadczenia w wizytach zagranicznych. Nie wyznaczono też dowódców zabezpieczenia oraz nie zadbano o system łączności oficerów BOR w Rosji.

To wszystko dowodzi, że państwowa ochrona – wtedy Biuro Ochrony Rządu, a obecnie Służba Ochrony Państwa – nie gwarantuje pełnego bezpieczeństwa prezydenta, szczególnie w atmosferze przemysłu pogardy i kampanii nienawiści.

ZAGROŻONY PREZYDENT

W lutym 2026 r. w Radiu ZET Paweł Sałek, poseł PiS, przypomniał słowa prezydenta Karola Nawrockiego, że gdyby coś się stało pierwszej osobie w państwie, to marszałek Włodzimierz Czarzasty pełniłby funkcję prezydenta. „I to byłby wspaniały finał" – skomentowała eurodeputowana Lewicy Joanna Scheuring-Wielgus. „Należy tę wypowiedź uznać za skandaliczną. Mieliśmy już w naszej historii bardzo przykre sytuacje związane z takimi okolicznościami. Kiedy nie mieliśmy prezydenta. Mówię tu o świętej pamięci panu prof. Lechu Kaczyńskim. To wówczas marszałek Komorowski został czasowo prezydentem Polski" – replikował Paweł Sałek.

21 grudnia 2021 r. Donald Tusk, już wtedy ponownie przewodniczący Platformy Obywatelskiej, mówił przed pałacem prezydenckim: „Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy. I sznur, i gałąź pod ciężarem zgięta". To ostatnie dwa wersy wiersza Czesława Miłosza „Który skrzywdziłeś". To była oczywista groźba

eprasa.pl 5bce68f2a2

śmierci przez powieszenie, poparta takimi słowami: „Pamiętajcie te słowa wielkiego poety i pamiętajcie, co czeka każdą władzę, która na naród podniesie rękę". A to już było nawiązanie do słów komunistycznego premiera Józefa Cyrankiewicza z 29 czerwca 1956 r. w Poznaniu: „Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewien, że mu tę rękę władza odrąbie w interesie klasy robotniczej, w interesie chłopstwa pracującego i inteligencji, w interesie walki o podnoszenie stopy życiowej ludności, w interesie dalszej demokratyzacji naszego życia".

Polacy pamiętają, jakie „życzenia śmierci" kierowano wobec prezydenta Lecha Kaczyńskiego. A ludzie pozostający pod wpływem nienawiści chcieli dokładnie tego, o czym mówili albo pisali, czyli fizycznego wyeliminowania głowy państwa. 1 sierpnia 2009 r. BOR zatrzymało 54-letniego Mirosława B., który podczas uroczystości w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego z udziałem prezydenta Lecha Kaczyńskiego krzyczał, że „zabije prezydenta". Świadkowie wskazali go funkcjonariuszom Biura jako grożącego głowie państwa, ale te osoby nie zostały nawet przesłuchane. Sprawa została umorzona i zapomniana.

Przed meczem piłkarskim Polska–Holandia na Stadionie Narodowym (14 listopada 2025 r.) na platformie X pod zdjęciem prezydenta Karola Nawrockiego, opublikowanym na profilu Łączy nas Piłka, anonimowy użytkownik zamieścił fotografię przedstawiającą młodego mężczyznę z pistoletem oraz podpis: „Do zobaczenia, Karolku". Wpis został szybko usunięty, jednak zrzuty ekranu z nim zaczęły krążyć w internecie. Komenda Stołeczna Policji poinformowała o zatrzymaniu osoby podejrzanej o autorstwo gróźb. Młody mężczyzna – uczeń szkoły zawodowej, obywatel polski – usłyszał zarzut kierowania gróźb karalnych z art. 190 par. 1 Kodeksu karnego. Podejrzany „przyznał się do winy, złożył obszerne wyjaśnienia i wyraził skruchę". Prokurator zastosował wobec 19-latka dozór policji. Mężczyzna otrzymał zakaz zbliżania się do prezydenta Karola Nawrockiego oraz do budynków Kancelarii Prezydenta – pałacu prezydenckiego i Belwederu. Do prokuratury wpłynęło też formalne zawiadomienie od Służby Ochrony Państwa. Najgorsze jest to, że myśl o zabiciu prezydenta Nawrockiego narodziła się w głowie młodego mężczyzny, u którego emocje przeważyły nad rozumem.

Tu też widać podobieństwo do osób, które w USA podjęły próby zamachu. Thomas Matthew Crooks, który 13 lipca 2024 r. oddał strzały w stronę Donalda Trumpa podczas wiecu w Butler w Pensylwanii, raniąc go, miał 20 lat. W takim samym wieku był Michael Steven Sandford, który podczas kampanii w 2016 r. (Trump był wtedy kandydatem na prezydenta) próbował odebrać broń policjantowi podczas wiecu w Las Vegas, by strzelić do obecnego prezydenta USA.

> Dotychczas nienawiść znanych osób do prezydenta Nawrockiego nie miała znamion nawoływania do fizycznego wyeliminowania głowy państwa. Jednak koncepcja odsunięcia Karola Nawrockiego od pełnienia powierzonej mu przez naród funkcji ma wielu zwolenników, także wśród celebrytów

SYGNAŁY OSTRZEGAWCZE

Politycy, którzy traktują prezydenta Nawrockiego jako przeszkodę i sugerują, że gdyby tę przeszkodę udało się usunąć, byłoby świetnie, udają, iż nie wiedzą, jak takie słowa mogą zostać odebrane bądź pobudzić osoby niezrównoważone czy opętane nienawiścią do głowy państwa. Wrogość, jaką codziennie okazują politycy rządzącej koalicji – szczególnie ci wywodzący się z Koalicji Obywatelskiej – demonstrują medialni funkcjonariusze władzy oraz niektórzy celebryci.

Pytanie, czy prezydent Nawrocki jest właściwie chroniony przez Służbę Ochrony Państwa, pozostaje tym bardziej aktualne, gdy okazało się, że na SOP nie zawsze mógł liczyć prezydent Andrzej Duda. 9 stycznia 2024 r. policjanci wkroczyli do pałacu prezydenckiego pod nieobecność głowy państwa, która przebywała w tym czasie w Belwederze na spotkaniu z liderką białoruskiej opozycji Swiatłaną Cichanouską. Funkcjonariusze policji we współpracy ze Służbą Ochrony Państw – obie formacje podlegały wtedy szefowi MSWiA Marcinowi Kierwińskiemu – weszli do pomieszczeń, w których przebywali politycy. Według relacji szefowej Kancelarii Prezydenta Grażyny Ignaczak-Bandych policjanci nie okazali stosownych dokumentów. Przed akcją policja monitorowała teren pałacu, a wyjeżdżający właśnie 9 stycznia z Belwederu prezydent nie mógł tego zrobić, gdyż wyjazd tarasował miejski autobus. Stanął on tuż przed bramą wyjazdową z Belwederu dokładnie w momencie, gdy prezydent Andrzej Duda, po otrzymaniu informacji o zatrzymaniu w pałacu prezydenckim Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, chciał tam pilnie wrócić. Całe zajście trwało ok. 17 minut, co wystarczyło na wyprowadzenie posłów z pałacu prezydenckiego i ich wywiezienie.

Policją i SOP znowu kieruje Marcin Kierwiński, więc nie ma żadnych gwarancji, że nie dojdzie do podobnego incydentu. A każde takie zdarzenie oznacza też obniżenie poziomu i standardów ochrony głowy państwa, co mogłoby sprzyjać ewentualnemu zamachowcowi.

Pod rządami Donalda Tuska prezydent Karol Nawrocki nie jest bezwzględnie bezpieczny i trzeba zrobić wszystko, żeby specjalnie chronić głowę państwa. Tym bardziej że nienawiść do Karola Nawrockiego narasta, podobnie jak szczucie na niego i prowokowanie skrajnych zachowań.

eprasa.pl 5bce68f2a2



Polak potrafi, państwo nie



DOROTA ŁOSIEWICZ

Dziewięć dni transmisji na żywo, setki gości, miliony widzów i ponad 250 mln zł zebranych w tym czasie na pomoc dzieciom chorym onkologicznie. Jeszcze kilka lat temu taki scenariusz brzmiałby jak fantazja producentów reality show i marketingowców od nowych mediów. Dziś stał się faktem. Stream Łatwoganga przeszedł do historii nie tylko jako internetowy rekord, lecz przede wszystkim jako społeczny komentarz do kondycji państwa. Bo kiedy instytucje nie nadążają za potrzebami obywateli, ludzie organizują się sami

Do opisania tego, co wydarzyło się przed komputerem w kawalerce na warszawskim Gocławiu, można użyć różnych słów: cud, szaleństwo, fenomen. Ale żadne do końca nie odda tego, co zaszło. Podczas zamykania streamu zorganizowanego przez influencera znanego jako Łatwogang, czyli 23-letniego Piotra Hanckego, kwota na ekranie wyniosła dokładnie 251 758 233 zł. Ale zbiórka, która była prowadzona na rzecz fundacji Cancer Fighters, trwała nadal.

Dziewięciodniowa akcja miała formę intensywnego maratonu, który przyciągnął przed ekrany tłumy widzów. W niektórych momentach stream śledziło nawet 1,6 mln odbiorców, a ostatniego dnia zbiórki była to najlepiej oglądana transmisja na świecie. Polskie media opisywały wydarzenie jako największą internetową akcję charytatywną w historii kraju i jeden z największych spontanicznych ruchów społecznych online. Uzyskane środki to także największa kwota zebrana podczas charytatywnego streamu na

Fot. Filip Naumienko/REPORTER

eprasa.pl 5bce68f2a2

świecie. Agencja Reutera podała, że to ponad trzykrotnie więcej niż poprzedni rekord Guinnessa wynoszący 19,5 mln dol. z wydarzenia we Francji. Z opublikowanego po zakończeniu streamu raportu Europejskiego Kolektywu Analitycznego Res Futura wynika, że w kontekście zbiórki w internecie dominuje narracja o „historycznym rekordzie" i „rozwaleniu systemu przez polski internet". 97 proc. komentarzy jest pozytywnych, a 3 proc. – krytycznych lub neutralnych.

OD MEMÓW DO WIELKIEJ MOBILIZACJI

Piotr Hancke wyrósł z kultury streamingu, YouTube'a i mediów społecznościowych – świata często lekceważonego przez tradycyjne elity jako przestrzeń żartów, dram i chwilowej popularności. Tymczasem właśnie tam od lat dojrzewa nowe pokolenie twórców, którzy nauczyli się czegoś, czego nie potrafi wielu polityków i urzędników: budowania uwagi, angażowania społeczności i przekuwania emocji w działanie. Sam Łatwogang stał się rozpoznawalny dzięki internetowej autentyczności, bezpośredniemu kontaktowi z widzami i umiejętności tworzenia wydarzeń, które żyją w czasie rzeczywistym. Dla starszych odbiorców może być „influencerem". Dla młodszych – po prostu kimś swoim, wiarygodnym.

Dwa lata temu Łatwogang podjął wyzwanie. Bez żadnego przygotowania wsiadł na rower i pokonał morderczą trasę do Afryki. Przez całą podróż relacjonował kolejne jej etapy na swoim profilu. Zaczęło się od ogłoszenia ambitnego planu: pobicia rekordu liczby lajków pod zdjęciem na polskim Instagramie. Dotychczasowy rekord należał do rodzinnego zdjęcia Friza, Wersow i ich córki Mai, które do tamtego momentu zgromadziło imponujące ponad 1 097 000 serduszek. Hancke postanowił osiągnąć ten cel w nietypowy sposób – publikując zdjęcie... swojej stopy. Nietuzinkową inicjatywę tiktokera wsparli inni twórcy internetowi, w tym sam Friz, który określił pomysł mianem genialnego. Ostatecznie Łatwogang wygrał tę „bitwę na lajki", ustanawiając nowy rekord w imponującym tempie i wyprzedzając poprzedników o kilkaset tysięcy polubień.

Aby zmobilizować swoich obserwatorów do zostawiania polubień pod zdjęciem stopy, influencer obiecał, że jeśli uda mu się pobić rekord, dokona niemożliwego: „Obiecuję wam, że jeżeli nam się to uda, to pojadę rowerem do Afryki. I żebyście mieli pełną pewność, że was nie oszukam, to jeżeli mi się to nie uda i nie dotrzymam obietnicy, to usunę swoje konto na TikToku". I tak po kilku miesiącach od triumfu wybrał się w 30-dniową podróż rowerem do Afryki bez profesjonalnego przygotowania. Zaplanowana podróż miała trwać 30 dni, ale udało mu się pokonać tę niełatwą trasę w 27 dni. Dochód z wyprawy zasilił konto jednej z fundacji charytatywnych.

> W niektórych momentach stream Łatwoganga śledziło nawet 1,6 mln odbiorców, a ostatniego dnia zbiórki była to najlepiej oglądana relacja na świecie

Na tym nie koniec. Łatwogang nagrał też z Edem Sheeranem, światowym gigantem popu, polską wersję piosenki „Azizam". A cała historia zaczęła się od krótkiego wideo z Wrocławia, gdzie Sheeran w ramach promocji swojej nowej płyty „Play" spotkał się z Hanckem. Wspólnie pojeździli na trójkołowym tandemie po Placu Solnym, a między żartami padła obietnica: jeśli TikTok Łatwoganga zbierze milion polubień, powstanie wspólny kawałek – po polsku. Internet nie zawiódł. Milion lajków pojawiło się szybciej, niż ktokolwiek się spodziewał, a viralowy zakład przerodził się w muzyczną kolaborację, której nikt nie przewidział. Efektem była polska wersja „Azizam", która jest zderzeniem dwóch światów: charakterystycznego dla Sheerana, ciepłego brzmienia popu z luzem, autoironią i memicznym humorem Łatwoganga. Taki jest ten chłopak – wciąż dokonuje niemożliwego. Tak było i tym razem.

CELEBRYCI I INTERNET PONAD PODZIAŁAMI

Impulsem do rozpoczęcia charytatywnej zbiórki, która zadziwiła świat, była piosenka rapera Bedoesa „Ciągle tutaj jestem (diss na raka)", którą nagrał wraz z Mają Mecan, jedną z podopiecznych Fundacji Cancer Fighters, nagłaśniając w ten sposób temat chorób nowotworowych wśród dzieci. Po jej premierze Łatwogang zaproponował swoim obserwującym wyzwanie: tyle polubień, ile zbierze jeden z jego TikToków, będzie trwała transmisja na żywo, podczas której będzie słuchał tej piosenki. Jedno polubienie to jedna sekunda. W ten sposób fani zdecydowali, że stream potrwa dziewięć dni. I tak zaczęło się coś, co przejdzie do historii. Młody artysta przyznaje, że liczył na kilkaset tysięcy, a wynik zaskoczył wszystkich.

Stream przypominał wielki społeczny festiwal: do kawalerki na warszawskim Gocławiu jedni przychodzili śpiewać, inni licytować przedmioty, jeszcze inni po prostu rozmawiać i zachęcać do wpłat. Najbardziej symboliczne były jednak momenty pojednań. W świecie internetu konflikty często są paliwem popularności, ale tutaj spory schodziły na dalszy plan.

I tak podczas transmisji pojawiali się muzycy, twórcy internetowi, sportowcy i osoby publiczne. W akcję zaangażowali się m.in.: Dorota „Doda" Rabczewska, Robert Lewandowski, Adam Małysz, Cezary Pazura czy Roksana Węgiel. Byli też Bagi i Eryk Moczko z DRE$$CODE, ekipa Brokies, Żabson, Bambi, Szpaku i bracia Golec. Niektóre gwiazdy, m.in. Edyta Pazura, Katarzyna Nosowska czy Blanka Lipińska, podczas streamingu zgoliły włosy w geście solidarności z dziećmi chorymi na raka. W pomoc, wpłacając darowizny, włączyli się także m.in. Dawid Podsiadło, youtuber Książulo i raper OKI. Muzycy dawali minikoncerty na żywo, aktorka

eprasa.pl 5bce68f2a2

Małgorzata Kożuchowska odegrała parodię słynnej sceny z kartonami z serialu „M jak miłość", a niektórzy – jak zwaśnione od 2009 r. legendy polskiego hip-hopu: Peja i Tede – zakopali topór wojenny. Ludzie, którzy wcześniej publicznie się atakowali, potrafili podać sobie rękę. To ważny sygnał: jeśli stawką jest realna pomoc, ego może ustąpić miejsca wspólnemu celowi.

Były więc momenty czysto widowiskowe – ktoś ogolił głowę po osiągnięciu kolejnego progu wpłat, ktoś inny podejmował absurdalne wyzwania, jeszcze inni godzili się na kompromitujące zakłady. Można wzruszyć ramionami i uznać to za cyrk. Ale był to cyrk z sensem. Współczesna uwaga jest walutą. Jeśli aby ją zdobyć, trzeba zrobić coś spektakularnego, internetowi twórcy uczynią to bez wahania. Różnica polega na tym, że tym razem stawką nie były zasięgi, lecz pieniądze na leczenie dzieci.

ŁUKASZ LITEWKA

Ta zbiórka ma też dramatyczny akcent. Na akcję Łatwoganga zwrócił uwagę śp. poseł Łukasz Litewka, wielki społecznik i altruista. „To, co od kilku dni robi youtuber Łatwogang wraz z swoimi gośćmi, zasługuje na uznanie nie tylko z powodów wsparcia finansowego dla dzieci chorych na raka. Niezależnie czy zbiórka skończy się na 5 czy 10 mln, to coś więcej niż tylko pieniądze. To przykład, że się da, że młodzi potrafią wykorzystywać swoją rozpoznawalność i zasięgi do szczytnych celów. Że wystarczy iskra, którą dał Bedoes, by inni przystąpili do projektu i można sobie gdybać, że teraz to tam chce być każdy, że warto się tam pojawić itd., ale nie zmienia to jednego: że to realna pomoc i motywowanie społeczeństwa, by głośno rozprawiało się z rakiem. I może tam klną, może czasami jest nietypowo i dziwnie, ale przestańmy oczekiwać od młodych ludzi, by zachowywali się nad wyraz poprawnie, a po prostu pozwólmy im wyrażać siebie, tak jak oni sami czują życie. Bo to ich życie, a nie nasze. W czasach freak fightów, rozpowszechniania patologii i tych idiotycznych konferencji, na których głupota bawi się w najlepsze, ten stream i zaangażowanie szczególnie młodych ludzi, jest jak otwarcie okna i powiew świeżego powietrza w cuchnącym, dawno nie otwieranym pokoju zwanym internet" – napisał Litewka na Facebooku.

Podczas występu Dody na streamie piosenkarka zadzwoniła do posła, a ten dorzucił swoją cegiełkę do puli datków. Następnego dnia zginął w wypadku. Kiedy Łatwogang dowiedział się o jego śmierci, natychmiast zareagował. „Dobro, które czynił, niesie się dalej" – powiedział o tragicznie zmarłym pośle Hancke i poświęcił mu zebraną kwotę, która wówczas osiągnęła 7 mln zł.

> Polacy doskonale wiedzą, że w sytuacjach granicznych często bardziej można liczyć na innych ludzi niż na system. Gdy państwo nie działa skutecznie, społeczeństwo przejmuje inicjatywę

GODZINA 21.37

Stream Łatwoganga zakończył się w niedzielę 26 kwietnia o godz. 21.37. Początkowo koniec planowano na godz. 16.00, później przesunięto go na godz. 20.00. Wspomniany raper Bedoes podkreślił, że jest człowiekiem wierzącym i godzina odejścia papieża Jana Pawła II do domu ojca jest dla niego bardzo ważna. Bedoes, a właściwie Borys Przybylski, 28-letni raper z Bydgoszczy, wielokrotnie otwarcie mówił o swojej wierze. „Jedną rzeczą, jaka łączy nasz kraj, jest godzina 21.37. Niektórzy z niej żartują, a dla mnie to jest bardzo ważna godzina" – podkreślił raper, który zakończył zbiórkę wspólnie z Piotrem Hanckem i grupą podopiecznych fundacji. „O 21.37 kończymy stream. Jeśli dla kogoś to jest powód do żartów, żartujcie. Jeśli dla kogoś to jest powód do dumy, bądźcie dumni" – dodał.

Kilkanaście godzin po zakończeniu historycznej zbiórki na profilach Bedoesa i Łatwoganga na Instagramie znalazło się wspólne oświadczenie. Obaj podziękowali fanom za wsparcie, zapewniając jednocześnie, że nie przyjmują gratulacji za to, co zrobili. „To jest wspólne dzieło nas wszystkich i to my gratulujemy wam tego, co zrobiliście dla dzieciaków i jak poruszyliście cały kraj. Współprace, które przyjęliśmy przed streamem, przekładamy na jak najdalsze możliwe okresy, tym samym zaznaczając, że nie przyjmujemy żadnych nowych, które wpływają ze względu na wzrost naszej popularności, oprócz XTB i WK Dzik, które wczoraj wpłaciły sumy gwarantujące im darmowy nasz udział w ich reklamach. Nie wykorzystamy w żaden sposób tego dla siebie – nigdy" – czytamy. „Jeżeli chodzi o wywiady, telewizję, media – nasz komentarz jest absolutnie zbędny. Przez te dziewięć dni powiedzieliśmy wystarczająco. Media, którym zależy, prosimy o nagłaśnianie zbiórki i świadomości o tym, że RAK TO NIE WYROK. Bo tylko na tym nam zależy. Nie przyjmujemy również żadnych orderów za zasługi, zamiast tego prosimy o przyznawanie ich pielęgniarzom, pielęgniarkom, lekarzom i lekarkom, którzy muszą walczyć codziennie i apelujemy o uczynienie 26 kwietnia dniem walki z rakiem" – dodali.

NA CO PÓJDĄ PIENIĄDZE?

Po akcji Łatwoganga w sieci nie zabrakło komentarzy, że 23-latek zdetronizował Jerzego Owsiaka. I to prawda. Wszystko odbyło się bez gigantycznego wsparcia aparatu państwa, mediów, polityki, w malutkim mieszkanku przed ekranem komputera. Wynik zbiórki młodego infuencera jest o tyle sensacyjny, że niemal zrównał się z rezultatem ostatniego finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, który zakończył się kwotą 263 477 929,83 zł. Zestawienie to budzi podziw, ponieważ WOŚP działa od ponad 30 lat,

eprasa.pl 5bce68f2a2



podczas gdy Łatwogang osiągnął zbliżony pułap w ciągu dziewięciu dni.

Trudno się więc dziwić, że głos w sprawie postanowił zabrać sam lider Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, który nie krył uznania dla młodych twórców. Pogratulował organizatorom, stwierdzając, że nawet tak doświadczona organizacja jak WOŚP może czerpać naukę z ich działań. „Sam jestem ciekaw, w jaki sposób teraz te pieniądze będą przeznaczone na pomoc dla onkologii dziecięcej. Jeszcze raz powiem: my kupujemy gruby sprzęt" – dodał Owsiak.

> Po akcji Łatwoganga w sieci nie zabrakło komentarzy, że 23-latek zdetronizował Jerzego Owsiaka. I to prawda. Wszystko odbyło się bez gigantycznego wsparcia państwa, mediów, polityki, w malutkim mieszkanku przed ekranem komputera

Odpowiedź przyszła bardzo szybko. Cancer Fighters to ogólnopolska fundacja pomagająca osobom chorym na raka – dzieciom, młodzieży i dorosłym. Wspiera także rodziny i bliskich swoich podopiecznych. Działania fundacji nie ograniczają się jedynie do pomocy materialnej, ponieważ – jak podkreślono na jej stronie internetowej – osoby walczące z chorobą nowotworową każdego dnia potrzebują nie tylko leczenia, lecz także siły i nadziei na lepsze jutro. Organizuje pomoc medyczną, psychologiczną oraz motywujące wydarzenia.

W niedzielnym oświadczeniu na platformie X fundacja poinformowała, że pieniądze ze zbiórki przeznaczy na leczenie, rehabilitację, leki, transport do klinik, konsultacje specjalistyczne i codzienne funkcjonowanie w czasie choroby swoich podopiecznych, a także na wsparcie osób, które w wyniku choroby nowotworowej potrzebują protez, specjalistycznego sprzętu lub rozwiązań pozwalających wracać do możliwie normalnego życia. „Równolegle prowadzimy rozmowy z klinikami w całej Polsce. Jesteśmy już w kontakcie z kilkoma ośrodkami i wspólnie analizujemy, jakie potrzeby są najpilniejsze i gdzie nasze wsparcie może przynieść największy efekt. Może zakup sprzętu, doposażenie oddziałów, poprawę warunków leczenia, wsparcie konkretnych programów medycznych lub większe projekty infrastrukturalne" – napisano w oświadczeniu. Podkreślono, że wszystkie działania będą prowadzone w sposób jawny i uporządkowany.

Fundacja zapowiedziała utworzenie serwisu internetowego, który będzie pełnił funkcję publicznego centrum informacji o wykorzystaniu środków z akcji, ponieważ – jak wskazano – przy takiej skali środków transparentność musi być podstawą całego procesu. I tego też powinna się uczyć WOŚP: transparentności, której brak tak często zarzuca się Owsiakowi. Powołano też specjalną radę ekspertów, która ma decydować o rozdysponowaniu tej zawrotnej sumy.

SPOŁECZEŃSTWO SPRAWNIEJSZE NIŻ PAŃSTWO

Stream Łatwoganga był sukcesem nie dlatego, że internet kocha sensację. Okazał się sukcesem z tego powodu, iż Polacy doskonale wiedzą, że w sytuacjach granicznych często bardziej można liczyć na innych ludzi niż na system. Gdy państwo nie działa skutecznie, społeczeństwo przejmuje inicjatywę. Tak było przy zbiórkach dla chorych dzieci, pomocy uchodźcom, wsparciu po pożarach i powodziach. Tak było i teraz. Platforma streamingowa okazała się sprawniejsza niż wiele instytucji publicznych. To oczywiście powód do dumy, ale i do wstydu. Dumy, bo ludzie potrafią się zmobilizować. Wstydu, bo nie powinni być do tego zmuszani.

Łatwo zbyć ten fenomen jako jednorazową internetową akcję. To błąd. Stream Łatwoganga pokazał, że nowe pokolenie ma energię, narzędzia i zdolność organizacji. Jeśli potrafi w kilka dni zebrać gigantyczne środki na leczenie dzieci, to znaczy, że problemem nie jest brak pieniędzy czy dobrej woli. Problemem bywa sposób działania instytucji.

Państwo, które działa dobrze, nie boi się takich inicjatyw. Uczy się od nich szybkości, prostoty i skuteczności. Państwo, które działa źle, będzie je traktować jak kłopotliwy wyrzut sumienia.

I może właśnie dlatego ten stream był rekordowy nie tylko finansowo. Stanowił rekordowy dowód na to, że obywatele potrafią dziś więcej niż system, który ma im służyć. Oraz chcą i potrafią działać ponad wszelkimi podziałami.

eprasa.pl 5bce68f2a2



O Agorze bez znieczulenia



PIOTR GURSZTYN

W warszawskim światku dziennikarskim krąży książka Marcina Kąckiego. Robi wielkie wrażenie. Nie tylko dlatego, że to głos bohatera słynnego w mediach skandalu obyczajowego. Przede wszystkim z tego powodu, że to poważne oskarżenie wobec współczesnego dziennikarstwa. Szczególnie liberalno-lewicowego. A zwłaszcza „Gazety Wyborczej" i innych mediów Agory

To, co Marcin Kącki pisze o świecie, w którym funkcjonował przez wiele lat, czyta się jak opisy działania okrutnej i bezdusznej sekty. To także przyczynek do dziejów „Gazety Wyborczej" – niegdyś potężnej, pysznej, moralizującej i pouczającej wszystkich. A w rzeczywistości postępującej niezgodnie z głoszonymi przez siebie zasadami. Na dodatek dzisiaj coraz bardziej tracącej na znaczeniu, coraz biedniejszej, lekceważonej, wręcz chyląc się ku upadkowi.

Dla ludzi z mediów konserwatywnych, zwanych prawicowymi, to oczywiście powód do satysfakcji. Późne potwierdzenie tego, że jakże często mieli rację. To ludzkie i zrozumiałe uczucie, ale byłoby małostkowością jedynie takie odczytanie opowieści Kąckiego o jego dawnym świecie. To autor niewątpliwie inteligentny i wiele spraw, które opisuje, ma wymiar bardziej uniwersalny. Dotyczący patologii życia mediów, niezależnie od ich profilu ideowego. Mowa tu o umysłowym lenistwie, bezmyślnym pośpiechu, niechęci do żmudnego weryfikowania doniesień. To może dotyczyć wszystkich.

SPRAWA KĄCKIEGO

Wróćmy jednak do demaskatorskiego wymiaru książki zatytułowanej „Bez znieczulenia", bo to jest najciekawsze i najważniejsze dla dzisiejszego polskiego czytelnika. Dla ludzi z „prawackich" mediów to opis szokującej rzeczywistości. Jeśli chodzi o wymiar relacji międzyludzkich, wzajemnego szacunku czy lojalności sytuacje przywołane przez Kąckiego są wstrząsające.

Wychodzi na to, że praca w „Gazecie Wyborczej" wiązała się z życiem wśród licznych patologii. Jest jasne, że świat prawicowych mediów nie był i nie jest idealny. Działy się w nim różne rzeczy, także niezbyt przyjemne. Ale wygląda na to, że nigdy nie był tak bezduszny i okrutny wobec funkcjonujących w nim ludzi jak na Czerskiej. Czyli kolegów, koleżanek, przyjaciół. Że po medialnej prawej stronie obowiązywało

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5bce68f2a2

jakieś minimum lojalności wobec ludzi, z którymi się pracowało przez wiele lat, czego nie było po drugiej stronie.

Niejakim potwierdzeniem tej tezy są dawne słowa Tomasza Wołka, które miały być krytyką konserwatywnych dziennikarzy i publicystów. Nazwał ich wędrowną watahą, która wspólnie przemieszcza się z jednej redakcji do drugiej. To prawda. Tak było, a wymagało to wzajemnego wspierania się, zaufania i lojalności. Szczególnie w sytuacjach najtrudniejszych, podczas gdy w świecie mediów liberalno-lewicowych więzi były natychmiast zrywane, gdy ktoś został uznany za winnego. Taki był przypadek Marcina Kąckiego.

Sprawa zaczęła się w styczniu 2024 r., gdy w „GW" ukazał się jego autobiograficzny – według niektórych wręcz ekshibicjonistyczny – artykuł pt. „Moje dziennikarstwo – alkohol, nieudane terapie, kobiety źle kochane, zaniedbane córki i strach przed świtem". Tytuł dobrze oddaje treść tekstu. Po publikacji odezwała się dziennikarka „Newsweeka" Karolina Rogaska. Oskarżyła Kąckiego o składanie jej natrętnych propozycji seksualnych, a nawet, że masturbował się w jej obecności. „Wyborcza" błyskawicznie zawiesiła swojego redaktora, a po kilku miesiącach został z niej zwolniony. Tu trzeba dodać, że nie był tam osobą przypadkową. Pełnił funkcję szefa działu, był czołowym autorem. „GW" chlubiła się nim, zwłaszcza że był laureatem wielu nagród.



Z miejsca został uznany za winnego. Nie tylko w sensie formalnym, czyli przez swojego pracodawcę, lecz także w szerokim kręgu przyjaciół, kolegów i znajomych. Zaczęło obowiązywać wobec niego domniemanie winy. Działo się to w szczycie kampanii #MeToo, więc Kącki miał tego pecha, że wiele popierających ją osób zaczęło widzieć w nim polskiego Harveya Weinsteina (i tak też o nim mówić). Z jego opowieści wynika, że właściwie nikt go nie zapytał: „Marcin, powiedz szczerze, jak było naprawdę?". Wojciech Czuchnowski, z którym napisał przynajmniej kilkanaście wspólnych artykułów, „już drugiego dnia" zaatakował go na Twitterze. Znane opinii publicznej osoby, chętnie występujące w roli laickich kaznodziei, zachowały się jak chorągiewki na wietrze. „Po tekście »Moje dziennikarstwo...«, który stał się później przyczynkiem do ataku na mnie, pierwsza z gratulacjami napisała do mnie wspomniana Renata Kim z »Newsweeka«. Oto wiadomość: »Marcin, jaki to jest piękny tekst. Dziękuję. I pozdrów proszę Anetę [żonę Kąckiego]«. Kilka godzin później, gdy jej koleżanka redakcyjna Karolina Rogaska napisała post na Facebooku, ten o masturbacji, Kim zmieniła natychmiast front i pierwsza napisała felieton mnie potępiający, w którym orzekła już, że mój tekst »wpisał się w kulturę oprawców«".

> Sytuacje przywołane przez Kąckiego w książce są wstrząsające. Wychodzi na to, że praca w „Gazecie Wyborczej" wiązała się z życiem wśród licznych patologii

Opowieść Kąckiego w obronie własnej jest sugestywna. Oczywiście trzeba być ostrożnym, aby nie popaść w stronnicze oceny. Ale jest tam kilka okoliczności, które przemawiają za nim. Był nazywany „drapieżcą seksualnym", a liczba jego ofiar miała być większa. Tak się jednak złożyło, że nie znalazła się żadna inna. I to mimo apeli, aby kolejne ofiary się zgłaszały i opowiedziały o swojej krzywdzie. Sugestią, że Kącki nie był potworem, jest fakt, że nie odwróciła się od niego jego żona. Aneta Groszyńska-Kącka jest reżyserem teatralnym, czyli osobą o na tyle mocnej pozycji społecznej i zawodowej, że nie musiałaby być uzależniona od psychopatycznego męża. Wreszcie – choć to akurat najsłabszy dowód – prokuratura umorzyła śledztwo w sprawie jego domniemanych czynów.

ŚRODOWISKOWY I IDEOLOGICZNY TERROR

Dlaczego ludzie w tamtych środowiskach byli skłonni tak szybko potępiać, wręcz niszczyć bliskiego im przecież kolegę? Człowieka, który był częścią ich życia. Każde środowisko ma swoją mentalność, a tamto – jak wynika z opisów samego Kąckiego – żyje w ciągłym wzmożeniu ideologicznym. Ciągle z kimś walczą. Nawet nie o coś, ale z kimś, kto nie pasuje do ich sztamp mentalnych. Te zaś zmieniają się dosyć często, bo przecież idea postępu nie ma szacunku do czegoś, co było ważne kilka czy kilkanaście lat temu. Trzeba nadążać za zmianami, a przynajmniej udawać, że się nadąża, bo tolerancja wobec odmiennego zdania nie jest mocną stroną tamtego świata.

Tu jako dowód anegdota przywołana przez autora „Bez znieczulenia": „Stolik w Cafe Amatorska w Warszawie. Wchodzi pewna krytyczka literacka i oznajmia leniwie, że zaczęła dorabiać w masażu tantrycznym z happy endem. Wszyscy gratulują jej awansu zawodowego, jedna z koleżanek mówi: »O rany, zostałaś seksworkerką, wspaniale«, a gdy ktoś pyta, czy to aby nie jest po prostu »walenie konia facetom za niezły szmal«, dostaje słownego klapsa, że chyba pomylił stolik, bo brakuje mu »zrozumienia dla afirmacji i wsparcia wykluczonych«".

Widać, że dziecko z bajki Andersena o nagim królu nie miałoby tam życia. Nie wierzmy głoszonym przez „Wyborczą" frazesom o tolerancji, szacunku wobec odmienności, otwartości itp. Ci ludzie sami są zaprzeczeniem tych wszystkich pojęć. Także wobec siebie nawzajem – czego dowodem jest los Kąckiego.

Ciekawostką niech tu będzie informacja o tym, że postać, która, zdawałoby

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 5bce68f2a2



się, jest tam papieżem, czyli Adam Michnik, to też ofiara tego systemu. W myśl zasady o rewolucji pożerającej własne dzieci – bo jego można uznać za jednego z najważniejszych promotorów takiego postepowania. Otóż dzisiaj Michnik jest tam piątym kołem u wozu. Z jednej strony Kącki opisuje sytuację, gdy w pewnym konfliktowym wewnątrz korporacji zdarzeniu zarząd Agory odmówił spotkania z Michnikiem. Legendarny redaktor po prostu pocałował klamkę. A z drugiej ten sam Michnik jest dla młodszej części personelu mediów Agory postacią groteskową, nielubianą, czyli – jak mówią ci młodzi ludzie – „dziadersem". Zresztą im młodsi są uczestnicy wyżej opisywanych zdarzeń, tym bardziej są brutalni względem siebie.

Cancel culture, autocenzura, środowiskowy i ideologiczny terror – to stałe elementy życia redakcyjnego po liberalno-lewicowej stronie. Dziennikarze bez przerwy łamią sobie głowy, czego lepiej nie mówić lub pisać, aby nie narazić się własnym środowiskom zawodowym i towarzyskim.

W 2020 r. reporter Mateusz Mazzini został wysłany na południe Włoch, aby pisać o lądujących tam imigrantach z Afryki. Popełnił ten „grzech", że wspomniał o nigeryjskiej mafii, która również się tam objawiła. Jego własne środowisko – bo to człowiek o poglądach lewicowych, progresywnych i proimigranckich – ogłosiło go rasistą i rozpoczęło kampanię cancelowania. Na tyle skuteczną, że młody dziennikarz popadł w taki stan, że wymiotował ze stresu, musiał skorzystać z pomocy psychologa, a finalnie zrezygnował z korzystania z mediów społecznościowych i zerwał wiele kontaktów towarzyskich. Z dziennikarzami, z którymi jednocześnie pracował. Bo, jak sam napisał, „ta grupa ludzi, zwłaszcza młodych, żyje plotkami na social mediach, linczami, kłamstwami, nagonkami".

> Każde środowisko ma swoją mentalność, a tamto – jak wynika z opisów samego Kąckiego – żyje w ciągłym wzmożeniu ideologicznym. Ciągle z kimś walczą. Nawet nie o coś, ale z kimś, kto nie pasuje do ich sztamp mentalnych

O tym, że to zaczadzenie ideologiczne wpływa na tak okrutne traktowanie niedawnych przyjaciół, świadczy inna historia z ul. Czerskiej (również opisana przez Kąckiego). W 2018 r. wiceredaktor naczelny wrocławskiego oddziału „GW" Wojciech Szymański został oskarżony przez jedną z dziennikarek o molestowanie seksualne. Agora powołała komisję, a ciało to doprowadziło do wywalenia Szymańskiego z roboty. W trybie dyscyplinarnym. Człowiek odwołał się do sądu, gdzie ostatecznie wygrał. W trakcie rozprawy świadkowie (ci sami, których wcześniej wysłuchała komisja) zeznali, że oskarżająca kobieta bywała agresywna i wulgarna, miała problem z alkoholem, niechlujnie wykonywała swoje obowiązki, a co więcej – podkochiwała się w Szymańskim. Ten jednak nie był nią zainteresowany (choć wiele lat wcześniej, przed pracą w „GW", mieli romans). Był też szefem wymagającym, ale lubianym przez zespół, który bronił go przed komisją. Co więcej, nigdy nie było przypadków, aby jakaś inna kobieta oskarżała go niestosowne zachowanie. Kącki pisze: „Sąd uznał, że sposób pracy komisji i zwolnienie Szymańskiego miało »*de facto* charakter inkwizycyjny i tym samym naruszały w sposób oczywisty wymóg należytej konkretyzacji przyczyn zwolnienia dyscyplinarnego«. Skargi i zeznania oskarżycielki sąd uznał za niewiarygodne, bo były niespójne i kilka razy je zmieniała".

Okazuje się, że Wrocław był dość „prowincjonalny", więc Szymański był broniony przez tych, z którymi pracował (i którzy go dobrze znali). Ale Warszawa jest postępowa, więc nie ma miejsca na litość. Agora zapłaciła odszkodowanie, lecz ogłosiła, że nie zgadza się z wyrokiem. Szymański nie doczekał sprawiedliwości, bo zmarł w 2020 r. na raka w wieku 45 lat. Odszkodowanie odebrała jego rodzina. A autorka fałszywego oskarżenia? „Dziennikarka, która szkalowała Szymańskiego, nadal pracuje w gazecie, a druga, która ją popierała, awansowała".

W kontekście takich historii Kącki przywołuje cytat ze Sławomira Sierakowskiego, który pisał odnośnie do kampanii #MeToo, że ofiary muszą się zdarzać i że nie jest to rzecz, którą należy się martwić: „Nawet jeśli pojawia się błąd, bo ktoś został źle i za szybko oceniony, to nie róbmy z tego *pars pro toto* dowodu na to, że cancel culture jest zła. Jak chcemy dać głos wykluczanym dotąd kulturom, jednostkom i podmiotom, to dajmy im też prawo i wolność, żeby zrobić czasem coś głupiego. Jeśli jednemu czy drugiemu

Fot. X.com

eprasa.pl 5bce68f2a2

facetowi stanie się krzywda po pięciu tysiącach latach patriarchatu, bo został źle potraktowany przez Mee Too, to nie jest to żaden problem".

Rzecz jednak w tym, że ci, którzy „cancelują", należą raczej do środowisk dominujących, a na pewno wykluczających, nie zaś wykluczonych. Szczególnie dotyczy to komisji powoływanych przez władze Agory.

POŁĄCZENIE KORPORACJI Z SEKTĄ

Ta współczesna wersja polowań na czarownice objęła cały świat Zachodu w jego liberalno-lewicowym wydaniu. Ma to wymiar uniwersalny, ale „Wyborcza" ze swymi przyległościami była szczególnie podatna na działanie takiego typu patologii. Od zawsze taka była jej natura. W świecie dziennikarskim złośliwie określano ją nazwą pewnej amerykańskiej firmy na „A", która kiedyś została negatywnym bohaterem filmu dokumentalnego pt. „Witajcie w życiu". Czyli że „GW" to połączenie stosującej psychomanipulacje korporacji z destruktywną sektą.

W swej długiej historii „Wyborcza" stworzyła własną legendę, w którą mocno wierzyli jej pracownicy. Zwłaszcza ci, którzy pracowali tam od samego początku – słynnego przedszkola przy ul. Iwickiej. Związali z nią całe swoje życie, łącznie z osobistym. „Wszystkie żony, mężowie, kochanki i kochankowie byli w niej wspólni" – pisze sarkastycznie Kącki. Taka była prawda, przeplatające się życie rodzinne i towarzyskie. Niesłychanie wysokie dochody, zwłaszcza na tle mizerii lat 90. XX w. Respekt ze strony świata zewnętrznego, zwłaszcza polityki, bo kto by chciał zadzierać z „pierwszą gazetą między Łabą a Władywostokiem"?

„Nam nie jest wszystko jedno" – to motto głosiła „Wyborcza". Po pewnym czasie okazało się tylko reklamowym frazesem. Agora stała się spółką giełdową. Wśród jej pracowników zarysował się ostry podział. „Stara »Wyborcza«" dostała akcje spółki i miała też dawne, bardzo dobre pensje. Ci, którzy przyszli później – „młoda »Wyborcza«" – pracowali za grosze. Dzisiaj nawet jeszcze mniejsze. Kilka miesięcy temu szefowa Solidarności w Agorze ujawniła, że niektórzy dziennikarze „GW" muszą po godzinach dorabiać w McDonald's i na Uberze, bo nie są w stanie wyżyć z wynagrodzenia oferowanego im przez ich firmę. Podczas gdy członkowie zarządu Agory otrzymują gigantyczne pensje.

Ale nawet wobec ludzi ze „starej »Wyborczej«" firma była okrutna. Wielkim zaskoczeniem była pierwsza fala zwolnień w 2009 r. Zostali wyrzuceni wieloletni czołowi dziennikarze, szefowie działów, „krew z krwi, kość z kości" tamtej redakcji. „Jeden z dziennikarzy, który otrzymał wypowiedzenie w czasie pierwszej wielkiej »optymalizacji kosztów«, zakrył twarz dłońmi, rozpłakał się i powiedział, że nie wyjdzie z gabinetu wicenaczelnego i zwolnienia nie podpisze" – pisze Kącki. To o ówczesnym najważniejszym z dziennikarzy „GW", który zajmował się polityką i Sejmem.

Nawet wobec ludzi ze „starej »Wyborczej«" firma była okrutna. Wielkim zaskoczeniem była pierwsza fala zwolnień w 2009 r. Zostali wyrzuceni wieloletni czołowi dziennikarze, szefowie działów, „krew z krwi, kość z kości" tamtej redakcji

Od tamtej pory co roku media branżowe donosiły o kolejnej fali zwolnień grupowych. W kilku przypadkach ogłaszano je tuż przed Bożym Narodzeniem. I znów dotyczyło to dziennikarzy i redaktorów, którzy od lat byli twarzami „Wyborczej". Agora żegnała się z nimi brutalnie. Np. w grudniu 2016 r. została zwolniona Renata Grochal. Jej kolega Paweł Wroński zwrócił się do kierownictwa z prośbą, aby jej nie zwalniać, a wynagrodzenie wygospodarować ze zredukowanych pensji jego i grupy innych osób, które solidarnie się na to zgodziły. Prośba została odrzucona. W sumie nie ma co się dziwić, że Wroński po ponad 30 latach pracy w „Wyborczej" uciekł na stanowisko rzecznika Radosława Sikorskiego. Można to tłumaczyć instynktem samozachowawczym.

Lista ludzi, którzy uciekli z Agory, gdy tylko mieli taką możliwość, jest bardzo długa. Samo tylko MSZ przygarnęło (oczywiście za rządów PO) takie osoby – oprócz Wrońskiego – jak Marcin Bosacki, Konrad Niklewicz i Marcin Wojciechowski.

ŚMIECH PRZEZ ŁZY

Życie przy ul. Czerskiej jest straszne, a także groteskowe. Co chwila słychać doniesienia takie jak te o kolejnych protestach wspomnianego już Wojciecha Czuchnowskiego. Najpierw protestował przeciw przeniesieniu go z trzeciego na pierwsze piętro – „bo jest mniej prestiżowe". Sprawa stała się tematem dla ogólnopolskich portali branżowych i mediów społecznościowych. Niedawno zaś Czuchnowski wszedł w konflikt z kierownictwem swojego koncernu, gdyż rozklejał wlepki w redakcji. Ich treścią była obrona osławionego mecenasa Piotra Rogowskiego. To wieloletni adwokat „GW". Jego procesowi przeciwnicy wspominają go jako prawnika, który w ich opinii w nie do końca etyczny sposób bronił interesów swojej firmy. A ta dzisiaj rozwiązuje z nim umowę. Po 34 latach pracy. Rogowski zrobił swoje, Rogowski może odejść.

„To był najśmieszniejszy dzień w historii Agory" – opowiadali potem pracownicy. Czuchnowski rozklejał wlepki z treścią „Ręce precz od prawników »Gazety Wyborczej«". List w obronie Rogowskiego podpisał Adam Michnik i 100 dziennikarzy „GW". I co? Jaki skutek? Na razie tylko taki, że administrator budynku nakazał Czuchnowskiemu usunięcie wlepek pod groźbą obciążenia kosztami sprzątania.

eprasa.pl 5bce68f2a2



Ppłk Sienkiewicz chciał zamordować kulturę

eprasa.pl 5bce68f2a2



Fot. Andrzej Wiktor

Z prof. Piotrem Glińskim, posłem Prawa i Sprawiedliwości, wicepremierem, ministrem kultury i dziedzictwa narodowego w latach 2015–2023, rozmawia Jerzy Szmit

Kilkanaście procent społeczeństwa mówi: niech się pali, niech się wali, niech benzyna będzie po 15 zł, byle PiS nie rządziło. Jak pan to wytłumaczy jako socjolog?

Piotr Gliński: Ostatecznym celem tych działań – i niestety tej części społeczeństwa – jest wyeliminowanie ludzi przywiązanych do polskiej wspólnoty i tradycyjnych wartości. Czyli ludzi o innych poglądach niż poglądy i wartości liberalno-lewicowe. A źródłem podziałów od co najmniej 20 lat jest grupa Tuska i środowisko postkomunistyczne. Sojusz zabójczy dla Polski. Nasz kraj od wieków jest rozgrywany przez dwóch potężnych sąsiadów. Jesteśmy w Unii Europejskiej, gdzie dominują interesy niemieckie. Z drugiej strony mamy Rosję i wywodzącą się z niej postkomunę. Od czasu wojny na Ukrainie sojusz rosyjsko-niemiecki jest przysłonięty, ale to obłuda, chwilowa taktyka – Europa w dalszym ciągu korzysta z rosyjskich surowców. Co więcej, w różnych wspólnych przedsięwzięciach ekonomicznych funkcjonują prywatne interesy elit europejskich. Były kanclerz Schröder przez długie lata pozostawał zaangażowany w rosyjskie biznesy naftowe, podobnie była minister spraw zagranicznych Austrii Karin Kneissl. Takich osób są dziesiątki, a Polska staje im ma drodze. Wizja Piłsudskiego, że nasz kraj musi być silny, żeby się temu oprzeć, jest stale aktualna.

Stąd stałe podsycanie niezgody?

Oczywiście. Polaków chcą podzielić za pomocą bezwzględnej inżynierii społecznej. Wyeliminować tych, którzy walczą o silne społeczeństwo i państwo polskie, najlepiej rękami samych Polaków. I to im się niestety częściowo udaje – doprowadzili część narodu do stanu zbiorowego urojenia, ojkofobii, nienawiści do polskiej racji stanu i tych, którzy jej bronią. A ppłk Sienkiewicz realizował to w kulturze – poprzez eliminację swoistych „wrogów klasowych" i „obcych instytucji".

Niedawno „Gazeta Wyborcza" nagrodziła lekarkę, która zabiła zastrzykiem w serce rodzące się dziecko.

Sytuacja w Polsce wynika również z wielkiego podziału kulturowego na świecie. Choć komunizm instytucjonalny w Rosji przegrał, to Europa Zachodnia nigdy nie miała bezpośredniego doświadczenia z komunizmem. Dlatego po wojnie komuniści byli tak silni w Europie i dlatego zostaliśmy sprzedani Sowietom. Dramatycznie i boleśnie przeżyliśmy doświadczenie komunizmu na własnej skórze. Dzisiaj marksizm i jego różne odmiany nadal chcą tworzyć świat relatywizmu i fałszywego wyzwolenia człowieka, również z sumienia. Odnośnie do działań „Gazety Wyborczej": znam wiele osób o lewicowych poglądach, które nie godzą się na aborcję, bo jest to sprzeczne z logiką szacunku dla życia. Ale środowiska wspierające aborcję mówią o liberalizmie i prawach kobiet, ignorując prawa dzieci. A tu mówimy o życiu. Próby robienia z tej pani bohaterki są przerażające i należą do rujnujących nasz świat ideologicznych chorych utopii.

Czasami nazywa się to próbą dekompozycji człowieka, czyli stworzenia go na nowo.

Znamy to – wykreowanie nowego modelu człowieka: radzieckiego. Z tego też

Elity artystyczne są u nas w dużej mierze postkomunistyczne. Bo niemal wszyscy byli na dworze państwa komunistycznego. I uczniowie w szkołach artystycznych też byli i są w ten sposób edukowani. Powszechny jest relatywizm, indywidualizm, pełen egoizmu czy egotyzmu. Działanie wyłącznie dla siebie samego jest normą

eprasa.pl 5bce68f2a2

bierze się nienawiść do Kościoła, który głosi zupełnie inną wizję człowieka. To jest wielki kryzys. Relatywizm aksjologiczny prowadzi do tego, że człowiek jest zagubiony we współczesnym świecie, gdy rezygnuje z tradycyjnych instytucji, takich jak rodzina i wspólnota narodowa. Podkręca to świat komercyjny i buduje ofertę dla różnych rodzajów hedonizmu.

Ta ideologia wkracza też do gospodarki.

Niestety. Niemcy z powodów ideologicznych narzucają Europie podatki ekologiczne czy klimatyczne. Rezygnują z energetyki nuklearnej i węglowej. Chcą bazować na rosyjskim gazie, a za chwilę opowiadają, że ten gaz już nie jest ekologiczny. Od stycznia Komisja Europejska z powrotem przyjęła energetykę jądrową jako ekologiczną. Tymi decyzjami doprowadzono do kryzysu ekonomicznego w Europie, utraty konkurencyjności, więc ma on podłoże ideologiczne. Są wściekli na Polskę, która za naszych rządów opierała się idiotycznym wpływom ideologicznym. Dzięki temu mamy w kraju rozwój gospodarczy, który doprowadza elity europejskie do szału. Polska potrafiła skorzystać z czasu pokoju i stabilizacji, rozwijać się może najszybciej na kontynencie.

Ten podział wzmacniają globaliści, którzy ludzi pozostających przy zdrowym rozsądku i zasadach logiki nazywają populistami.

To marketing polityczny. Tak robili – zachowując proporcje – Goebbels i Stalin. Za pomocą języka wyklucza się myślących inaczej: jesteś faszystą albo populistą. Do tego potrzebny jest aparat propagandowy, który będzie wzmacniał te kłamstwa. Nie mogą prowadzić otwartej debaty, bo wtedy prawda zwycięża. Niestety mamy olbrzymi kryzys na tym polu. Np. skandale Ursuli von der Leyen przechodzą w Europie prawie niezauważane. Mam tu też osobiste doświadczenia. W szwedzkich mediach wyzywali mnie od faszystów w związku z wystąpieniem na kongresie dotyczącym antysemityzmu w Malmö. Dwoje Polaków napisało do głównej szwedzkiej gazety, że reprezentuję faszystowski rząd. Nie dano mi nawet możliwości odpowiedzi. Czyli nie ma podstawowej wolności słowa, bo tylko jedna opcja ma głos w mediach. Dlatego Tusk nielegalnie i siłowo przejął media publiczne w Polsce. To jest „miękka", ale dyktatura. Siła zastępuje debatę i dialog. Tu nie chodzi o porozumienie. Dobitnie wyjaśnił to w kampanii 2023 r. Andrzej Seweryn w swoim słynnym „bluzgu".

W Rumunii zakwestionowano wyniki wyborów, otwarcie wpływa się na wybory na Węgrzech czy w Polsce.

Gdybyśmy nie wygrali wyborów prezydenckich, mielibyśmy w Polsce otwartą dyktaturę z eliminowaniem wolnych mediów, delegalizacją opozycyjnych partii politycznych i masowymi prześladowaniami politycznymi.

> Za naszych czasów zwiększyliśmy budżet na kulturę o rekordowe 140 proc. Zauważmy, że w tym roku rząd Tuska po raz pierwszy w wolnej Polsce zmniejszył budżet na kulturę. To pokazuje, jaki mają do niej stosunek

Czy możemy zwyciężyć w tej walce?

Żyjemy i walczymy. Nawet takie kryzysy można pokonać. Wszystko zależy od naszej determinacji.

Jak pan rozumiał swoją misję, będąc przez osiem lat ministrem kultury?

Postrzegam politykę jako realizację dobra publicznego. W polityce trzeba mieć cele, a potem z uporem je osiągać. Cele trzeba jednak dostosować do możliwości realizacji. Elity artystyczne są u nas w dużej mierze postkomunistyczne. Bo niemal wszyscy byli na dworze państwa komunistycznego. W związku z tym biografie są takie, a nie inne. I uczniowie w szkołach artystycznych też byli i są w ten sposób edukowani. Powszechny jest relatywizm, indywidualizm, pełen egoizmu czy egotyzmu. Działanie wyłącznie dla siebie samego jest normą. Najważniejszym celem artystycznym jest bycie zauważonym za granicą. Wspieranie potrzeb wspólnotowych czy narodowych w najlepszym razie jest uważane za dziwactwo. Do tego nachalna pedagogika wstydu i kompleks niższości wobec innych kultur, otwarta wrogość wobec wartości i osób spoza tego środowiska. Pamiętam sytuację z 2016 r., gdy w Filharmonii Narodowej na festiwalu beethovenowskim jestem witany jako minister kultury. Gwizdy. Bo pisowiec. Następnie witają ambasadora Niemiec i jest owacja. Na widowni siedzieli działacze ówczesnej opozycji z PO, Nowoczesnej, urzędnicy stołecznego ratusza, a także zwykła „warszawka". To jest wojna kulturowa na wszystkich frontach, kierowana m. in. przez tzw. mainstreamowe media i pseudoautorytety, które tworzą antystandardy myślenia i zachowań. Aby pokazać całość obrazu, dodam, że na drugi dzień po koncercie dostałem od 90 muzyków i chórzystów Filharmonii spontanicznie, odręcznie napisany list, że takie zachowanie ich oburza i nie chcą być z tym łączeni.

Od czego zaczął pan pracę w ministerstwie?

Przyjąłem założenie, że musimy budować nowe instytucje i włączać nowe środowiska, a także przekształcać instytucje już istniejące. Podjęliśmy też wyzwania, które przez całe lata nie były realizowane, np. budowa Muzeum Historii Polski. W tym roku mija 20 lat od jego powołania w czasie pierwszego rządu PiS. Tusk w czasie swoich rządów nie wbił łopaty. Wybudował za to Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku dla Angeli Merkel z przesłaniem uniwersalistycznym, gdzie nawet nie wspomniał o losie swoich dziadków w Wolnym Mieście Gdańsku (skoro w swoim exposé w 2023 r. twierdził, że cierpieli tam jako Polacy). W marcu br. w Mu-

eprasa.pl 5bce68f2a2

zeum Historii Polski miała być uruchomiona wystawa stała, którą przygotowaliśmy jeszcze my, ale oni nie dokończyli, bo organizowali na Cytadeli fety z okazji polskiej prezydencji w UE. Podejmowaliśmy też inne wyzwania z obszaru „białych plam", łącznie ok. 300 dużych projektów muzealnych, zakupy muzealne, kolekcja Czartoryskich...

Blisko współpracowaliście z samorządami.

Tak, również z ówczesną opozycją, np. Muzeum Powstania Wielkopolskiego, Teatrem Muzycznym w Poznaniu, Muzeum Sybiru w Białymstoku, Kresów w Lublinie, Muzeum Dzieci Polskich w Łodzi. Powstało wreszcie porządne Muzeum Bitwy pod Grunwaldem.

I były na to pieniądze?

Gdy przyszliśmy, kultura była słaba i niedoinwestowana. Po 1989 r. setki instytucji przekazano samorządom, a one nie zawsze mają dość środków, aby je odpowiednio finansować. Za naszych czasów zwiększyliśmy budżet na kulturę o rekordowe 140 proc. O 100 proc. zwiększyliśmy liczbę instytucji współprowadzonych, współfinansowanych z budżetu państwa, również o 100 proc. wzrosła liczba pomników historii. Przy okazji zauważmy, że w tym roku rząd Tuska po raz pierwszy w wolnej Polsce zmniejszył budżet na kulturę. To pokazuje, jaki mają do niej stosunek. Stworzyliśmy Departament Restytucji Dóbr Kultury, nastawiony na odzyskiwanie dzieł sztuki ukradzionych z Polski w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu. Oni go zlikwidowali. Dzięki naszym inwestycjom np. liczba zwiedzających Wawel wzrosła z nieco ponad 1 mln do ponad 3 mln rocznie. Kilkakrotnie wzrosły wydatki na ochronę zabytków. Teraz jest marazm i stagnacja.

Zmianę odczuło też środowisko kinematografii i teatru.

Przy naszym wsparciu powstało ponad 300 filmów historycznych, w większości dokumentalnych, a także fabularnych. Wprowadziliśmy ustawę o zachętach dla produkcji filmowej, opodatkowaliśmy VOD. Rocznie produkowano średnio 50 filmów fabularnych. Powołaliśmy świetny Teatr Klasyki Polskiej, Polską Operę Królewską, wzmocniliśmy finansowo wiele teatrów, filharmonii i instytucji kultury poza wielkimi ośrodkami.

Powstało też wiele nowych instytucji.

Można powiedzieć – setki założonych, wspieranych, ocalonych, nie tylko w Polsce, lecz także poza granicami. Może wymienię choć kilka nowych: Instytut Pileckiego, Narodowy Instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą POLONIKA, Panteon Górnośląski w Katowicach, Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego, Instytut Dziedzictwa Solidarności i Centrum Solidarności Stocznia, Instytut Literatury, Biuro „Niepodległa", Centrum Archiwistyki Społecznej, Narodowy Instytut Architektury i Urbanistyki. Każda z tych instytucji – jak również te, których tu z braku miejsca nie wymieniłem – wykonują ogromną pracę na rzecz wzmocnienia polskiej tożsamości i kultury, ale niektóre zostały już rozwiązane lub zniszczone.

Jaki jest stosunek obecnej władzy do tego dorobku?

W mojej opinii rząd Tuska jest antypolski, a po przejęciu władzy do ministerstwa kultury został skierowany ppłk Sienkiewicz, aby zniszczyć, zlikwidować, ograniczyć to wszystko, co zostało zrobione, bo polskość ewidentnie im przeszkadza. I to realizował. Zlikwidowali Biuro „Niepodległa" i portal o tej nazwie, Instytut Literatury i program Kanon Polski, Instytut Dmowskiego i Paderewskiego zamienili w lewacką jaczejkę, która wydaje książki o... Michniku. Do tego napad na media publiczne, PAP. Bezprawne zwolnienie 40 dyrektorów instytucji w trakcie kadencji. Oto dorobek pięciu miesięcy bytności Sienkiewicza w resorcie. Jego następczyni Hanna Wróblewska kontynuowała tę politykę. O działalności obecnej minister Marty Cienkowskiej wystarczy powiedzieć: jak jest, każdy widzi.

Jakie będą główne tezy programu PiS w sferze kultury?

Trzeba odbudować i kontynuować projekty, które oni zatrzymali albo zniszczyli. Także jeśli chodzi o skrzywdzonych ludzi. Z inicjatyw wymienię np. Europejskie Centrum Muzyki w Żelazowej Woli. To nie może być tylko dworek i ogród, lecz także solidne centrum z zapleczem konferencyjno-koncertowym. Jak się ma Chopina, to trzeba w niego inwestować i z tego korzystać. Tym bardziej że pod takie centrum jest przygotowana działka i rozstrzygnięty konkurs architektoniczny. Inny przykład – Narodowe Muzeum Techniki i Historii Naturalnej na błoniach Stadionu Narodowego. Tę działkę też przygotowaliśmy pod tę inwestycję. W Polsce są olbrzymie kolekcje zoologiczne, paleontologiczne. Jak wiadomo, takie instytucje są szalenie popularne, nowoczesne, z olbrzymimi, milionowymi frekwencjami zwiedzających w każdym wieku. W Krakowie Hotel Cracovia powinien być kolejną częścią Muzeum Narodowego. Budynek jest wykupiony i też po konkursie architektonicznym. Czy wreszcie powinna powstać silna, dobrze finansowana i zaopatrzona Agencja Rewitalizacji Dziedzictwa (m.in. do rewitalizacji Łodzi, Wałbrzycha, Przemyśla albo Bytomia).

A jak jest z działaniami legislacyjnymi?

Planujemy przyjąć tzw. ustawę tożsamościową. Jest potrzebna, aby w szczególnych miejscach i przy nadzwyczajnych wydarzenia nie było możliwości blokowania budowy pomników czy instytucji potrzebnych Polsce. Tak jak się dzieje w Warszawie z budową Pomnika Bitwy Warszawskiej. Ustawa ma również zapewnić edukację tożsamościową – powinno to być działanie szersze, wybiegające poza resort kultury. Wprowadzimy także bezpłatny dostęp do narodowych instytucji kultury dla seniorów i młodzieży. Z innych pomysłów – będzie agencja debiutów artystycznych dla młodych ludzi, dziś całkowicie zależnych od rekinów show biznesu. Rynek wydawniczy ledwo dyszy, bo jest gnieciony przez wielkich dystrybutorów, którzy narzucają sobie wygodne prawidła. Tu też trzeba pomóc. Takich oczywistych rozwiązań w obszarze kultury jest bardzo wiele. Dobrych pomysłów i determinacji nam nie zabraknie.

eprasa.pl 5bce68f2a2



Pogrzeb Łukasza Litewki, który odbył się 29 kwietnia w Sosnowcu, miał charakter państwowy. Uczestniczyli w nim prezydent RP, premier i marszałek Sejmu

Nietypowy poseł

Poseł Łukasz Litewka symbolizował nadzieję, że w skłóconym i podzielonym społeczeństwie ciągle można znaleźć wspólne wartości. Wraz z jego tragiczną śmiercią ta nadzieja znowu przygasła



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Tragiczna śmierć posła Lewicy Łukasza Litewki wstrząsnęła opinią publiczną w Polsce. Oto w zupełnie prozaicznych okolicznościach, jadąc na rowerze, zginął stosunkowo młody człowiek (miał 36 lat), potrącony przez kierowcę samochodu jadącego z naprzeciwka. Już sam ten fakt jest porażający – w takiej sytuacji może się przecież znaleźć każdy z nas.

Szok po śmierci Litewki był o tyle większy, że poseł z Zagłębia nie był – tak jak wielu jego kolegów z ław poselskich – postacią anonimową. Jego rozpoznawalność nie wynikała jednak z awanturnictwa i pyskówek w mediach, lecz przeciwnie – z otwartości, wrażliwości i pogody ducha. To cechy w polskiej polityce absolutnie deficytowe, budzące ogromną sympatię wśród Polaków i świadczące o naszej tęsknocie za stabilnością i normalnością.

DLA NICH JESTEM SKOŃCZONY

Litewka był posłem Lewicy – formacji liberalnej dowodzonej przez postkomunistę Włodzimierza Czarzastego i ścigającej się w agresywnej retoryce z sojuszniczą partią Tuska. Jego afiliacja dla wielu była dużym dysonansem poznawczym, a jednocześnie znakiem nadziei, że w obozie rządowym nie wszystko jest do cna zepsute.

Litewka w pewnym stopniu odgrywał rolę „ludzkiej twarzy" koalicji 13 grudnia. Potrafił jednak zachować niezależność i własny punkt widzenia na wiele spraw, co zapewniało mu sympatię ponad podziałami politycznymi. Zdawał sobie przy tym sprawę, że często – jak choćby w przypadku afery w Kłodzku, którą ostro krytykował – idzie pod prąd i naraża się na hejt oraz kłopoty.

Z tego powodu niektórzy widzieli w nim odnowiciela lewicy w Polsce. Był młody i dopiero budował swoją karierę polityczną. Obdarzony charyzmą, mógł zgromadzić wokół siebie spore grono zwolenników. Dowiodły tego zresztą ostatnie wybory parlamentarne, gdy wszedł do Sejmu z ostatniego miejsca na liście, otrzymując ponad 40 tys. gło-

Fot. Grzegorz Jakubowski/KPRP

eprasa.pl 5bce68f2a2

sów. Czarzasty, który również startował z Sosnowca, otrzymał ich o połowę mniej i dostał się do Sejmu tylko dzięki popularności Litewki. Niewykluczone, że w przyszłości 36-letni poseł mógłby się stać poważnym konkurentem obecnego szefa Lewicy. Zupełnie inny styl uprawiania polityki przez Litewkę dawał nadzieję, że dzisiejsza Lewica – postkomunistyczny twór przyklejony do Tuska – zacznie wreszcie być lewicowa nie tylko z nazwy. Oczywiście droga do tego była jeszcze daleka. Litewka nie byłby w stanie – nawet gdyby chciał – w szybkim czasie dokonać takiej wolty we własnej partii, ale miał ku temu potencjał.

Starzy towarzysze doskonale o tym wiedzieli i nie zamierzali ułatwiać swojemu najlepszemu posłowi życia w partii. „Dla nich i tak jestem skończony" – miał powiedzieć, według relacji Krzysztofa Stanowskiego, poseł Litewka, gdy w lutym zrobił sobie wspólne zdjęcie z prezydentem Nawrockim.

AUTONOMIA W RAMACH LEWICY

Spotkanie Litewki z prezydentem Nawrockim, w którym brała udział – oprócz wspomnianego Stanowskiego – piosenkarka Dorota „Doda" Rabczewska, było poświęcone ochronie zwierząt i walce z nadużyciami w prywatnych schroniskach. Bo właśnie z pomocy zwierzętom Litewka był najbardziej znany. Podczas kampanii wyborczej w 2023 r., gdy udało mu się zostawić daleko w tyle Czarzastego, umieszczał na swoich billboardach zwierzęta z miejscowego schroniska, które poszukiwały nowych opiekunów. Głośnym echem odbiła się również akcja Litewki przeciwko maltretowaniu koni wożących turystów nad Morskie Oko w Tatrach.

Litewka nie był jednak typem „ekoświra", dla którego zwierzęta są ważniejsze od ludzi. Zajmował się również pomocą dla dzieci. Jednym z jego największych sukcesów była zbiórka na terapię genową Igi, chorującej na rdzeniowy zanik mięśni, w ramach której udało się zgromadzić 8 mln zł. Niestety dziewczynka mimo krótkiej poprawy zmarła w 2025 r.

Tego rodzaju akcje były możliwe dzięki dużej aktywności Litewki w mediach społecznościowych, wokół niego skupiło się całe środowisko osób wspierających jego działalność. Dało to mu dużą rozpoznawalność w regionie i przyczyniło do startu jego kariery politycznej.

Litewka od samego początku był związany z dość silnym w Zagłębiu środowiskiem eseldowskim. Po uzyskaniu licencjatu z socjologii na Uniwersytecie Śląskim był asystentem wicemarszałka województwa śląskiego Kazimierza Karolczaka z SLD. Zapewne z tego powodu jego dalsza kariera upływała pod politycznym znakiem postkomunistycznej lewicy. Od 2014 r. aż do wyborów parlamentarnych w 2023 r. był radnym Sosnowca z ramienia Sojuszu. Nie był jednak młodym aparatczykiem, jakich pełno w rozmaitych partiach. Działając wśród młodych ludzi, wykazywał się sporą wrażliwością społeczną. Partia tolerowała go, bo był obiecujący i przynosił wyborcze zyski.

> Niektórzy widzieli w Litewce odnowiciela lewicy w Polsce. Był młody i dopiero budował swoją karierę polityczną. Obdarzony charyzmą, mógł zgromadzić wokół siebie spore grono zwolenników

Dopóki Litewka był radnym, jego autonomia nikomu nie przeszkadzała. Gdy jednak wszedł do Sejmu, zaczęła wywoływać zgrzyty. O jego odmienności mogliśmy przekonać się już w trakcie zaprzysiężenia, gdy jako jedyny ze swojej partii dorzucił do roty przysięgi słowa „tak mi dopomóż Bóg".

W OBRONIE PIERWSZEJ DAMY

Poseł stał się celem agresji, gdy w lutym br. stanął w obronie Marty Nawrockiej, zaatakowanej po jej wywiadzie udzielonym TVN24. Kubeł pomyj na pierwszą damę wylała wtedy bliżej nieznana Natalia Waloch z „Wysokich Obcasów". Litewka zarzucił nieszczęsnej Waloch butę, arogancję oraz pogłębianie podziałów na „ludzi lepszych i gorszych".

„Miałem możliwość poznać i porozmawiać z Martą Nawrocką, odbieram ją jako osobę, która jest ciepła i serdeczna" – napisał wtedy Litewka. „Nie zazdroszczę jej, praktycznie z dnia na dzień musiała zostawić swoje »stare życie« i wejść w zupełnie inne, nieznane dotąd otoczenie – oczekiwania są ogromne. Widzę kobietę, która z podniesioną głową jest po prostu sobą. Autentyczną, otwartą i ciepłą osobą, która nie szuka kłótni i walki politycznej, a chce być kimś, kto łączy. Jest w tym naturalna, nie jest politykiem" – stwierdził. Ostatnie zdanie jego wpisu brzmi jak rodzaj deklaracji politycznej. „Marta Nawrocka to Pierwsza Dama Polek i Polaków. Normalnych, tak pięknie zwyczajnych, uczciwych ludzi, którzy mają dość wojny polsko-polskiej" – podsumował. Nie chodziło oczywiście o to, że poseł Lewicy zmienia obóz polityczny, ale o coś zupełnie innego. O stwierdzenie wprost, że zwykli ludzie są „normalni" i mają dość politycznych kłótni, a Marta Nawrocka jest ich reprezentantką. Takie słowa w liberalnym środowisku wspierającym Tuska, które gardzi społeczeństwem i świadomie podgrzewa polaryzację, były niewybaczalne.

Litewka ogromnie naraził się tym wpisem. Ośmiogwiazdkowa hołota natychmiast zalała go falą inwektyw. Polityczne środowisko Litewki nie wstawiło się za swoim posłem. Postanowił sam odpowiedzieć hejterom. „Stanąłem dziś w obronie Pierwszej Damy i wiele osób na tym profilu poinformowało o rezygnacji z dalszego obserwowania oraz uwaga: udziału w zbiórkach i wpłat na chore dzieci. Nie na mnie, na dzieci. Przepraszam, że Was zawiodłem. Wy mnie bardziej" – napisał.

PONAD PODZIAŁAMI

Łukasz Litewka zginął 23 kwietnia, gdy jechał rowerem ul. Kazimierzowską w Dąbrowie Górniczej. W pewnej chwili na rowerzystę wpadło jadące z naprzeciwka Mitsubishi Colt. Jak wynikało z oględzin policji, samochód nawet nie hamował. Poseł zmarł wskutek rozległych obrażeń kończyn dolnych, które doprowadziły do wykrwawienia.

Wokół wypadku krąży już mnóstwo teorii spiskowych. Podgrzała je, choć

eprasa.pl 5bce68f2a2

niekoniecznie intencjonalnie, Dorota Rabczewska, która w pełnym emocji wpisie stwierdziła, że nie wierzy w przypadkową śmierć Litewki i zaoferowała nagrodę pieniężną dla osoby, która ujawni tożsamość sprawcy wypadku. „Zmarł mój serdeczny kolega. Jedyny, który miał odwagę, siłę i tupet. Polityk uczciwy, nieprzekupny i nieustraszony. Jedyny miał odwagę mówić, jak jest! Ktoś zabił człowieka, który dla innych oddawał całego siebie. Niektórzy życzyli mu śmierci jeszcze 3 miesiące temu. Łukasz mimo wszystko szedł dalej, mimo bólu, które te słowa mu zadawały" – napisała na Facebooku Rabczewska.

O sprawcy wypadku wiadomo jedynie tyle, że to 57-letni mężczyzna. Nie uciekł z miejsca tragedii, a jako przyczyny zdarzenia wymieniał zasłabnięcie i dekoncentrację. Twierdził też, że nie pamięta chwili wypadku. Badanie alkomatem nie wykazało alkoholu w jego krwi. Samochód również był sprawny. Samego zdarzenia nikt nie zarejestrował, nie było też naocznych świadków. Sprawca został tymczasowo aresztowany pod zarzutem spowodowania wypadku komunikacyjnego ze skutkiem śmiertelnym, za co grozi od sześciu miesięcy do ośmiu lat pozbawienia wolności. Jednak tydzień temu wyszedł na wolność po wpłaceniu poręczenia w wysokości 40 tys. zł. Prokuratura zapowiedziała złożenie zażalenia na tę decyzję.

Taki obrót sprawy powoduje, że wokół śmierci posła roi się od domysłów i podejrzeń, zwłaszcza że w potocznej opinii mieliśmy do czynienia z co najmniej kilkoma sytuacjami, w których sprawcy tragicznych wypadków unikali odpowiedzialności dzięki swoim koneksjom. Oczywiście nie można twierdzić, że tak na pewno było, ale ten brak zaufania jest całkowicie zrozumiały. Nasze instytucje państwowe ciężko sobie na to zapracowały.

Pogrzeb posła Litewki odbył się na cmentarzu parafialnym w Sosnowcu. Uroczystościom nadano charakter państwowy, a prezydent Nawrocki odznaczył zmarłego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Tragedia na krótki czas pogodziła Polaków bez względu na polityczne podziały. Taki jest zresztą polityczny testament Litewki – działać ponad podziałami. Szkoda, że tak trudno będzie znaleźć jego naśladowców.



Rodzice nie będą się za mnie wstydzić

Fragment rozmowy, którą z Łukaszem Litewką przeprowadziła Dorota Łosiewicz. Wywiad ukazał się na łamach tygodnika „Sieci" w grudniu 2023 r.

Gdy prosiłam pana o wywiad, powiedział pan, że lubi spokój. To po co panu właściwie ta polityka?

Łukasz Litewka: [Śmiech] To prawda, nie kłamałem. Po co mi polityka? Przyznam szczerze, że już kilkakrotnie wracając pociągiem z Warszawy do Sosnowca, zastanawiałem się nad tym. Patrzyłem na widok za oknem, na naszą piękną Polskę, piękny krajobraz i pytałem siebie: co ja właściwie zrobiłem? Gdy wysiadałem na sosnowieckiej ziemi, to dawno tak się nie cieszyłem jak po dwóch dniach spędzonych w Warszawie. Przyznaję, Sejm to inny świat. Tam nie ma zasad, panuje wolna amerykanka, nie wiem, czy jest miejsce na przyjaźń. Wszedłem do tej paszczy lwa, żeby zobaczyć, jak to jest. Ale jednego jestem pewien: rodzice mnie dobrze wychowali i nie będą się za mnie wstydzić. Pozostanę sobą. Myślę swoje i to się nie zmieni.

A co pana najbardziej zaskoczyło?

Chyba nie wszystko nadaje się do druku, ale najbardziej to wyczuwalna nienawiść, która panuje między ludźmi. Chyba tylko kamery i dobre maniery powstrzymują niektórych od rękoczynów. Nie mogłem też uwierzyć, gdy usłyszałem ministra Ziobrę, który na słowa: „Będziesz siedział", odpowiedział: „Mam nadzieję, że nie okażecie się fujarami". Nawet dopytywałem kolegów obok, czy te słowa faktycznie padły, czy mi się wydawało. Jak można na całą Polskę użyć takiego zwrotu? Usłyszałem, że to jeszcze nic. Jak to nic? Chyba bym się ze wstydu spalił, gdybym użył takiego języka.

Co pan lubi robić w wolnym czasie i jak pan dba o formę?

O! Ta forma to też powód wielu żartów, które ostatnio usłyszałem na swój temat. Lubię aktywność fizyczną, gram w piłkę nożną, chodzę na siłownię, czytam książki, oglądam seriale, spaceruję z psem. Po prostu żyję.

Fot. Facebook

eprasa.pl 5bce68f2a2



Odstraszanie Rosji załamało się pod Ełkiem

Wyobraźmy sobie sytuację, o której niedawno w „The Financial Times" mówił Donald Tusk. Na wschodniej granicy NATO „zaczyna się coś dziać" i dowództwo Paktu podejmuje decyzję o przesunięciu sił z zachodu na wschód. Jak to wygląda w praktyce?



MAREK BUDZISZ

Andrij Zahorodniuk, były minister obrony Ukrainy, napisał na początku lutego 2022 r. artykuł dla Atlantic Council poświęcony temu, w jaki sposób najlepiej odstraszać Rosję i Putina, udaremniając agresję. Wówczas już – jak wiadomo – amerykański wywiad ostrzegał Zełenskiego, że wojna jest nieuchronna, Rosjanie zaatakują. Zahorodniuk napisał, że kilka dni wcześniej w Kongresie gen. Mark Milley, szef Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, mówił, iż z ocen podległych mu służb wynika, że Rosjanie będą „potrzebować trzech dni", aby pokonać Ukrainę, wejść do Kijowa i doprowadzić do zmiany ekipy rządzącej na prorosyjską.

Słynna propozycja Bidena ewakuacji prezydenta Ukrainy, na którą Zełenski odparł, że potrzebuje „amunicji, a nie podwózki", wynikała właśnie z tego rodzaju ocen. Putin już drugiego dnia wojny przystąpił do realizacji swego planu, wydając specjalny apel skierowany do ukraińskich wojskowych, w którym pada propozycja, aby ci obalili Zełenskiego i zaczęli rozmowy pokojowe.

GDYBY POWIÓDŁ SIĘ PLAN PUTINA

No właśnie. Zastanówmy się, co by się stało, gdyby w Kijowie zwyciężyła opcja prorosyjska albo jednej z kilkudziesięciu grup dywersyjnych udało się dopaść Zełenskiego, który zresztą w rozmowie telefonicznej z Jensem Stoltenbergiem, ówczesnym sekretarzem generalnym NATO, stwierdził, że może to być ich ostatni kontakt.

Fot. Roix/Shutterstock.com

eprasa.pl 5bce68f2a2



Jeśli zastanawiamy się, co by się wówczas stało, to nasza uwaga powinna być skierowana w miejsce zupełnie inne niż Ukraina. Chodzi o linię kolejową prowadzącą z Polski na Litwę i dalej do państw bałtyckich. Remontowano wówczas stację kolejową w Ełku, a także most w Uhowie pod Białymstokiem. Jest pewne, że Rosjanie o tym wiedzieli i być może to zadecydowało, że zaatakowali w lutym 2022 r., a nie rok wcześniej, kiedy też koncentrowali swe siły na Białorusi. Remonty, o których piszę, spowodowały bowiem, że przepustowość jedynego względnie bezpiecznego połączenia z Litwą była wówczas znacznie ograniczona, a alternatywna trasa musiałaby prowadzić przez Sokółkę, blisko granicy z Białorusią, co ułatwiałoby jej zaatakowanie. Tym bardziej że trwał wówczas „kryzys migracyjny", wywołany przez Łukaszenkę i podległe mu KGB, a część ówczesnej opozycji wytrwale broniła „uchodźców".

Gdyby Putinowi udało się zdobyć Ukrainę w trzy dni, to pełne animuszu, nieosłabione długą wojną i motywowane błyskawicznym zwycięstwem siły rosyjskie mogłyby przystąpić do realizacji drugiego etapu jego planu, jakim było narzucenie Bałtom i całej Europie Środkowej nowych reguł gry i zasad funkcjonowania. Niekoniecznie musiałby to oznaczać wojnę z NATO, ale demonstracja siły na granicach z państwami bałtyckimi, aby zmusić Pakt Północnoatlantycki do faktycznego wycofania się z tego obszaru albo uzyskać „korytarz" do obwodu królewieckiego, była bardzo prawdopodobna.

Jak w sytuacji zagrożenia, a zatem jeszcze w czasie pokoju – co dla naszych rozważań jest ważne – mogłoby odpowiedzieć NATO? Zgodnie z planami Paktu należałoby wówczas szybko wysłać odpowiednio duże siły na wschodnią flankę, aby odstraszyć Rosję, „przekonując" Putina, że plan agresji się nie powiedzie, zdobycze będą niewielkie, a Pakt zamierza walczyć. Później, już po 2022 r., w czasie szczytu NATO w Madrycie, skodyfikowano te zamierzenia, ustalając, iż w ciągu 7 dni od wydania stosownych rozkazów Pakt powinien być w stanie przerzucić 100 tys. żołnierzy ze sprzętem, a między 7. a 30. dniem – kolejne 200 tys.

Co ważne, te siły szybkiego reagowania powinny znaleźć się na pozycjach jeszcze przed wybuchem konfliktu, w czasie pokoju. Obowiązują wówczas inne niż w czasie wojny regulacje prawne, niestety znacznie utrudniające i spowalniające transporty specjalne, czyli wojskowe.

8,4 TYS. WAGONÓW

Ale warto się zastanowić, z jak dużym wyzwaniem logistycznym mielibyśmy do czynienia. Jesienią 2025 r. CER, czyli Europejskie Stowarzyszenie Operatorów Kolejowych, opublikowało analizy dające nam wgląd w tę kwestię. Wynika z nich, że lekka dywizja, która składa się z ok. 15 tys. żołnierzy i 7,5 tys. sztuk sprzętu, aby przemieścić się na duże odległości, będzie potrzebowała 200 pociągów, z których każdy miałby 42 wagony. Łącznie 8,4 tys. wagonów, z których 60 proc. byłoby platformami do przewozu pojazdów, 35 proc. – kontenerami, a 5 proc. – cysternami na paliwo. A mówimy o jednej dywizji – w sytuacji, kiedy musielibyśmy przemieścić ich 20 w ciągu 30 dni. W przeciwnym razie odstraszanie mogłoby zawieść, a Putin uznać, że ma otwarte „okienko możliwości" i może rozgrywać sytuację z pozycji siły.

Gen. Ben Hodges, były dowódca sił NATO w Europie, a później doradca sekretarza generalnego Paktu ds. logistyki, powiedział już po wybuchu wojny na Ukrainie, że transport sił NATO do państw bałtyckich byłby na tyle długi, że w ciągu pierwszych kilkunastu dni wojny z Rosją Litwini, Łotysze i Estończycy musieliby liczyć wyłącznie na własne siły i te oddziały Paktu, które już są na ich terytorium. Problem wszakże polega na tym, że w ramach „wysuniętej obecności" NATO utrzymuje w państwach bałtyckich po batalionie, czyli nie więcej niż 800 żołnierzy sił wielonarodowych, a potencjał wojskowy państw bałtyckich ze względu na ich wyludnienie nie jest wielki. Pamiętajmy też o tym, że w 2022 r. ani Szwecja, ani Finlandia nie były jeszcze członkami NATO, co oznacza, że odsiecz z tych kierunków, a tym bardziej udział w odstraszaniu Rosji, należałoby uznać za więcej niż problematyczny,

Wyobraźmy sobie zatem wcale niehipotetyczną sytuację, o której niedawno w „The Financial Times" mówił premier Donald Tusk. Na wschodniej granicy NATO „zaczyna się coś dziać" i dowództwo Paktu podejmuje decyzję o przesunięciu sił z zachodu na wschód. Jak to wygląda w praktyce? Takie pytanie zadali sobie dziennikarze tego dziennika, którzy jesienią 2025 r., a zatem trzy lata po wybuchu wojny na Ukrainie, zbadali, ile czasu potrzebowałoby wojsko, aby dotrzeć w rejony odpowiedzialności wzdłuż granicy z Rosją i Białorusią.

Swoje doświadczenia opisali w artykule zatytułowanym „Surrealistyczna 45-dniowa podróż do serca NATO-wskiej obrony". Ich zdaniem tyle czasu będzie potrzeba, aby pierwsze transporty wojskowe przejechały przez Niemcy. Francuzi, którzy po wybuchu wojny na Ukrainie próbowali zwiększyć swój kontyngent wojskowy w Rumunii – a tyle ostatnio mówi się o znaczeniu wojskowej współpracy z Paryżem dla bezpieczeństwa i odstraszania Rosji – w zderzeniu z niemiecką biurokracją „polegli" i ostatecznie wybrali morską drogę transportu do Grecji, a dalej lądem przez Bułgarię. Dziennikarze „The Financial Times" zwrócili też uwagę, że niemiecki system transportowy – zarówno drogowy, jak i kolejowy – jest tak skonstruowany i w takim stanie, iż analizy mówią o 2,8 tys. „wąskich gardeł", z tego 500 „ma znaczenie krytyczne", znacząco opóźniających przemieszczenie wojska i sprzętu. Ta sytuacja nie zmieni się szybko, przynajmniej na kolei. Jak napisał w lutym 2025 r. niemiecki „The Manager Magazine", niemieckie koleje są „jednymi z najgorszych w Europie", a skala opóźnień jest tak duża, iż „zakłóca to ruch kolejowy w Europie".

Lukas Iffländer, wiceprzewodniczący grupy lobbingowej Pro Bahn, powiedział dziennikarzom z amerykańskiej publicznej stacji radiowej NPR, że przywrócenie niemieckich pociągów na właściwe tory będzie wymagało czegoś więcej niż tylko pieniędzy. „Płacimy teraz cenę za lata zaniedbań, praktycznie od 1998 r." – mówił Iffländer, wyjaśniając, że uwagi wymagają nie tylko rozpadające się tory i niesprawna sygnalizacja, lecz także nadmiernie biurokratyczna infrastruktura operatora sieci. Co prawda rząd Friedricha Merza zaplanował gigantyczne inwestycje w infrastrukturę komunikacyjną, w tym kolej, które w ciągu kilku lat

eprasa.pl 5bce68f2a2



mają wynieść nawet 500 mld euro. Sęk w tym, że na razie wykorzystanie tych pieniędzy niewiele zmienia.

Obliczenia Niemieckiego Instytutu Ekonomicznego (IW) wskazują, że w 2025 r. 86 proc. środków, które miały pójść na remonty mostów, linii kolejowych i dróg, zostało sprzeniewierzonych. Monachijski Instytut IFO doszedł nawet do wniosku, że 95 proc. nowo zaciągniętego długu nie wykorzystano na dodatkowe inwestycje infrastrukturalne, a „poluzowanie" gospodarki budżetowej służyło łataniu dziur i oznaczało przeznaczenie pieniędzy na cele zupełnie inne niż deklarowane.

I TAK SIĘ W POLSCE BAWIMY

Co ciekawe, mimo deklaracji premiera Tuska o narastającym zagrożeniu ze strony Rosji, jego rząd niewiele robi, aby przyspieszyć inwestycje w infrastrukturę o strategicznym znaczeniu, w tym linie kolejowe. Wiceminister infrastruktury Piotr Malepszak poinformował w marcu br. pytających o to dziennikarzy „The Financial Times", że Rail Baltica, kluczowa ze strategicznego punktu widzenia linia kolejowa z Polski do państw bałtyckich, ze względu na brak pieniędzy „będzie miała 10 lat opóźnienia" i zostanie oddana do eksploatacji najprawdopodobniej w 2040 r. Ale i to nie jest pewne, bo jak donosi olsztyńskie wydanie „Gazety Wyborczej", władze Ełku „bronią" terenów wodonośnych, przez które miałaby przebiegać ta strategiczna linia kolejowa.

To nic, że do tej pory wydano na inwestycje 600 mln zł i miasto miałoby otrzymać zmodernizowaną linię do Białegostoku, którą pociąg mógłby jeździć z prędkością 200 km/h. Teraz liczy się ekologia i na poziomie województwa zmieniono zapisy regulujące możliwość rozbudowy istniejących tras. W przeszłości właśnie ze względu na ochronę przyrody wykluczano budowę nowych linii kolejowych, w nowej wersji regulacji jest już mowa o torach. To zmienia sytuację, bo jednotorowa obecnie linia do Giżycka ma ograniczoną przepustowość i planowano budowę drugiego toru.

Wydaje się, że podobnie jak w lutym 2022 r., „działały tu jakieś diabły", ale w Warszawie nikt się tym najwyraźniej nie interesuje. Wiceminister Malepszak, który mówi o opóźnieniach z powodu braku środków, najwyraźniej ma inne priorytety, bo w marcu podpisał porozumienie z Niemcami i Francuzami, które przewiduje, że europejskie środki na modernizację linii kolejowych w pierwszym rzędzie zostaną wykorzystane przez naszych partnerów, którzy muszą „dociągnąć" połączenia do naszych granic. A co dalej, jak transporty wojskowe przejadą przez Polskę? Jakie zresztą mamy gwarancje, że nasi sojusznicy dotrzymają słowa albo zdążymy na czas? Żadnych.

Dobrą ilustracją sytuacji jest kwestia CEPS, czyli NATO-wskiego rurociągu przeznaczonego do transportu paliw. To strategicznie ważne połączenie dociera obecnie do granicy dawnej NRD, a dopiero na początku października ub.r. nasz PERN, odpowiadający za rurociągi w Polsce, podpisał porozumienie, i to na dodatek wstępne, przewidujące rozbudowę tych instalacji. Sęk w tym, że nawet jeśli my na czas zbudujemy bazy paliwowe i łączące je rurociągi, to Niemcy się nie spieszą. Jak w lutym 2025 r. pisał „Der Spiegel", rozbudowa rurociągów do Bramsche w Dolnej Saksonii, który ma zostać przedłużony do Polski, oraz z Ingolstadt w Bawarii do Czech zajmie 20–25 lat i będzie kosztować 21 mld euro. Co prawda pierwsze połączenia mają być gotowe już w 2035 r., ale „pojawiły się problemy". Podobnie jak pod Ełkiem chodzi o ekologię. Jak napisali dziennikarze niemieckiego tygodnika, którzy powołali się na poufną notatkę resortu obrony, trasa projektowanego rurociągu przebiega pod kilkoma rzekami oraz przez obszary chronionego krajobrazu wodnego i rezerwaty przyrody. Ponadto konieczne jest rozwiązanie kwestii własności gruntów. Wywłaszczenia oznaczają długotrwałe batalie sądowe i wraz z problemami ekologicznymi może to oznaczać – zdaniem „Spiegla" – opóźnienie inwestycji nawet o 10 lat.

> Mimo słów Tuska o narastającym zagrożeniu ze strony Rosji, jego rząd niewiele robi, aby przyspieszyć inwestycje w infrastrukturę o strategicznym znaczeniu, w tym linie kolejowe. Jak np. Rail Baltica, która będzie miała 10 lat opóźnienia

Niewiele lepsza sytuacja jest w przypadku inwestycji kolejowych w Polsce. Patryk Wild, jeden z liderów ruchu Tak dla CPK, w trakcie ostatniego kongresu tego stowarzyszenia zwrócił uwagę na strategiczne znaczenie połączeń w północno-wschodniej części naszego kraju. Stan obecny trzeba uznać za zatrważający, bo, jak napisał, obydwa istniejące szlaki kolejowe na północ od Warszawy przechodzą przez duże miasta – Olsztyn i Ełk, co oznacza nie tylko trudności transportowe, lecz także wymierne zagrożenia dla ich mieszkańców. Co więcej, wszystkie linie kolejowe w stronę przesmyku suwalskiego są obecnie jednotorowe. W związku z tym dojazd na Litwę wymaga od jednego do nawet trzech zmian kierunku ruchu pociągów i przestawiania lokomotywy. Co oznacza to w sytuacji, kiedy mielibyśmy uruchomić nawet 130 pociągów dziennie (które muszą też wrócić), nietrudno sobie wyobrazić. Zresztą za wyjątkiem linii kolejowej przez Ostrołękę wszystkie pozostałe mają w zasięgu rosyjskiej artylerii lufowej duże obiekty mostowe, a niektóre z nich w ramach ostatnich remontów zostały zmienione z podwójnych na pojedyncze. Rozbudowa linii Ostrołęka–Giżycko – oczywiście w ramach walki z pisowską „megalomanią inwestycyjną" – też „spadła z planu".

I tak się w Polsce bawimy. Premier dużo mówi w mediach o rosyjskim zagrożeniu, ale kiedy chodzi o działanie, aby je zmniejszyć i odstraszyć Putina, zaczynają się kłopoty, zmieniają priorytety, brakuje pieniędzy i trzeba chronić mazurską przyrodę.

eprasa.pl 5bce68f2a2

Czerwone korzenie marszałka

Włodzimierz Czarzasty jest modelowym przykładem dziedziczenia statusu w ramach partyjnej nomenklatury. Był bowiem komunistą już w trzecim pokoleniu





MIROSŁAW SZUMIŁO

Wielu Polaków wyrażało uzasadnione oburzenie, gdy 36 lat po oficjalnym upadku komunizmu w naszym kraju były członek PZPR Włodzimierz Czarzasty został drugą osobą w państwie. On sam twierdzi, że jest „czysty" i nie ma sobie nic do zarzucenia, ponieważ w latach PRL pracował tylko w obszarze studenckiej kultury i turystyki. W rzeczywistości nie był jednak „zwykłym" członkiem partii, lecz aktywnym działaczem w aparacie młodzieżowo-studenckim. Zdobyte w latach 80. XX w. doświadczenia, kapitał i znajomości stały się odskocznią do jego późniejszej kariery politycznej i biznesowej.

* * *

Obecny marszałek Sejmu – podobnie jak jego starszy brat Janusz – jest modelowym przykładem dziedziczenia statusu w ramach partyjnej nomenklatury. Był bowiem komunistą już w trzecim pokoleniu. Do partii wstąpił jego dziadek Hilary Czarzasty, mieszkaniec wsi Łaguny koło Przasnysza na północnym Mazowszu. Syn Hilarego, inż. Wincenty Czarzasty, był przykładem awansu społecznego w pierwszych latach Polski Ludowej. Należał do tzw. nowej inteligencji pochodzenia robotniczo-chłopskiego, która wszystko miała zawdzięczać „władzy ludowej" i stanowić podporę ustroju komunistycznego. Aktywnie działał w szeregach PZPR, dzięki czemu osiągnął stanowisko zastępcy dyrektora Mazowieckiego Kombinatu Budowlanego. Tym samym znalazł się w warstwie uprzywilejowanej nomenklatury. Jego żona Irena pracowała w Państwowym Przedsiębiorstwie Totalizator Sportowy.

Pozycja społeczna i partyjna rodziców niewątpliwe ułatwiała start życiowy braciom Czarzastym. Starszy z nich, Janusz (ur. w 1953 r.), po ukończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie Warszawskim w 1976 r. dostał posadę w Banku Handlowym w Warszawie. Pracował w Departamencie Gospodarki Dewizowej jako kierownik sekcji arbitrażowej. Aktywnie działał w szeregach PZPR i ZSMP (Związku Socja-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5bce68f2a2

listycznej Młodzieży Polskiej). Odbył trzymiesięcznie staże bankowe w Paryżu i Sztokholmie. Jego zaangażowanie zawodowe i polityczne zaowocowało skierowaniem w 1982 r. na atrakcyjną placówkę zagraniczną – do oddziału Banku Handlowego w Luksemburgu, gdzie pozostawał do 1988 r. Mógł być wzorcem kariery dla młodszego z braci.

Włodzimierz urodził się w 1960 r. Po ukończeniu XIX LO im. Powstańców Warszawy w 1979 r. podjął studia na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Wydział ten był wówczas jednym z najbardziej upartyjnionych i „czerwonych" na uczelni, co skutkuje jego lewicowym obliczem do dziś. Już na pierwszym roku studiów wstąpił do reżimowego Socjalistycznego Związku Studentów Polskich (SZSP). Organizacja ta oficjalnie miała dbać o zaspokajanie potrzeb socjalnych, kulturalnych i rekreacyjnych młodzieży akademickiej. Pod auspicjami SZSP działały słynne kluby studenckie, ośrodki wczasowe i biuro podróży Almatur. Jednocześnie związek ten był w rękach władzy komunistycznej narzędziem kontroli i indoktrynacji środowiska studenckiego.

Wielu studentów słusznie postrzegało SZSP jako trampolinę do kariery dla politycznych konformistów. Z grona studenckich aktywistów wywodzili się np. wpływowi sekretarz KC PZPR Stefan Olszowski i Stanisław Ciosek. To mogło motywować Włodzimierza Czarzastego do działania. Gdy wstępował do organizacji, jej popularność stopniowo spadała z powodu narastającego kryzysu społeczno-gospodarczego w PRL u schyłku epoki gierkowskiej. W 1979 r. odbyła się pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do ojczyzny, która wzmocniła ducha oporu wśród Polaków. Skutkowało to wybuchem strajków robotniczych latem 1980 r. i powstaniem 10-milionowego ruchu Solidarności.

SZSP znalazł się wtedy w głębokim kryzysie, gdyż pomimo prosolidarnościowych sympatii dużej części członków i ich udziału w strajkach studenckich kierownictwo organizacji utrzymało jej komunistyczny charakter. W efekcie społecznej delegitymizacji liczba członków SZSP spadła z 228 tys. do 85 tys. Znaczna część z nich odeszła do utworzonego wówczas i działającego w opozycji Niezależnego Zrzeszenia Studentów (liczącego 110 tys. członków). W okresie stanu wojennego studenci byli grupą najbardziej zaangażowaną w antykomunistyczną działalność w podziemiu. Brali także udział w manifestacjach ulicznych.

* * *

> Pozycja społeczna i partyjna rodziców niewątpliwe ułatwiała start życiowy braciom Czarzastym. Starszy z nich, Janusz, dostał posadę w Banku Handlowym w Warszawie, a w 1982 r. skierowano go na atrakcyjną placówkę zagraniczną – do oddziału Banku Handlowego w Luksemburgu, gdzie pozostawał do 1988 r.

Nie znamy ówczesnych poglądów i postaw Włodzimierza Czarzastego. Wszystko wskazuje jednak na jego zdecydowanie negatywny stosunek do Solidarności i NZS. We wrześniu 1980 r. został bowiem przewodniczącym Komisji Szkoleniowej organizacji uczelnianej SZSP na Uniwersytecie Warszawskim. Wybrał zaangażowanie po stronie reżimu skompromitowanego w oczach społeczeństwa. Po latach tłumaczył, że podjął decyzję „racjonalną i rozsądną". W rzeczywistości widzimy tutaj zwyczajny oportunizm i nastawienie na karierę w ramach systemu komunistycznego.

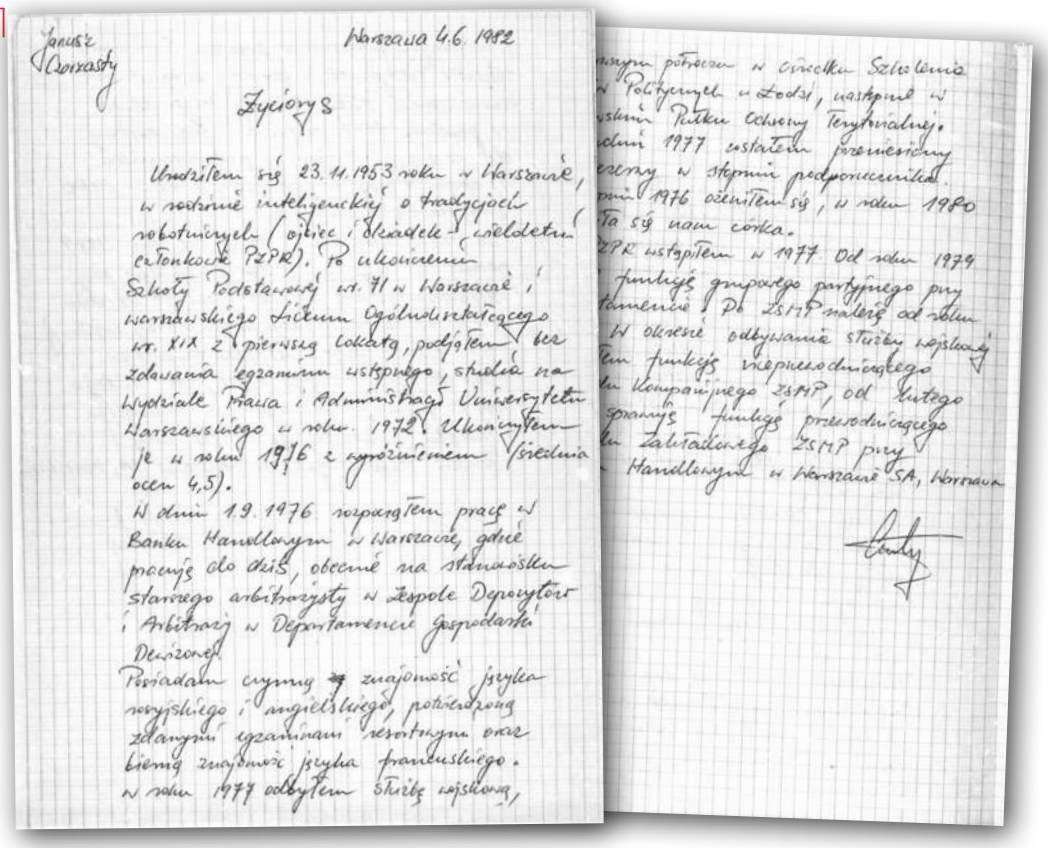
Skompromitowany SZSP został zawieszony w okresie stanu wojennego, a następnie w listopadzie 1982 r. przekształcony w Zrzeszenie Studentów Polskich (ZSP), co oznaczało powrót do dawnej formuły związku zawodowego studentów, mającego zajmować się głównie kulturą, turystyką oraz stwarzaniem studentom możliwości zarobkowania we własnych agendach lub studenckich spółdzielniach pracy. Do odnowionego ZSP przystąpiło tylko ok. 10 proc. wszystkich studentów. Głównym motywem przynależności do tej organizacji była chęć korzystania z udogodnień socjalnych (wczasy, mieszkania, praca sezonowa). Tajne badania socjologiczne wykazały, że tylko 8 proc. studentów popierało wtedy ustrój socjalistyczny.

W wyprodukowanym przez TVP filmie „Nasza młodość, nasze Zrzeszenie..." Włodzimierz Czarzasty z rozrzewnieniem wspominał, że czuje się wychowany przez ZSP, któremu poświęcił 10 lat życia. Wyjaśniał przy tym, że nie zajmował się polityką, tylko kulturą, turystyką i ekonomią. Jednak już wtedy widoczne były jego ambicje polityczne.

Podczas stanu wojennego w grudniu 1982 r. stanął na czele Rady Uczelnianej ZSP na Uniwersytecie Warszawskim. To oznaczało realną władzę w środowisku studenckim, dostęp do zasobów i pełną lojalność wobec systemu. Wkrótce potem wstąpił w szeregi PZPR, partii odpowiedzialnej za represje wobec opozycji, cenzurę, stan wojenny i podporządkowanie Polski Moskwie. Właśnie w stanie wojennym rozpoczął swoją karierę polityczną. Był typem działacza, jakiego system potrzebował: sprawnym, posłusznym i ideologicznie dyspozycyjnym.

W tym czasie po stronie reżimu Jaruzelskiego opowiedział się także jego starszy brat. Przed wyjazdem do pracy w Luksemburgu jesienią 1982 r. Janusz Czarzasty został zwerbowany do współpracy przez Departament I MSW (wywiad) jako kontakt operacyjny „Fik". W dokumentach zapisano, że odbyło się to na zasadzie „dobrowolności, lojalności i patriotyzmu". Podpisał instrukcję wyjazdową, wedle której miał „nawiązywać i utrzymywać kontakty z pracownikami zachodnich banków mających

eprasa.pl 5bce68f2a2



Janusz Czarzasty

Warszawa 4.6.1982

Życiorys

Urodziłem się 23.11.1953 roku w Warszawie, w rodzinie inteligenckiej o tradycjach robotniczych (ojciec, dziadek – wieloletni członkowie PZPR). Po ukończeniu Szkoły Podstawowej nr 71 w Warszawie, warszawskiego Liceum Ogólnokształcącego nr XIX z pierwszą lokatą, podjąłem bez zdawania egzaminu wstępnego, studia na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego w roku 1972. Ukończyłem je w roku 1976 z wyróżnieniem (średnia ocen 4,5).

W dniu 19.1976 rozpocząłem pracę w Banku Handlowym w Warszawie, gdzie pracuję do dziś, obecnie na stanowisku starszego arbitrażysty w Zespole Depozytów i Arbitrażu w Departamencie Gospodarki Dewizowej.

Posiadam czynną znajomość języka rosyjskiego i angielskiego, potwierdzoną zdanym egzaminem resortowym oraz biegłą znajomość języka francuskiego.

W roku 1977 odbyłem służbę wojskową,

...wym powołaniu w Oddziale Szkolenia ...w Politycznych w Łodzi, następnie w ...szkole Partii Centrum Terytorialnej. ...dniu 1977 zostałem przeniesiony ...rezerwy w stopniu podporucznika. ...roku 1976 ożeniłem się, w roku 1980 ...ta się nam córka.

...ZPR wstąpiłem w 1977. Od roku 1979 ...funkcję grupowego partyjnego przy ...tamencie. Po ZSMP należę od roku ...W okresie odbywania służby wojskowej ...łem funkcję międzydniowego ...w kompanijnego ZSMP, od lutego ...sprawuję funkcję przewodniczącego ...w Zakładowego ZSMP przy ...Handlowym w Warszawie SA, Warszawa

siedziby w Luksemburgu". Do jego zadań należało także „uzyskiwanie poufnych informacji o polityce kredytowej rozwiniętych krajów kapitalistycznych wobec Polski", „rozpoznawanie dawnej i obecnej emigracji polskiej zamieszkałej w Luksemburgu" oraz „ustalanie nieprawidłowości w funkcjonowaniu Oddziału Banku Handlowego w Luksemburgu". Zdaniem oficera prowadzącego dał się poznać jako „współpracownik lojalny, zdyscyplinowany i rzeczowy".

Jeden z pracowników Banku Handlowego (TW „Juliusz") w swoim donosie do SB z 1985 r. opisywał Janusza Czarzastego następująco: „Człowiek charakteryzujący się dużym sprytem. Wysoki poziom inteligencji. [...]. Dobra orientacja w problematyce ekonomicznej. Lubi układy i działania w grupie nieformalnej, ma skłonności do odgrywania roli przywódcy w takiej grupie. Pewny siebie. [...] Ma wysokie ambicje zrobienia kariery".

Powyższa charakterystyka bardzo dobrze pasuje również do Włodzimierza, o czym świadczą dokumenty zachowane w archiwum IPN. W 1984 r. Andrzej Kratiuk ze Szkoły Głównej Planowania i Statystyki (TW „Krist") informował Służbę Bezpieczeństwa o zaciętych rozgrywkach personalnych w łonie ZSP w związku z wyborami przewodniczącego Rady Okręgowej tej organizacji w Warszawie. Wytworzyły się wówczas różne frakcje i sojusze między radami uczelnianymi. Włodzimierz Czarzasty czuł się w tych rozgrywkach jak ryba w wodzie. Popierając oficjalnie kandydaturę Kratiuka, zakulisowo prowadził grę na własną rękę, aby samemu objąć wyższe stanowisko. Było to motywowane „ogromnymi ambicjami politycznymi Czarzastego, dla których realizacji zastosuje wszystkie możliwie środki". Ze względu na negatywne stanowisko działaczy z SGPiS nie osiągnął wtedy sukcesu. Nie zrezygnował jednak ze swoich ambicji. Został wiceprzewodniczącym Rady Okręgowej, a następnie wszedł do ogólnokrajowych władz ZSP jako sekretarz do spraw kultury.

* * *

ZSP było kuźnią komunistycznych i postkomunistycznych kadr, toteż aktywna działalność w tej organizacji zaowocowała znajomościami, które okazały się bardzo cenne po 1989 r., znacznie pomagając Czarzastemu w zrobieniu kariery politycznej i biznesowej. Był wśród nich jego najbliższy kolega ze studiów, przyszły prezes TVP Robert Kwiatkowski oraz Marek Siwiec, w III RP m.in. szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Należy również pamiętać o nieco starszych towarzyszach, którzy nadzorowali działalność organizacji młodzieżowych w drugiej połowie lat 80. XX w. Aleksander Kwaśniewski był członkiem władz SZSP, a później ministrem do spraw młodzieży, zaś Leszek Miller – kierownikiem Wydziału KC PZPR ds. Młodzieży, Kultury Fizycznej i Turystyki, a następnie sekretarzem KC.

Jako działacz ZSP Włodzimierz Czarzasty wyjeżdżał za granicę, uczestnicząc m.in. w spotkaniach sekretarzy „bratnich" organizacji studenckich w Pradze i Budapeszcie. Głównym kierunkiem podróży była jednak Moskwa, gdzie brał udział w konferencjach na Uniwersytecie im. Łomonosowa. W listopadzie 1986 r. jako kierownik Wydziału Szkoleń Rady Naczelnej ZSP wizytował Wyższą Szkołę Komsomołu. Otwarte pozostaje zatem pytanie o nawiązane w czasach studenckich rosyjskie kontakty Czarzastego i ich kontynuację po 1989 r.

Działacze ZSP zarządzali dość pokaźnym majątkiem, co rodziło pokusę wykorzystywania go dla celów prywatnych. W 1985 r. kontrola przeprowadzona w podlegającym Czarzastemu klubie Hybrydy wykazała wiele nieprawidłowości i „przekroczenie przepisów na pograniczu nadużyć gospodarczych". Ta smykałka do interesów wśród działaczy reżimowego ruchu studenckiego uwidoczniła się szczególnie w momencie, gdy rozpoczął się proces uwłaszczania nomenklatury PZPR na majątku państwowym. W lipcu 1988 r. powstała kluczowa w tym procesie spółka Transakcja. W jej radzie nadzorczej znalazł się m.in. działacz ZSP Marek Siwiec. Transakcja inwestowała w inne spółki nomenklaturowe. W ten sposób w czerwcu 1989 r. powstała Agencja Muza, której współwłaścicielami zostali działacze ZSP, Adam Kaczmarek i Stanisław Stępień. W 1990 r. dołączył do nich Włodzimierz Czarzasty.

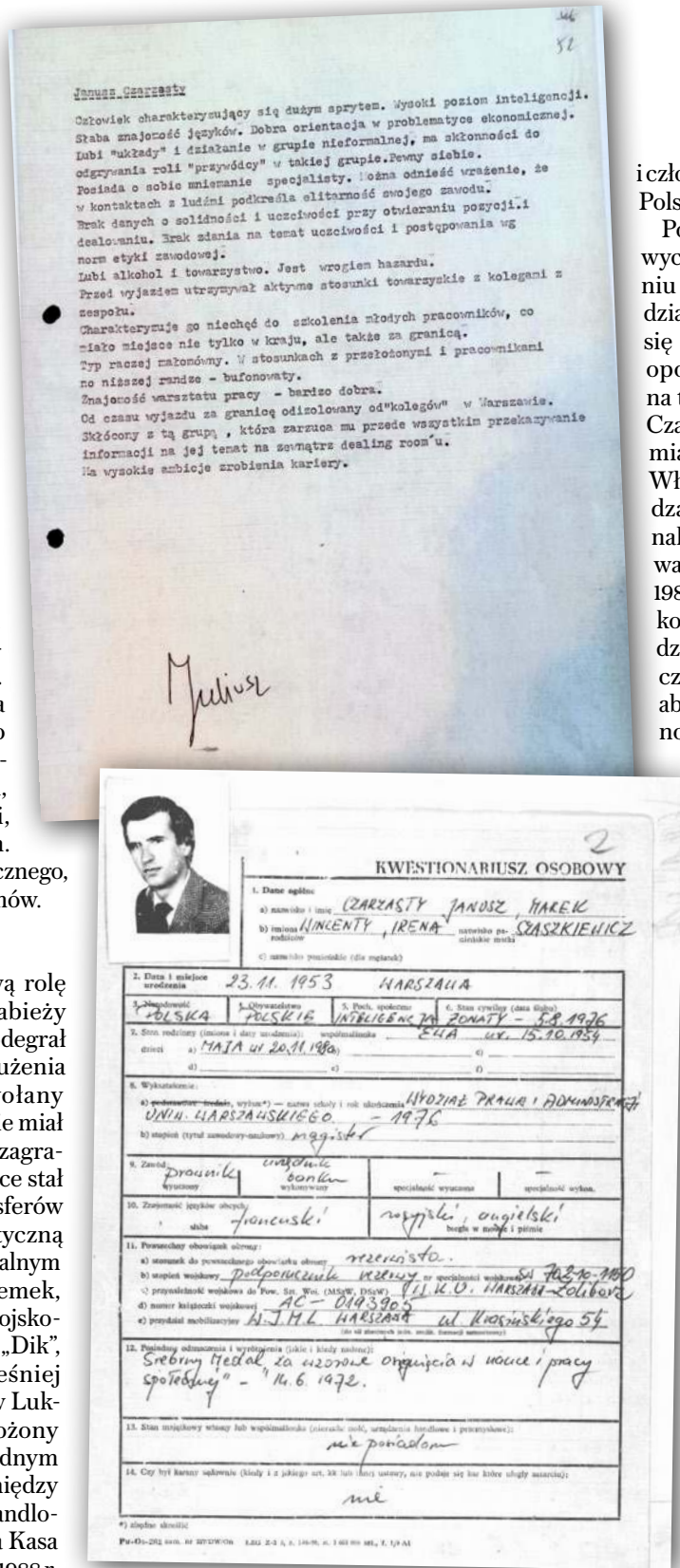
Zanim do tego doszło, w 1988 r. Czarzasty obronił wreszcie pracę magister-

eprasa.pl 5bce68f2a2

ską. Nadal pracował w aparacie ZSP jako sekretarz Rady Naczelnej, obejmując jednocześnie intratną posadę dyrektora Akademickiego Biura Kultury i Sztuki Alma-Art. Zajmował się głównie rozszerzaniem działalności gospodarczej tej agendy ZSP. Zwrócił się z odpowiednim wnioskiem do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych we wrześniu 1988 r., raczej nieprzypadkowo dwa miesiące po utworzeniu spółki Transakcja. Otrzymał zezwolenie na świadczenie szerokiego pakietu usług w zakresie handlu, gastronomii, poligrafii, informatyki, a także produkcji m.in. mebli, sprzętu elektronicznego, wydawnictw, prasy i filmów.

* * *

Jak wiadomo, kluczową rolę w całym procesie grabieży majątku państwowego odegrał Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, powołany w lutym 1989 r. Oficjalnie miał obsługiwać zadłużenie zagraniczne PRL, a w praktyce stał się mechanizmem transferów finansowych na gigantyczną skalę. Dyrektorem generalnym FOZZ był Grzegorz Żemek, tajny współpracownik wojskowych służb specjalnych „Dik", który pracował wcześniej w Banku Handlowym w Luksemburgu jako przełożony Janusza Czarzastego. Jednym z kanałów transferu pieniędzy z FOZZ – obok Banku Handlowego – był Bank Polska Kasa Opieki SA, w którym od 1988 r. Janusz Czarzasty pracował jako dyrektor Centrum Operacji Zagranicznych, a następnie wiceprezes zarządu. To rodzi pytania o jego ewentualną rolę w tym procederze, a także w całym procesie uwłaszczenia nomenklatury.



Janusz Czarzasty

Człowiek charakteryzujący się dużym sprytem. Wysoki poziom inteligencji. Słaba znajomość języków. Dobra orientacja w problematyce ekonomicznej. Lubi "układy" i działanie w grupie nieformalnej, ma skłonności do odgrywania roli "przywódcy" w takiej grupie. Pewny siebie. Posiada o sobie mniemanie specjalisty. Można odnieść wrażenie, że w kontaktach z ludźmi podkreśla elitarność swojego zawodu. Brak danych o solidności i uczciwości przy otwieraniu pozycji. i dealowaniu. Brak zdania na temat uczciwości i postępowania wg norm etyki zawodowej.
Lubi alkohol i towarzystwo. Jest wrogiem hazardu.
Przed wyjazdem utrzymywał aktywne stosunki towarzyskie z kolegami z zespołu.
Charakteryzuje go niechęć do szkolenia młodych pracowników, co miało miejsce nie tylko w kraju, ale także za granicą.
Typ raczej małomówny. W stosunkach z przełożonymi i pracownikami na niższej randze - bufonowaty.
Znajomość warsztatu pracy - bardzo dobra.
Od czasu wyjazdu za granicę odizolowany od "kolegów" w Warszawie.
Skłócony z tą grupą, która zarzuca mu przede wszystkim przekazywanie informacji na jej temat na zewnątrz dealing room'u.
Ma wysokie ambicje zrobienia kariery.

Julius

KWESTIONARIUSZ OSOBOWY

1. Dane ogólne:
a) nazwisko i imię CZARZASTY JANUSZ, MAREK
b) imiona rodziców WINCENTY, IRENA nazwisko panieńskie matki SZASZKIEWICZ
2. Data i miejsce urodzenia 23.11.1953 WARSZAWA
3. Narodowość POLSKA 4. Obywatelstwo POLSKIE 5. Pochodzenie społeczne INTELIGENCKIE 6. Stan cywilny (data ślubu) ŻONATY - 28.8.1976
7. Stan rodzinny (imiona i daty urodzenia): współmałżonka EWA ur. 15.10.1954
dzieci a) MAJA ur. 20.11.1980 b) c) d) e) f)
8. Wykształcenie:
a) ~~podstawowe, średnie~~, wyższe*) — nazwa szkoły i rok ukończenia WYDZIAŁ PRAWA I ADMINISTRACJI UNIW. WARSZAWSKIEGO - 1976
b) stopień (tytuł zawodowy-naukowy) magister
9. Zawód wyuczony prawnik wykonywany menadżer banku — specjalność wyuczona — specjalność wykon.
10. Znajomość języków obcych: słaba francuski biegła w mowie i piśmie rosyjski, angielski
11. Powszechny obowiązek obrony:
a) stosunek do powszechnego obowiązku obrony wojskowy
b) stopień wojskowy podporucznik rezerwy ze specjalności wojskowej SI 10.10.1980
c) przynależność wojskowa do Pow. Szt. Woj. (MSW, DSW) WKU WARSZAWA-ŻOLIBORZ
d) numer książeczki wojskowej AC - 0193905
e) przydział mobilizacyjny W.I.M.L. WARSZAWA ul. Kruczkowskiego 54
12. Posiadane odznaczenia i wyróżnienia (tytuł i kiedy nadane): Srebrny Medal za wzorowe organizacja w nauce i pracy społecznej" - 14.6.1972.
13. Stan majątkowy własny lub współmałżonka (ziemia: ile?, urządzenia budowane i przemysłowe): nie posiadam
14. Czy był karany sądownie (kiedy i z jakiego art. KK lub innej ustawy, nie podaje się kto które sługy nadzorują): nie

*) zbędne skreślić

Podobnie jak Włodzimierz znakomicie odnalazł się w realiach III RP. Pełnił funkcje, które sytuowały go w centrum polskiego systemu finansowego, m.in. był prezesem Izby Domów Maklerskich i członkiem zarządu Związku Banków Polskich.

Po porażce w wyborach kontraktowych 4 czerwca 1989 r. oraz utworzeniu rządu Tadeusza Mazowieckiego działacze PZPR bezboleśnie rozstali się z władzą. Dlaczego nie stawiali oporu? Częściowo odpowiedział na to pytanie właśnie Włodzimierz Czarzasty podczas internetowej wymiany zdań z byłym opozycjonistą Władysławem Frasyniukiem, stwierdzając: „Żeście komunistów pokonali? No nie. Wyście się z nami, k... wa, przy okrągłym stole i 4 czerwca 1989 r. do-ga-da-li!". W istocie celem komunistów było kontrolowane podzielenie się władzą z umiarkowaną częścią opozycji solidarnościowej, aby przerzucić na nią odpowiedzialność za niepopularną, aczkolwiek konieczną transformację gospodarki. Ostatecznie stracili władzę polityczną, ale polityka „grubej kreski" zapewniła im bezkarne uwłaszczenie się na majątku Polaków. Natomiast reforma gospodarki stała się rzeczywistością w postaci tzw. terapii szokowej w ramach planu Balcerowicza.

Paradoksem transformacji ustrojowej w Polsce jest to, że z powodu braku dekomunizacji na przemianach własnościowych w największym stopniu skorzystali ludzie z klasy uprzywilejowanej w PRL, którzy po kilku latach – jako działacze postkomunistycznego Sojuszu Lewicy Demokratycznej – zebrali owoce niezadowolenia społecznego z trudnych reform i powrócili do władzy. Niepoślednią rolę odegrali przy tym dawni działacze ZSP, skupieni we wpływowym Stowarzyszeniu Ordynacka, przez wiele lat kierowanym przez Włodzimierza Czarzastego. Dziś jest on marszałkiem Sejmu, a Marek Siwiec – szefem jego kancelarii.

Autor jest profesorem nauk humanistycznych, pracownikiem Biura Badań Historycznych Instytutu Pamięci Narodowej

eprasa.pl 5bce68f2a2



Niedoszły zamachowiec Cole Thomas Allen

Zamach w Hiltonie

Prezydentowi USA jest nie na rękę, iż zamachowcem okazał się inteligent z bogatego i supernowoczesnego rejonu Stanów Zjednoczonych, rozsądnie myślący chrześcijanin, bo to wskazywałoby na jakiś rodzący się bunt społeczności chrześcijańskich przeciw Trumpowi



JAN ROKITA

W Waszyngtonie było krótko po godz. 20.30, a bankiet w sali balowej Hotelu Hilton powoli dobiegał końca. Kelnerzy właśnie ruszyli do podawania sałatki i wina, a przy deserze miała się zacząć najciekawsza, polityczna część imprezy, z kulminacją, czyli mową prezydenta USA. Na to wystąpienie z zaciekawieniem czekało ok. 2,5 tys. zgromadzonych w wielkiej sali balowej, głównie dziennikarzy i dyplomatów, zwłaszcza po tym, jak parę godzin wcześniej rzeczniczka Białego Domu w bombastycznym tonie zapowiedziała, że „wieczorem na sali padnie kilka strzałów” („there will be some shots fired tonight in the room”). Nieszczęsna Karoline Leavitt nie mogła nawet przypuszczać, ile najfantastyczniejszych teorii spiskowych, bazujących na przekonaniu o „zamachu zainscenizowanym”, już za kilka godzin sprowokuje jej oświadczenie.

Ciekawość tego, co Donald Trump ma do powiedzenia na gali Klubu Korespondentów Białego Domu, była tym większa, że prezydent, skonfliktowany z liberalnymi mediami, nigdy dotąd nie bywał na tej corocznej imprezie. A dziennikarski Klub Korespondentów Białego Domu represyjnie pozbawił nawet przywileju obecności podczas wydarzeń mających miejsce w Gabinecie Owalnym.

Po raz ostatni Trump zasiadł w sali balowej Hiltona wraz z korespondentami Białego Domu w 2011 r., gdy był zaproszony jako celebryta, wkraczający dopiero w politykę. Został tam

Fot. AFP/East News

eprasa.pl 5bce68f2a2

bezlitośnie publicznie wykpiony przez pogardzającego nim Baracka Obamę. Nie dziwiłbym się, gdyby Trump zachował w duchu obrzydzenie dla tej imprezy. A w tym roku zapewne w końcu się przemógł, być może licząc na jakiś rozejm w stosunkach z mediami przed kluczowymi dla jego dalszego losu listopadowymi wyborami do Kongresu USA.

„ZWYKŁY GOŚĆ HOTELOWY"

Do wystąpienia prezydenta jednak nie doszło, gdyż nagle w głównych drzwiach sali padły strzały. Na filmie, sekunda po sekundzie pokazującym całe zajście, widać, że Trump i jego żona, siedzący przy prezydialnym stole, przez moment nieruchomieją, jakby wpatrzeni w drzwi z niemym pytaniem na ustach: „A cóż tam się znowu dzieje?".

Potem prezydent powie dziennikarzom, że w pierwszej chwili myślał, iż to odgłos jakiejś sterty walących się nagle talerzy. Ale niemal natychmiast można było usłyszeć kilka kolejnych strzałów, a na salę ze wszystkich stron wpadli agenci Secret Service, otaczając prezydenta i siedzące koło niego osoby. Nagle zrobił się straszny chaos, gdyż po stołach z jedzeniem (jak w jakimś kontestatorskim filmie, np. „Hair") zaczęli skakać agenci, szukający w masie ludzi, stolików i krzeseł członków rządu i dygnitarzy, których powinni natychmiast wyprowadzić z sali. Spikera Izby Reprezentantów Michaela Johnsona wyciągali na zewnątrz z taką energią, że rozdarli mu smoking.

Po całym zajściu, w którym na szczęście ranne od kul okazały się tylko dwie osoby – zamachowiec i oficer Secret Service – Trump będzie z uznaniem mówić o agentach ochrony, iż udało im się nie dopuścić zamachowca do wnętrza sali balowej, gdzie mógł zastrzelić nie tylko prezydenta, lecz także pozabijać zgromadzonych tam dygnitarzy. A prokurator generalny (świeżo co mianowany) Todd Blanche będzie podkreślał, że w najbardziej niebezpiecznym momencie pomiędzy zamachowcem i prezydentem były „setki agentów federalnych".

Jednak zgodna opinia fachowców od bezpieczeństwa w USA jest odmienna i dobrze wyraża ją były zastępca szefa operacji FBI, agent Robert D'Amico. Mówi: „Prezydent, który stawia czoło tak potężnej kampanii wrogości, jeśli uczestniczy w wydarzeniu publicznym w hotelu otwartym dla gości z zewnątrz, to powinien mieć gwarancję zaostrzonych, a nie poluzowanych standardów bezpieczeństwa".

Okazuje się, że goście przybywający na bankiet nie byli sprawdzani według imiennej listy zaproszeń, a bramki bezpieczeństwa, nie dość, że wadliwie rozstawione, to jeszcze pozostały otwarte po przybyciu prezydenta. Zamachowiec miał więc wolną i prostą przestrzeń, aby się rozpędzić i przedrzeć przez nie z bronią w ręku, nim którykolwiek z agentów zdążył zablokować mu drogę. Na nagraniu z hotelowej kamery widać, jak agenci pilnujący bramek składają się do strzału w stronę zamachowca dopiero wtedy, gdy biegiem dopada on już do drzwi sali balowej. A wcześniej po prostu melduje się jako zwykły gość hotelowy w jednym z 1,1 tys. pokoi waszyngtońskiego Hiltona. W 1981 r. w tym samym miejscu ciężko ranny w zamachu został prezydent Ronald Reagan. Tyle że on nie był wtedy na sali balowej, ale właśnie opuszczał hotel po wygłoszonej mowie.

KAMPANIA WROGOŚCI

Jednak istota tego, o czym mówi agent D'Amico, tkwi w owej globalnej „kampanii wrogości", której Trump musi „stawiać czoło". To jasne, że prezydent USA, który w bezprzykładny sposób albo jest znieważany jako szaleniec, albo oskarżany o niepopełnione zbrodnie, a jego sztucznie wykoślawiona twarz idioty służy mediom po obu stronach Atlantyku do straszenia dorosłych i dzieci, jest dziś zagrożony bardziej niźli ktokolwiek inny.

Dwa dni przed zamachem 2 mln widzów telewizji ABC mogło pokładać się ze śmiechu, gdy ich ulubiony komik Jimmy Kimmel tak opowiadał im o żonie prezydenta: „Spójrzcie dziś na Melanię, jakaż ona jest piękna. Pani Trump! Promienieje pani tak, jakby rychło miała pani zostać wdową!".

W samym dniu zamachu, w sobotę 25 kwietnia, Emmanuel Macron obwieszczał właśnie w Atenach, że Ameryka Trumpa jest trzecim wrogiem Europy, na równi z Rosją Putina i Chinami Xi Jinpinga, i każdy Europejczyk musi to w końcu zrozumieć.

A ledwie kilkanaście dni przed zamachem nawet papież obwieścił chrześcijańskiemu światu, iż oto pojawił się bałwochwalca, który „odwrócił się plecami do Boga żywego, aby z siebie samego i ze swej władzy uczynić bożka [...] i domaga się, by cały świat ugiął przed nim kolano".

Czy w takiej aurze nie należy się spodziewać kolejnych zamachów na Trumpa? Odpowiedzi dostarcza również niezwykle interesująca sylwetka zamachowca.

31-letni inżynier Cole Thomas Allen, absolwent najbardziej prestiżowej kalifornijskiej politechniki Caltech w Pasadenie (ponad 80 laureatów Nagrody Nobla), jest białym inteligentem, wywodzącym się z inteligenckiej, nauczycielskiej rodziny, żyjącym wraz z rodzicami w zamieszkiwanej przez klasę średnią dzielnicy Torrance, jednego z satelickich miast aglomeracji Los Angeles nad Zatoką Santa Monica. Obok znajduje się sławne El Segundo, dzisiaj bijące na głowę Dolinę Krzemową centrum amerykańskiego przemysłu high-tech. Allen jest przy tym (a na pewno był do niedawna) znanym miejscowym chrześcijańskim aktywistą, przewodzącym dużej grupie religijnej Caltech Christian Fellowship – organizacji zrzeszającej ludzi związanych z politechniką w Pasadenie i (jak można się dowiedzieć ze strony CCF) „pogłębiających wiarę chrześcijańską, wspólnie modlących się i studiujących Biblię".

Postać Allena to zatem zaprzeczenie wszystkiego, co mogłoby się kojarzyć z fanatyzmem politycznym, terroryzmem czy zamachami. To inteligent z bogatego i supernowoczesnego rejonu USA, tyle że opętany kampanią nienawiści wylewającą się zewsząd każdego dnia, zarówno w Europie, jak i Ameryce. Nie wiemy jeszcze, co o jego poczytalności orzekną amerykańscy psychiatrzy i sędziowie. W pamięci pozostaje bowiem figura Johna Hinckleya, zamachowca na Reagana z 1981 r., który nie odpowiedział za swą zbrodnię, bo

eprasa.pl 5bce68f2a2

uznano go za szaleńca, a teraz, już dawno wypuszczony z domu wariatów, przedstawia dziennikarzom autorytatywne opinie na temat zamachu dokonanego w tym samym hotelu.

MANIFEST ZAMACHOWCA

Jednak Allen tuż przed swoim zbrojnym szturmem na bramki bezpieczeństwa w Hiltonie rozesłał długi e-mail, zapewne wcześniej przygotowany, z uzasadnieniem swego czynu. Ten tekst, upubliczniony w USA przez „New York Post" (wbrew woli Trumpa) daje obraz człowieka umysłowo przytomnego, który – tak jak wielu innych – uwierzył w kłamstwa na temat Trumpa i uznał, iż z moralnego punktu widzenia musi raz na zawsze uciszyć potwora i antychrysta.

W tym tekście, ważnym do rozpoznania autentycznego stanu umysłu rozbudzonych antytrumpistów, zaciekawiły mnie szczególnie dwa momenty. Pierwszy to charakterystyka prezydenta jako „pedofila, gwałciciela i zdrajcy, obciążającego moje [tzn. Allena] ręce swoimi zbrodniami". To chyba z powodu tego fragmentu Trump nie chciał publikacji treści e-maila. A gdy złośliwie w twarz rzuciła mu oskarżenie Allena dziennikarka telewizji CBS i celebrytka Norah O'Donnell (znana głównie z fitnessu i technik odchudzania), z którą prezydent zgodził się porozmawiać na antenie po zamachu, odrzekł: „Nikogo nie zgwałciłem, nie jestem pedofilem, nie powinnaś była tego czytać na antenie, to haniebne postępowanie". Ale mam wrażenie, że Trump chciał zachować poufność tekstu Allena także z innego powodu.

Zaraz po zamachu Trump mówił dziennikarzom, iż „ten facet to chory człowiek, kiedy czyta się jego manifest; on nienawidzi chrześcijan, to pewne, nienawidzi chrześcijan". Otóż rzecz w tym, że tekst Allena ani nie wskazuje na chorobę, ani na nienawiść do chrześcijan. Nietrudno zrozumieć, że prezydentowi jest nie na rękę, aby Amerykanie dowiedzieli się, iż zamachowcem okazał się rozsądnie myślący chrześcijanin, bo to wskazywałoby na jakiś rodzący się bunt społeczności chrześcijańskich przeciw Trumpowi. Ale poważne portale chrześcijańskie w USA, choćby takie jak założony jeszcze przez sławnego pastora Billy'ego Grahama CT (Christianity Today) nie mają wątpliwości, że jest on „człowiekiem spokojnym i oddanym swojej wierze", a przez członków lokalnej wspólnoty religijnej wspominany nawet jako „głęboko wierzący wyznawca chrześcijaństwa ewangelicznego".

W swoim niezwykłym e-mailu Allen dziękuje rodzinie i swej wspólnocie religijnej za „miłość, jaką okazywała mu przez 31 lat". Po czym obszernie tłumaczy, jak rozumie ewangeliczne nakazy „nadstawienia drugiego policzka" i „oddania cesarzowi co cesarskie". Pisze: „Nadstawianie drugiego policzka jest dla tych, którzy sami są uciskani. Ale nadstawianie drugiego policzka, gdy ktoś inny jest uciskany, nie jest zachowaniem chrześcijańskim, to współudział w zbrodniach ciemiężyciela". I dalej: „Oddajcie cesarzowi to, co należy do cesarza. Ale jeśli politycy nie przestrzegają prawa, to nikt nie jest zobowiązany do oddawania im czegokolwiek" (cytaty podaję w tłumaczeniu za portalem CT). Krótko mówiąc, Allenem miotają klasyczne i racjonalne dylematy każdego chrześcijanina dotyczące polityki. Tyle tylko, że pod wpływem zakłamanej wiedzy o Trumpie i jego polityce rozstrzyga je tak, iż dochodzi do wniosku o bohaterskiej konieczności zabicia tyrana. Warto pamiętać, że we wczesnych „Sentencjach" św. Tomasz z Akwinu podobnie broni tyranobójców – oczywiście o ile zabijają oni prawdziwego, a nie wyimaginowanego tyrana-uzurpatora. Allen uwierzył, że kimś takim jest właśnie Trump.

Trump woli powiedzieć religijnym Amerykanom, że chciał go zamordować jakiś szaleniec, opętany nienawiścią do chrześcijan, których on, prezydent, broni i jest im duchowo bliski. Taka „ideowa" konstrukcja zamachu jest przynajmniej prosta i łatwa do wytłumaczenia. Chrześcijańskie organizacje, w których działał Allen, zapadły się pod ziemię i nie odezwały się nawet na usilne prośby religijnych mediów (takich choćby jak portal CD) – ich władze zapewne truchleją ze strachu, bo nie wiedzą, czy mają rzekomego tyranobójcę przekląć, czy starać się go tłumaczyć.

> Najbardziej zaciekli antytrumpiści kolportują – z wielkimi zasięgami – spiskowe teorie, mające przedstawić Trumpa jako winnego, a nie ofiarę zamachu

Cała rzecz jest w najwyższym stopniu krępująca również dla papiestwa, bo choć Allen zapewne nie jest katolikiem, to papież Leon XIV ma udział w zohydzaniu Trumpa wszystkim chrześcijanom. A waszyngtoński postępowy kard. Robert McElroy dopiero co urządził religijno-polityczny wiec antrumpistowskich fanatyków w czasie nabożeństwa w katedrze św. Mateusza.

Z kolei najbardziej zaciekli antytrumpiści kolportują – z wielkimi zasięgami – spiskowe teorie, mające i tym razem przedstawić Trumpa jako winnego, a nie ofiarę zamachu. Jedna nich powiada, iż prezydent zamówił sobie taki zamach u chrześcijan, bo chce skończyć budowę wielkiej sali balowej w Białym Domu, więc potrzebuje argumentu o niebezpieczeństwie wielkich imprez organizowanych w Hiltonie.

Inna zrzuca winę za zainscenizowanie zamachu na Żydów, którzy chcą obarczyć chrześcijan winą za próbę zabicia (jak się mówi w rządzie w Jerozolimie) największego przyjaciela, jakiego Izrael miał kiedykolwiek w Białym Domu. Główni aktorzy albo zatem zapadli się pod ziemię i milczą, albo próbują konfabulować.

Wygląda na to, że Cole Thomas Allen jest zamachowcem tyleż charakterystycznym dla dzisiejszych realiów politycznych i kulturowych, co wyjątkowo niewygodnym dla wszystkich.

eprasa.pl 5bce68f2a2



Kruszy się imperium Orbána

Otoczenie Orbána w pośpiechu wyprowadza pieniądze poza Węgry, a przyszły premier Péter Magyar obiecuje, że rozliczy się nie tylko z Fideszem, lecz także ze związanymi z nim oligarchami, think tankami oraz mediami

Po chaotycznej i spolaryzowanej kampanii Węgry stoją u progu nowej ery. Péter Magyar, niegdyś wychowanek Viktora Orbána, zadał Fideszowi historyczny cios. Jego partia TISZA (Szacunek i Wolność) zdobyła 141 ze 199 miejsc w parlamencie, zapewniając sobie większość dwóch trzecich niezbędną do zmiany konstytucji i przekształcenia węgierskich instytucji.

Manifest TISZY, opublikowany na początku lutego, nakreśla proeuropejską trajektorię. Partia deklaruje, że chce odbudować zaufanie sojuszników z UE i NATO oraz zobowiązuje się do przystąpienia do strefy euro do 2030 r. Przywrócenie praworządności jest przedstawiane przede wszystkim jako sposób na odblokowanie 17 mld euro funduszy UE, obecnie zamrożonych. W tym celu Magyar udał się w minioną środę do Brukseli i zapewne nie będzie to jego ostatnia wizyta w tym mieście. Przyszły węgierski premier ma nadzieję, że Ursula von der Leyen odblokuje środki jako swoisty kredyt zaufania do nowych węgierskich władz, tak jak odmroziła je Polsce po dojściu do władzy koalicji 13 grudnia pod wodzą Donalda Tuska. Mimo braku wymaganych reform.



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Dlaczego to takie ważne? Bo dług publiczny Węgier wzrósł do zawrotnych 125 mld euro i w ciągu najbliższych dwóch, trzech miesięcy Magyar będzie musiał się zmierzyć z pełnym ciężarem tej sytuacji. Część zamrożonych środków (10 mld euro) pochodzi z funduszu odbudowy i mogą one przepaść, jeśli do sierpnia Węgry nie spełnią warunków ustalonych przez Komisję Europejską. Magyarowi więc się spieszy.

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl 5bce6812a2

DOPAŚĆ „GANG" ORBÁNA

Spieszy mu się także do wewnętrznych rozliczeń. Podczas dwóch wywiadów dla mediów publicznych zapowiedział „wykorzenienie" wpływów Orbána, odpolitycznienie wszystkich instytucji, reformę konstytucyjną, demontaż „medialnej machiny propagandowej" oraz nowy model rządzenia. „Przed nami ogrom pracy. W pierwszej kolejności wprowadzimy środki antykorupcyjne, rozpoczniemy procedurę przystąpienia Węgier do Europejskiej Prokuratury Publicznej, powołamy Narodowy Urząd ds. Odzyskiwania i Ochrony Majątku, odblokujemy środki unijne, znowelizujemy Ustawę Zasadniczą oraz zapiszemy, że w przyszłości każdy premier Węgier będzie mógł sprawować urząd tylko przez dwie kadencje [...] Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby przywrócić rządy prawa, pluralistyczną demokrację oraz system równowagi i kontroli władz, ponieważ taki mandat dali nam obywatele Węgier" – obiecywał kandydat na premiera. Groził przy okazji osobom, które jego zdaniem są „marionetkami systemu Orbána", takim jak prezydent Tamás Sulyok czy prokurator generalny Gábor Bálint Nagy, usunięciem z urzędu, „jeśli nie zrezygnują z własnej woli".

Kadencja prezydenta trwa do 2029 r. i ma on – choć bardziej ograniczone niż w Polsce – prawo weta wobec ustaw. Zapewne by podkreślić swoją determinację, Magyar wybrał Bálinta Ruffa, jednego ze swoich doradców politycznych, na szefa biura premiera. Ruff, weteran opozycji – kierował m.in. (nieudaną) kampanią prezydencką socjalisty Lászlo Botki w 2017 r.– ma nadzorować rozliczenia. „Muszę zadbać o to, by wymiar sprawiedliwości dopadł gang, który pozbawił kraj co najmniej 20 bln forintów (55 mld euro)" – powiedział Ruff w jednym z wywiadów.

UCIECZKA OLIGARCHÓW I ICH MAJĄTKÓW?

Sam Magyar zdążył już oskarżyć ministrów i urzędników Orbána o niszczenie dokumentów, a oligarchów o wywożenie pieniędzy z kraju. W wywiadzie dla radia Kossuth zadeklarował, że otrzymuje zdjęcia z różnych resortów, na których widać dokumenty przepuszczane przez niszczarki.

Ustępujący minister spraw zagranicznych Péter Szijjártó, którego ministerstwo znalazło się wśród tych oskarżonych o niszczenie poufnych dokumentów, w oświadczeniu dla węgierskiego portalu informacyjnego Telex określił oskarżenia jako „bzdury" i „oburzające".

Twierdzenia Magyara potwierdził jednak częściowo brytyjski dziennik „The Guardian", który utrzymuje, że „prywatne odrzutowce załadowane łupami osób, których majątek wzrósł w ciągu 16 lat rządów Orbána, stale startują z Wiednia, podczas gdy inni oligarchowie ścigają się, aby zainwestować swój majątek za granicą". „Wysoko postawieni ludzie z otoczenia Orbána rozważają wizy do USA, mając nadzieję na znalezienie pracy w instytucjach powiązanych z ruchem MAGA prezydenta Donalda Trumpa" – czytamy na łamach gazety. Jak podały dziennikowi „The Guardian" dwa źródła w Fideszu, bogactwo oligarchów jest transferowane do krajów Bliskiego Wschodu – Arabii Saudyjskiej, Omanu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich, a także do Australii i Singapuru.

Magyar wezwał prokuratora generalnego, szefa policji i szefa urzędu skarbowego do „zatrzymania przestępców" i „niepozwolenia im na ucieczkę" do krajów, z których ekstradycja byłaby mało prawdopodobna. Według niego wśród osób, które mają opuścić kraj, znajduje się rodzina Lőrinca Mészárosa, jednego z najbliższych przyjaciół Orbána, którego droga od instalatora gazowego do najbogatszego człowieka na Węgrzech odbyła się dzięki kontraktom w ramach zamówień publicznych.

O wyścigu w transferze bogactwa za granicę jako pierwsi poinformowali niezależni dziennikarze na Węgrzech, w tym portal śledczy VSquare, który stwierdził, że kluczowe postaci powiązane z Orbánem starają się zabezpieczyć swoje aktywa, zanim nowy węgierski rząd mógłby je zamrozić, przejąć lub znacjonalizować, a także serwis informacyjny 444.hu, który w marcu doniósł, że oligarchowie związani z Orbánem przenoszą swoje aktywa do Dubaju.

NER NA CELOWNIKU

Według serwisu chodziło przede wszystkim o Ádáma Matolcsyego, syna byłego prezesa banku centralnego Györgya Matolcsyego, który miał kazał przewieźć w kontenerach z Węgier do Dubaju swój najcenniejszy majątek ruchomy, w tym kolekcję samochodów Porsche. Matolcsy mieszka w Dubaju już od dłuższego czasu, podobnie jak jego ojciec. Węgierska policja poinformowała w komunikacie prasowym, że w sprawie wpływu środków z Węgier prowadzone jest śledztwo przeciwko nieznanym sprawcom, dotyczące sprzeniewierzenie mienia, które może spowodować szczególnie poważne straty finansowe. A administracja skarbowa ogłosiła, że zablokowała część „podejrzanych" przelewów.

Jednym z głównych celów przyszłego premiera stał się Lőrinc Mészáros. W opublikowanym na Facebooku nagraniu Magyar oskarżył oligarchę o próbę sprzedaży po cichu i po zaniżonej cenie telewizji TV2, największego prywatnego nadawcy w kraju, który jego zdaniem wytwarza „propagandę w stylu Goebbelsa". Grupa Mészáros stanowczo temu zaprzeczyła, twierdząc, że nie planuje żadnej sprzedaży ani po rynkowych, ani zaniżonych cenach.

Magyarowi chodzi oczywiście także o NER – Narodowy System Współpracy (Nemzeti Együttműködés Rendszere). NER to system instytucjonalno-prawny, który skupia polityków partii Fidesz kontrolujących kluczowe instytucje węgierskiego państwa oraz przedsiębiorców wspierających ugrupowanie finansowo w zamian za korzyści biznesowe. Według portalu 24.hu „ponad bilion forintów [11,6 mld zł] znajduje się na kontach bankowych 29 firm bliskich NER". Pierwsze miejsce zajmuje V-Híd, firma z Budapesztu, będąca jednym z liderów w budowie infrastruktury kolejowej, drogowej i mostowej, ze 115 mld forintów (1,3 mld zł), ale Mészáros i Mészáros Zrt. również znalazły się w pierwszej dziesiątce z 32,1 mld forintów (375 mln zł). Ta ogromna fortuna i jej los rodzą wiele pytań, ponieważ pod koniec marca, przed wyborami parlamentarnymi, ujawniono, że część pieniędzy trafiła na prywatne konto Mészárosa. Magyar najwyraźniej obawia się, że te pieniądze również znikną.

eprasa.pl 5bce68f2a2

WIELKA SMUTA

Oligarchowie, obok – jak twierdzi – „stronniczych" mediów, szczególnie publicznych, najbardziej drażnią Magyara, choć wciąż chyba nie zdecydował, co zrobić z publicznymi nadawcami. Najpierw zadeklarował, że jego rząd wstrzyma nadawanie programów i wprowadzi nowe instytucje nadzorujące media. Z kolei w publicznej stacji telewizyjnej M1 zapewniał, że jego gabinet nie będzie ingerować w pracę mediów publicznych. Czas pokaże.

Tymczasem Fidesz usiłuje się pozbierać po porażce, którą prorządowy dziennik „Magyar Nemzet" nazwał „ogromną smutą". Orbán stał się przy tym, jak twierdzą węgierscy eksperci, ogromnym obciążeniem dla partii, ale nie ma go na razie za bardzo kim zastąpić. Według „EUobserver" krążą plotki, że Orbán, który odmówił zasiadania w parlamencie w Budapeszcie, może desantować się do Parlamentu Europejskiego, gdzie jednemu z europosłów Fideszu odebrano właśnie immunitet z powodu zarzutów korupcyjnych. Na razie wiadomo z pewnością tylko to, że Orbán będzie chciał reorganizować swój obóz polityczny. Podczas spotkania zarządu partii w minionym tygodniu zaproponował odejście ze stanowiska przewodniczącego. Zarząd nie przyjął jednak jego rezygnacji. W czerwcu odbędzie się kongres Fideszu, na którym zostaną przeprowadzone wybory przewodniczącego. Do tego czasu będzie dalej kierował partią.

Orbán wystosował też list do członków Fideszu, którego treść ujawnił portal 444.hu. Odchodzący premier pisze w nim, że „w życiu naszego kraju rozpoczyna się nowy okres – okres rządów liberalnych". „Zadaniem naszej społeczności jest ochrona wielkich osiągnięć narodowych ostatnich 16 lat i podtrzymywanie ideału rządów narodowych" – czytamy.

Według wiceprzewodniczącego Fideszu Gábora Kubatova „wewnętrzne rozliczenia będą długie i żmudne". Reorganizacja obozu narodowego będzie tym trudniejsza, że Magyar zamierza zwalczać nie tylko sam Fidesz i jego oligarchów, lecz także związane z nim konserwatywne think tanki, takie jak Mathias Corvinus Collegium (MCC), które posiada 10 proc. udziałów w węgierskim przedsiębiorstwie naftowym MOL. 16 kwietnia Magyar spotkał się z prezesem MOL Zsoltem Hernádim, od którego zażądał otwarcie, by nie wypłacił MCC należnej mu dywidendy w wysokości 25 mld forintów.

„Bez wątpienia spróbują to zamknąć" – powiedział prof. Frank Furedi, dyrektor wykonawczy MCC, cytowany przez portal Politico.

> Przyszły węgierski premier ma nadzieję, że Ursula von der Leyen odblokuje unijne środki dla jego kraju jako swoisty kredyt zaufania do nowych władz, tak jak odmroziła je Polsce po dojściu do władzy koalicji 13 grudnia pod wodzą Donalda Tuska. Mimo braku wymaganych reform

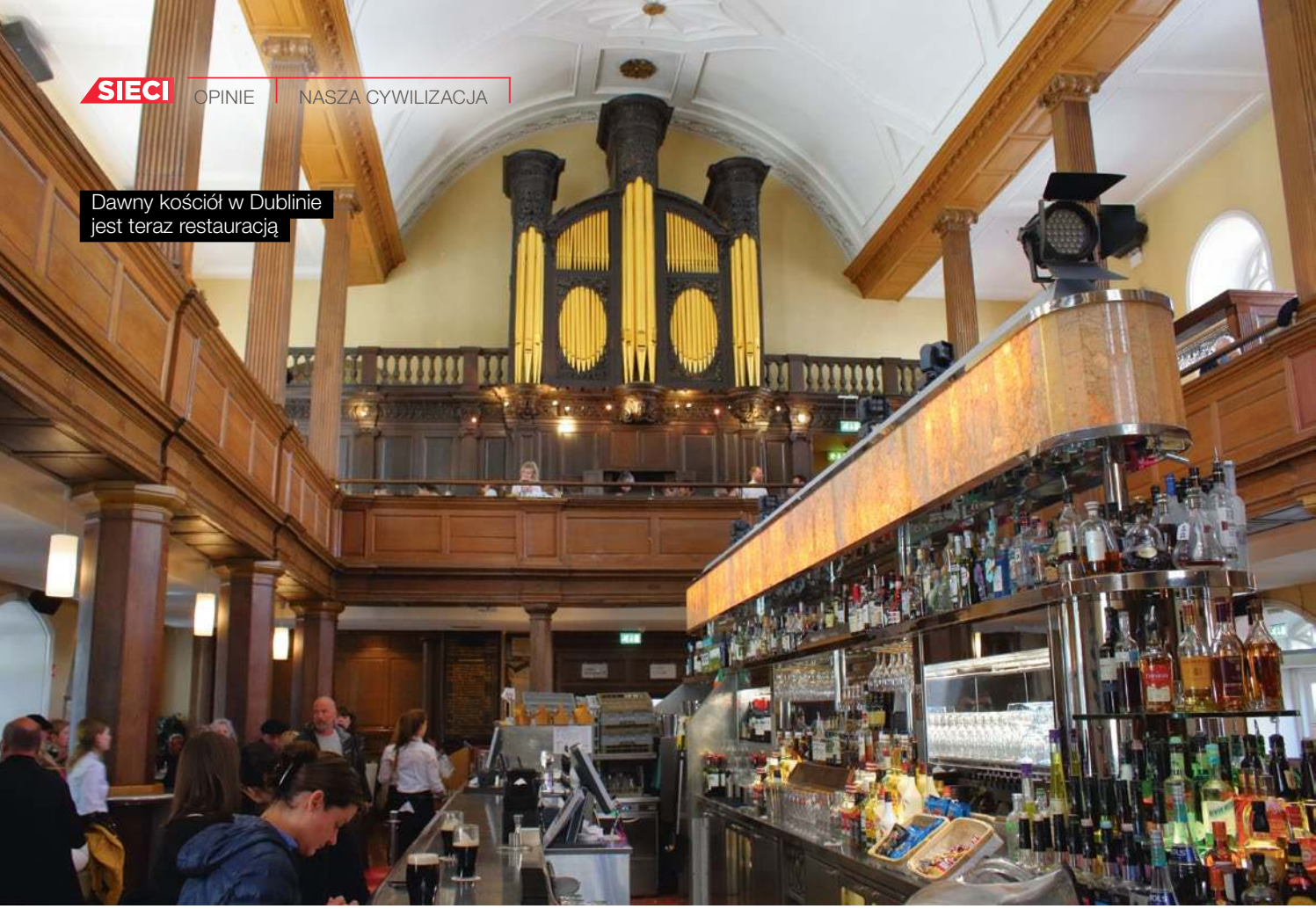
AMATORZY POD PRESJĄ

Ile z tych dość buńczucznych zapowiedzi uda się nowemu premierowi zrealizować, pozostaje oczywiście kwestią otwartą. Jest on bowiem otoczony przez amatorów. Sama partia ma niewielu członków. Po Magyarze, który zajął drugie miejsce na liście partyjnej, w wyborach startował śpiewak operowy, a w wielu okręgach wyborczych kandydowali lekarze, policjanci, pielęgniarki i przedsiębiorcy. W parlamencie zasiądą po raz pierwszy w życiu. TISZA musi jednak sformować rząd, potrzebuje ministrów, sekretarzy stanu i doświadczonego personelu w całej strukturze aparatu rządowego.

Na dodatek wygląda na to, że negocjacje z Brukselą w sprawie odmrożenia funduszy unijnych nie będą łatwe. Jak informuje portal „The European Conservative", który powołuje się na anonimowe źródła unijne, żądania Brukseli mogą dotyczyć kwestii migracji, Ukrainy oraz LGBT+, a wypłata funduszy nie rozpocznie się bez ich spełnienia. Jak twierdzi portal, Węgry będą musiały zastosować się do orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości UE w sprawie przyjmowania osób ubiegających się o azyl, nie będą mogły dalej utrudniać wdrażania paktu migracyjnego i będą zmuszone dostosować się do stanowiska większości w sprawie przystąpienia Ukrainy do Unii. W artykule cytowany jest anonimowy urzędnik unijny, który stwierdził, że Péter Magyar nie może kontynuować podwójnej gry i jeśli nie spełni oczekiwań, pieniądze nie nadejdą. Według portalu TISZA do końca maja przedstawi Komisji Europejskiej plan naprawczy.

Pierwsze skutki presji ze strony liberalnych kręgów, które wsparły Magyara, oraz Brukseli już zresztą widać. Magyar chciał nominować na stanowisko ministra ds. dzieci i edukacji Ritę Rubovszky, katoliczkę oraz dyrektorkę Zarządu Szkół Cysterskich. Reakcja liberałów na te plany była jednak gwałtowna i zamiast tego ministrem edukacji będzie Judit Lannert, ekonomistka i badaczka naukowa w dziedzinie edukacji. Lannert chętnie i często afiszuje się z tęczową flagą i sprzeciwiła się uchwalonej przez rząd Orbána ustawie o ochronie dzieci przed propagandą LGBT+. Na dodatek w biurze premiera edukacją oraz polityką społeczną będzie się zajmować Kriszta Bódis, która pracowała przy kampanii TISZY i zasłynęła serią książek dla dzieci o tematyce homoseksualnej pt. „Csipke Józsika", opowiadającej o chłopcu, który zgłębia swoją tożsamość seksualną i samoświadomość. Ci, którym się więc wydaje, że Magyar to kontynuacja Orbána, tylko w bardziej strawnej dla liberalnych europejskich elit formie, mogą się srogo rozczarować.

eprasa.pl 5bce68f2a2



Dawny kościół w Dublinie jest teraz restauracją

Wystarczy wielkie kłamstwo i jedno pokolenie

To swoisty paradoks. Zmiany społeczne i kulturowe w Europie Zachodniej zachodzą właściwie niemal niezauważalnie, jakby wszystko było naturalne i oczywiste, ale wystarczy perspektywa jednego ludzkiego życia – ba, jednego pokolenia – by uświadomić sobie, jak wielkie i gwałtowne przeobrażenia się dokonały



DARIUSZ MATUSZAK

Zachód gnije, Zachód upada – ta powtarzana od czasów komuny fraza była wyśmiewana jako przejaw tępej, sowieckiej czy PRL-owskiej propagandy, ale przecież już wtedy była prawdziwa. 80-letni Brytyjczycy rodzili się w imperium, nad którym nie zachodziło słońce. Dziś tłoczą się na niedużej wyspie, a Londyn, stolica ich ojczyzny, jest miastem muzułmańskim. Starsi Francuzi pamiętają francuską Afrykę i francuskie Indochiny, a dziś całe połacie ich kraju są kolonizowane przez przybyszy właśnie z Afryki i Bliskiego Wschodu. Ani Francja, ani Wielka Brytania nie są w stanie nawet wysłać statku w region Zatoki Perskiej, by bronić swych baz przed atakami oszalałego irańskiego reżimu. Niemal wszystko zmieniło się na gorsze.

W AWANGARDZIE POSTĘPOWEGO SZALEŃSTWA

Jakże inna jest perspektywa Polski, w której po 1989 r. każda dekada jest lepsza od poprzedniej. Możemy ulec złudzeniu, że będzie już tylko lepiej, że przywiązanie do

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 5bce68f2a2

tradycji, patriotyzm, wspaniała synteza wrodzonego konserwatyzmu z otwartością i skłonnością do ryzyka czynią nas odpornymi na patologie, które sprowadził na siebie Zachód. Tymczasem być może tylko jedno pokolenie dzieli nas od tego, byśmy popadli w antycywilizacyjne szaleństwa Europy Zachodniej.

Za 20 lat możemy nie poznać własnego kraju i nie ocali nas przed tym ani wiara, ani przywiązanie do tradycji. Podobnie jak w przypadku takich państw jak Irlandia, Luksemburg czy Hiszpania, które jeszcze na początku wieku stanowiły oazy konserwatywnego rozsądku, spokoju i kojącego wpływu Kościoła. Dziś są w awangardzie postępowego szaleństwa.

Ot, taki Luksemburg. Ledwie w połowie 2023 r. zaczął obowiązywać pierwszy pakiet przepisów reformowanej konstytucji (jest ona reformowana etapowo), znoszący specjalną pozycję Kościoła – państwo wypłacało pensje duchownym, finansowało lekcje religii w szkołach czy utrzymywało budynki kościelne, a już w marcu br. parlament wprowadził do ustawy zasadniczej prawo do aborcji na życzenie. „Wolność do dobrowolnego przerwania ciąży jest gwarantowana" – głosi przyjęta w przez Izbę Deputowanych poprawka do art. 15 konstytucji. Do jej pełnego wejścia w życie potrzeba jeszcze jednego, potwierdzającego głosowania, które najpewniej odbędzie się w czerwcu br. Luksemburg stanie się drugim po Francji krajem na świecie, w którym zabijanie nienarodzonych dzieci będzie sankcjonowane aktem prawnym najwyższej rangi.

Jeszcze dwie, trzy dekady temu Irlandia, Luksemburg i Hiszpania były krajami głęboko zanurzonymi w katolicyzmie. W latach 80. XX w. 97 proc. Luksemburczyków deklarowało się jako katolicy. Teraz to mniej niż połowa – 46 proc. Na początku XXI w. katolikami było 85 proc. Hiszpanów i 87 proc. Irlandczyków. Teraz to odpowiednio 55 proc. i 69 proc.

Polska jest dokładnie na takiej samej ścieżce. Zgodnie z danymi ze spisu powszechnego w 2011 r. aż 88 proc. Polaków deklarowało się jako katolicy, podczas gdy 10 lat później już 71,4 proc. Znaczący jest też wzrost odmów odpowiedzi – z 7,1 proc. w 2011 do 20,5 proc., tak jakby wiara stawała się rzeczą wstydliwą, czymś, czego nie należy manifestować publicznie. Szczególnie gwałtowny spadek wierzących widać wśród ludzi młodych.

To pewnie zjawisko uniwersalne, że im większa w jakimś okresie baza wierzących, tym szybciej przebiega sekularyzacja. Nie da się jednak nie odnieść wrażenia, że nie jest ona procesem spontanicznym, tylko szczegółowo zaplanowanym i starannie wdrażanym. Oczywiście poszczególni „uczestnicy spisku" nie muszą mieć świadomości, że biorą w nim udział. Wystarczy głupota, bezmyślność czy koniunkturalizm, by jak Terlikowski czy Scheuring-Wielgus powtarzać brednie na temat Kościoła.

PRZYPADEK IRLANDII

By dokonać wielkich zmian, przeorać świadomość całych społeczeństw potrzebne są wielkie kłamstwa. Właściwie wszędzie schemat jest ten sam – do oczerniania, obrzydzenia Kościoła wykorzystuje się dzieci. W Irlandii odkryto wielkie afery związane z sierocińcami i szkołami prowadzonymi przez Kościół i poszczególne zakony. To miały być miejsca, w których przez 40 lat – aż do lat 60. XX w. – miało dochodzić do systemowego, fizycznego, psychicznego i seksualnego znęcania się nad nimi. W 2009 r. Komisja ds. Badania Nadużyć wobec Dzieci pisała w swym raporcie, że w ponad 200 instytucjach, głównie prowadzonych przez zakony, przemoc była powszechna. Bicie, upokarzanie, głodzenie, ciężka praca miały stanowić codzienne praktyki. Podobnie powszechne miały być gwałty na dzieciach, zwłaszcza w placówkach dla chłopców. Liczbę ofiar pedofilii oszacowano nawet na 40 tys. To wszystko miało się odbywać za wiedzą i milczącą zgodą państwa.

Kościół prowadził też tzw. Magdalene Laundries (pralnie Magdalenek), które miały być miejscami przymusowej pracy dla „upadłych kobiet". Kobiety i dziewczęta, nawet nastolatki, miały być na lata zamykane za „grzechy", takie jak ciąża pozamałżeńska, bycie ofiarą gwałtu, flirtowanie, niepełnosprawność, a także pracować za darmo w warunkach przypominających więzienie. 10–30 tys. Irlandek miało przejść przez ten system. Do specjalnych domów matki i dziecka miały być wysyłane pod przymusem kobiety, które zaszły w ciążę pozamałżeńską. Tam rodziły, dziecko było im odbierane i oddawane do adopcji. Te wszystkie instytucje działały w ścisłej współpracy z państwem irlandzkim.

Jak głoszą raporty, były one częścią „systemu kontroli moralnej w konserwatywnym, katolickim społeczeństwie, które piętnowało »grzechy« nieślubnego macierzyństwa, seksualności czy ubóstwa". Szczególnie drastyczny przypadek miał dotyczyć miejscowości Tuam, gdzie zmarłe/zabite dzieci – a w niektórych przypadkach nawet żywe – w prowadzonym przez zakonnice przybytku miały być wrzucane do szamba.

Cała Irlandia, a także świat zatrzęsły się z oburzenia, ale tak naprawdę nie ma pewności, czy mimo setek artykułów, raportów, zeznań ofiar, przeprosin rządu i Kościoła można w to wszystko uwierzyć. Dopiero teraz, po kilkunastu latach od domniemanego odkrycia haniebnych praktyk, są one wyjaśniane.

I tak w lipcu 2025 r. w Tuam rozpoczęły się ekshumacje, które potrwają jeszcze rok. Już wiadomo, że zmarłe dzieci nie były wrzucane do szamba, lecz kiedyś w miejscu pochówku były instalacje kanalizacyjne. Nie dochowano godnego pochówku, ale nie ma mowy o zabijaniu czy topieniu żywcem.

PRZYPADEK HISZPANII

Dlaczego jednak podawać wszystko w wątpliwość, przynajmniej co do skali i intencji, skoro jest tyle przerażających świadectw? Ano dlatego, że niemal dokładnie taka sama opowieść w przypadku Hiszpanii okazuje się kłamstwem, oszustwem na światową skalę. Znacznie większą niż łgarstwa dotyczące odkrycia w Kanadzie w 2021 r. masowych grobów indiańskich dzieci przy kościołach. Brednie na ten temat rozpowszechniał nawet nasz jedyny w swym rodzaju Terlikowski. Jak podaje w raporcie The Macdonald-Laurier Institute, od maja 2021 r., kiedy wybuchła dęta afera, w Kanadzie podpalono 223 kościoły i inne budynki kościelne. Akty wandalizmu są liczone w setkach. Czy z czymś nam się to kojarzy? Papieski krzyż przed kościołem św. Maksymiliana Marii Kolbego w Warszawie ot tak, sam zapłonął w Wielki Piątek.

Wróćmy do Hiszpanii, gdzie skala kłamstwa jest wręcz obezwładniająca.

eprasa.pl 5bce68f2a2

Bliżej opisał to niedawno w tygodniku „Sieci" Grzegorz Górny w artykule „Upadł mit skradzionych dzieci frankizmu". Otóż w 2008 r. sędzia śledczy Baltasar Garzón oskarżył reżim gen. Franco o stworzenie systemu wykradania matkom ich potomstwa. „Niños robados" – skradzione dzieci, zaginione dzieci Franco – 300 tys. ofiar. Tyle podobno/jakoby/na pewno dzieci zostało przymusowo odebranych „upadłym" matkom i oddanych katolickim, moralnym zwolenniczkom reżimu. To wszystko w ramach programu Patronato de Protección a la Mujer – Patronatu Ochrony Kobiet prowadzonego przez Kościół i Carmen Polo Martínez-Valdès, żonę gen. Franco.

W system mieli być zaangażowani lekarze, księża, zakonnice, notariusze. Matkom, które trafiały do prowadzonych przez Kościół szpitali lub domów opieki, wmawiano, że ich dzieci umarły, podczas gdy w rzeczywistości po sfałszowaniu aktu zgonu i metryki urodzenia były sprzedawane bogatym katolickim parom. Początkowo ofiarami miały być dzieci republikanek. To była wielka operacja ideologiczna „czyszczenia Hiszpanii z czerwonych genów". Jak w Irlandii działać miał państwowy i kościelny system kontroli moralnej. Potem stało się to zwykłym biznesem.

I znów śledztwa, raporty filmy, artykuły, nawet apele Amnesty International i ONZ, by uznać proceder za zbrodnię przeciwko ludzkości. Teraz, po wielkich badaniach, ekshumacjach, testach porównujących DNA, okazuje się, że to lipa, monstrualne kłamstwo. Nie było żadnego systemu ani setek tysięcy ofiar – dzieci i matek. Odkryto pojedyncze przypadki, kiedy ubogie rodziny oddawały swoje dzieci do adopcji, ale nie ma mowy o procederze zorganizowanym przez państwo i Kościół.

Jeśli mamy do czynienia z handlem dziećmi, to odbywa się on dziś w tych postępowych krajach, gdzie związki jednopłciowe uznaje się za małżeństwa i zezwala na adopcje dzieci. A skąd one są? Z zamówienia, z hodowli, z banku nasienia i od wynajmowanych surogatek, służących za inkubatory.

UCZYĆ SIĘ NA CUDZYCH BŁĘDACH

Czy cała historia w Irlandii okaże się oszustwem, kłamstwem jak w Hiszpanii albo Kanadzie – tego nie wiemy, ale schematy zawsze są te same. W 2023 r. TVN24 emituje reportaż „Franciszkańska 3", wmawiający, że Jan Paweł II jeszcze jako kard. Wojtyła miał tuszować przypadki pedofilii w archidiecezji krakowskiej. Znów kłamstwo. W lutym i marcu tego roku po kwerendzie dziennikarzy „Rzeczpospolitej" po archiwach kurii i IPN wychodzi na jaw, że Karol Wojtyła nie tylko niczego nie tuszował, lecz także podejmował zdecydowane działania, w niektórych przypadkach wyprzedzając nawet milicję.

> Za 20 lat możemy nie poznać własnego kraju i nie ocali nas przed tym ani wiara, ani przywiązanie do tradycji. Podobnie jak w przypadku takich państw jak Irlandia, Luksemburg czy Hiszpania, które jeszcze na początku wieku stanowiły oazy konserwatywnego rozsądku i kojącego wpływu Kościoła. Dziś są w awangardzie postępowego szaleństwa

Monstrualne kłamstwa w ciągu jednego pokolenia przeorały świadomość całych nacji. Jeszcze w 2009 r. książę Luksemburga odmówił podpisania ustaw dopuszczających eutanazję, co doprowadziło do zmiany ustroju, a dziś aborcja jest wpisywana do konstytucji. Luksemburg wprowadził na ścieżkę postępu Jean-Claude Juncker oraz jego odwiecznie rządząca księstwem turboprawicowa i konserwatywna Chrześcijańska Spółeczna Partia Ludowa, która wprost odwoływała się do nauki Kościoła. Papież Leon XIII był uznawany za jej patrona.

Irlandczycy nie poznają dziś swego państwa. Jeszcze na początku wieku biali Irlandczycy stanowili 96 proc. populacji. Dziś co czwarty mieszkaniec wyspy urodził się poza jej granicami. Wynik jest wyższy tylko w jednym kraju Unii Europejskiej – w Luksemburgu. Irlandia liczy ledwie 5,3 mln ludzi, a w ciągu 20 lat przybyło do niej 1,3 mln imigrantów. Nie ma tygodnia, by na ulicach irlandzkich miast nie odbywały się demonstracje, starcia z policją ochraniającą przybytki z przybyszami z Brazylii, Afryki, Indii. Jeden z najbogatszych krajów świata jest pogrążony w wielkim kryzysie mieszkaniowym i społecznym, wywołanym nie tylko przez ogromny wzrost przestępczości, lecz także brak dostępu do usług publicznych. Państwo się załamuje – nie nadąża obsługiwać Irlandczyków i przybyszy.

Kiedy piszę ten tekst, w całej Hiszpanii przed urzędami ustawiły się gigantyczne kolejki nielegalnych przybyszy. Obłąkańczy rząd Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej umyślił zalegalizować pobyt 500 tys. imigrantów, głównie z Afryki. To świeże mięso robocze i przyszły elektorat. Już wiadomo, że system może nie wytrzymać, bo liczba tych, którzy chcą się zgłosić, jest szacowana na 850 tys. i każdego dnia się powiększa. Ci ludzie dostaną dokumenty i cała UE, tak pysznie dumna z traktatu z Schengen o zniesieniu granic, stanie przed nimi otworem.

Na początku lat 60. XX w. brytyjski ekonomista Michael Posner i amerykański Alexander Gerschenkron sformułowali teorię o szansach, jakie daje zapóźnienie technologiczne i ekonomiczne jakiegoś państwa. W największym skrócie polega to na tym, że może kopiować, od razu przyjmować rozwiązania, które już się sprawdziły czy uczyć na cudzych błędach. Polska wciąż jest zacofanym krajem, który może uniknąć koszmarów, które zafundowały sobie unijne nacje. Ale wystarczy jedno pokolenie, jakieś wielkie kłamstwo, kilka lat rządów takich ludzi jak Jean-Claude Juncker, José Luis Zapatero czy Pedro Sánchez, a nie poznamy własnej ojczyzny.

eprasa.pl 5bce68f2a2



Fot. Danuta B. Łomaczewska/East News

Świadomość wyostrzona do bólu

Pisano, że to polski „Lot nad kukułczym gniazdem" Kena Keseya. Wznowiony właśnie „Obłęd" Jerzego Krzysztonia to odyseja jednego z rozbitków, niepogodzonych z rzeczywistością PRL. A także następstwo choroby toczącej współczesną kulturę



MACIEJ WALASZCZYK

Już od pierwszych zdań zapisanych na ponad 1,3 tys. stron tych trzech dużych tomów opowieść ta wciąga nas w gęsty świat utkany z urojeń. Krocząc za udręczonym nimi Krzysztofem, przebijamy się przez życie, coraz mniej ludzką cywilizację, narodową historię, między tym, co realne, a zepchnięte do nieświadomości.

W 1980 r. „Obłęd" Jerzego Krzysztonia, znakomitego prozaika, dramaturga, a także tłumacza i radiowca z dnia na dzień stał się bestsellerem. To, że poruszył czytelników, nie było przypadkiem – rzecz zapowiadała bowiem narodowe katharsis, nadchodzącą burzę, która symbolicznie przeprowadziła naród od szpitala psychiatrycznego w Tworkach przez bramę zbuntowanej Stoczni Gdańskiej w mrok stanu wojennego. Pisarz zmarł śmiercią samobójczą 16 maja 1982 r. Był jednym z rozbitków niepogodzonych z rzeczywistością PRL.

eprasa.pl 5bce68f2a2

POLSKIE PROZY ZAPOMNIANE

Pod koniec marca minęła 95. rocznica urodzin tragicznie zmarłego pisarza. Choć przed 1989 r. był drukowany, a jego książki wznawiano, dziś zdaje się jednym z autorów zapomnianych. Dlatego wydana staraniem PIW, znakomita pod względem edytorskim reedycja tej powieści przywraca go czytelnikom, w dodatku bez żadnych ingerencji cenzorskich.

Od początku swojej kariery pisarskiej Krzysztoń poruszał bowiem wątki niewygodne, ryzykowne i sam był człowiekiem „politycznie podejrzanym". Wywoływało to ciągłe ingerencje cenzury, a w konsekwencji wieloletnie zainteresowanie nim Służby Bezpieczeństwa. Zdaniem byłych współpracowników z Polskiego Radia miał jeden z najwspanialszych głosów radiowych, zapamiętano go jako człowieka jowialnego, zawsze uśmiechniętego i odważnego. Nigdy nie ugiął się naciskom bezpieki, choć jak dowodziła Joanna Siedlecka badająca archiwa IPN, ze względu na swój talent, przeszłość i znajomości oraz to, że świetnie posługiwał się językiem angielskim, był dla niej znakomitym celem. Wyciągnęła po niego swoje macki m.in., gdy wyjechał do USA, gdzie spotkał się z poetą Kazimierzem Wierzyńskim. Krzysztoń stał się za to ofiarą słabości swojego przyjaciela i pisarza Włodzimierza Odojewskiego, niestety złamanego przez SB. W 1968 r. bezpieka zatrzymała Krzysztoniowi paszport i przez kolejnych siedem lat prowadziła jego wzmożoną inwigilację. Jego choroba psychiczna była więc także skutkiem wywołanych nią życiowych niepowodzeń.

Pod koniec lat 70. XX w. najdotkliwsze i obszerne cięcia cenzorskie ingerowały właśnie w treść „Obłędu". Paulina Subocz-Białek, która dokonała nowej redakcji dzieła, ma nadzieję na restytucję twórczości pisarza, podkreślając, że choć książka powstała w innych realiach, wciąż zadziwia bogactwem odniesień kulturowych i filozoficznych. Jej wydanie otwiera cykl „Polskie Prozy", nową serię, w ramach której PIW będzie przypominać książki wybitne, ale niesłusznie dziś zapomniane. Dyrektor Łukasz Michalski podkreśla, że należy przywrócić ten pisarski dorobek, od którego polski czytelnik został „skutecznie odcięty". Ukażą się więc m.in. „Całe życie Sabiny" Heleny Boguszewskiej, „Góry nad Czarnym Morzem" Wilhelma Macha, a już na dniach „Wertepy" Leopolda Buczkowskiego.

PRZYWIĄZANY DO MASZTU

Krzysztoń długo uchodził za mistrza krótkiej formy, ale dopiero trzytomowy „Obłęd" przyniósł mu krótko trwającą sławę. Podobno 20 tys. nakładu pierwszego wydania rozeszło się w tydzień. Zanim ukazało się obecne, także te z lat 90. XX w. osiągały zawrotne ceny. Książka jest bowiem niezwykła, wielopiętrowa i doskonale napisana. Choć gorzka i autoironiczna, pełna wisielczego humoru, pulsuje emocjami osoby chorej na schizofrenię. Jest rozległa intelektualnie i psychologicznie, sugestywna i bez reszty wciągająca. Była pisana w latach 70. przez pięć lat, według relacji Marka Nowakowskiego m.in. w czasie przepustek podczas leczenia. Okazuje się, że wyostrzona świadomość potrafiła odsłonić najbardziej ukryte prawdy.

Już pierwszy tom pt. „Tropiony i osaczony" ujawnia pierwsze symptomy choroby, gdy tuż po grudniu 1970 r. prześladowany przez obsesje i powracający z Tatr reporter Krzysztof uświadamia sobie sytuację, w której się znajduje. Od tego momentu prowadzi czytelnika przez kolejne piekielne kręgi własnego cierpienia. Ulega spiskowym omamom, wszędzie widzi agentów prowadzących z nim grę na śmierć i życie. Jego opowieść unosi jednak nieustanny i delikatny męczeński liryzm. Dziś wiemy, że tak reagowała wyczulona na niewidzialną przemoc krucha wrażliwość człowieka inwigilowanego przez SB.

> „Obłęd" to książka niezwykła, wielopiętrowa i doskonale napisana. Choć gorzka i autoironiczna, pełna wisielczego humoru, pulsuje emocjami osoby chorej na schizofrenię. Jest rozległa intelektualnie i psychologicznie, sugestywna i bez reszty wciągająca

Tytuł tomu drugiego – „Przywiązany do masztu" – z miejsca przywołuje postać związanego Odyseusza, który stawia opór niebezpiecznemu śpiewowi syren. Krzysztof, przywiązany więc do szpitalnego łóżka, wcielając w postać Tajnego Agenta Dobrej Woli, nieustannie zmaga się z własnymi urojeniami. Wśród nich przewija się tłum historycznych zjaw: ks. Józef Poniatowski, gen. Sowiński, Dmowski i „Dziadek" Piłsudski, Jasieńko-Rozkwitały-Pąki-Białych-Róż i inni.

W końcu wymowny tytuł tomu trzeciego – „Księżyc nad Epidaurem" – nawiązuje do wspaniałych i najlepiej do dziś zachowanych ruin greckiego teatru, świątyni antycznej tragedii i ówczesnego centrum medycznego, będącego siedzibą mitologicznego lekarza Asklepiosa – Eskulapa. Krzysztof powoli wraca więc do równowagi psychicznej i podsumowując swą trudną wędrówkę w głąb siebie i historii, widzi wszystko na nowo i w niedostępnych mu wcześniej wymiarach. Wyznaje: „Każdy, kto naprawdę jest sobą, ma największą szansę zostać uznanym na wariata". Aluzje do Homera, stylistyka jakby z „Ulissesa" Joyce'a ciągle są czytelne. Dlatego książkę interpretowano jako metaforę nie tylko naszej trudnej historii i nienormalności komunizmu, lecz także choroby współczesnej kultury.

W stanie wojennym utwór został adaptowany przez przyjaciela pisarza, Janusza Krasińskiego, na sztukę teatralną w reżyserii Jerzego Rakowieckiego. Jej głośna premiera od-

eprasa.pl 5bce68f2a2

była się w Teatrze Polskim w marcu 1983 r. ze scenografią Jadwigi Jarosiewicz i wielką rolą Jana Englerta. Akcja została osadzona m.in. w zakładzie dla psychicznie chorych, który przemienił się w więzienie. Jak wówczas reagowała na nią publiczność, łatwo się domyślić.

ODYSEJA POLSKIEGO TUŁACZA

Jerzy Krzysztoń pochodził z Lublina, ale dzieciństwo spędził w Grodnie, gdzie jego ojciec prowadził kancelarię adwokacką. Nadszedł jednak 17 września i wtedy, jak pisał, na dobre został „brutalnie wygnany z dzieciństwa". Ojca aresztowało NKWD, w konsekwencji czego jego kości – jak z goryczą wspomina pod koniec pierwszego tomu – „pokutowały nie wiadomo gdzie", prawdopodobnie w zbiorowych mogiłach w Kuropatach. W kwietniu 1940 r. wraz z matką i młodszym bratem Jerzyk został zesłany do Kazachstanu, gdzie rodzina pracowała przy budowie kolei. W 1942 r. udało im się dotrzeć do armii gen. Andersa, wraz z którą ewakuowali się na Bliski Wschód. Wtedy włączył się w działalność harcerską i poznał ocalonego ze zbrodni katyńskiej ks. Zdzisława Peszkowskiego.

Jednak w trakcie pobytu w polskim obozie uchodźczym w Teheranie doszło do wypadku samochodowego, w wyniku którego Jerzy doznał poważnych obrażeń lewej ręki, wdała się gangrena, a kończyna została amputowana. Miał wtedy 13 lat. Później przez całe życie starał się ukryć inwalidztwo, świetnie grał, a jedną ręką potrafił w mig otworzyć pudełko zapałek i przypalić papierosa. Z Persji trafił do angielskich wówczas Indii. Potem przez cale życie utrzymywał kontakt z tzw. Indianami – rodakami, których połączył los polskich wychodźców. W 1947 r. znalazł się w Ugandzie, ale po ośmiu miesiącach pobytu na Czarnym Lądzie matka zdecydowała o powrocie do Lublina. Chciała, by synowie ukończyli polskie szkoły.

Tak trafił na KUL, gdzie ukończył filologię polską i angielską. Już na początku lat 50. XX w. rozpoczął pracę w wydawnictwie PAX, m.in. w „Kierunkach" oraz „Dziś i Jutro". W październiku 1956 r. wraz z grupą działaczy odszedł z organizacji Bolesława Piaseckiego i związał się ze środowiskiem „Więzi". W latach 1962–1976 był kierownikiem Redakcji Słuchowisk w Polskim Radiu. Słuchowiska stały się bowiem jego specjalnością, a jego wysokiej próby literackiej dramaty radiowe były nagradzane. Po 1968 r. został kierownikiem Studia Współczesnego Teatru Polskiego Radia, gdzie pisali m.in. Zbigniew Herbert, Stanisław Grochowiak i Janusz Krasiński. Publikował również znakomite tłumaczenia powieści i opowiadań z języka angielskiego, m.in. Sherwooda Andersona i Ambrose'a Bierce'a.



Fot. Materiały prasowe

DZIECI WOJNY

Biograficzna tematyka „Obłędu" nie była przypadkiem. W swoich innych książkach niemal zawsze o nią zahaczał, a na swych bohaterów wybierał przedstawicieli własnej generacji, którzy przeżyli wojnę jako dzieci. W 1953 r. ukazał się jego debiut – „Opowiadania indyjskie", do których przedmowę napisał Antoni Gołubiew. Była to jedna z pierwszych książek o przeżyciach polskich cywilów, którym wraz z Armią Andersa udało opuścić „nieludzką ziemię". W 1956 r. pojawił się zbiór „Sekret i inne opowiadania", a dwa lata później powieść „Kamienne niebo", znana choćby z ekranizacji Ewy i Czesława Petelskich z kreacjami Tadeusza Łomnickiego i Henryka Borowskiego. Niedługo później ukazały się dwa kolejne zbiory opowiadań: „Sandżu i Paweł" (1959) oraz „Złote gody" (1965). W latach 1958–1968 opublikował kilka utworów dramatycznych, scenariuszy filmowych i telewizyjnych oraz wspomnianych już słuchowisk radiowych. Jego debiut dramatopisarski to „Rodzina pechowców", wystawiona potem przez Jerzego Grotowskiego najpierw w Teatrze Kameralnym w Krakowie, a potem w Opolu. Także w jego dramatach radiowych zebranych w wydanym pod koniec lat 70. zbiorze „Polonus w opałach" widziano odbicie ówczesnych nastrojów i problemów.

W 1978 r. ukazała się powieść „Wielbłąd na stepie", która w PIW przeleżała całe pięć lat, bo zawierała opis oblężenia Grodna z 1939 r. przez Armię Czerwoną. Wyrokiem na nią była wewnętrzna recenzja jednego z głównych moczarowców, płk. Zbigniewa Załuskiego.

Jej kontynuacją był wydany już po śmierci pisarza „Krzyż Południa" (1983). Jednym z ich głównym bohaterów jest ppor. Zdzisław Peszkowski, harcerski druh, a potem kapelan Rodzin Katyńskich, dla pisarza będący przyjacielem i kimś w rodzaju zastępczego ojca. Ta pierwsza zawierała nieusunięte przez cenzurę wspomnienie o zbrodni w lesie smoleńskim. Jak relacjonowała Joanna Siedlecka, ostatecznie książkę wydano w Czytelniku, co spowodowało protest ambasady radzieckiej i w efekcie nakazano wycofanie z księgarń 10-tysięcznego nakładu. Jak się okazało, było to niemożliwe, bo w całości sprzedał się na pniu.

W maju 1983 r. pisarz wyszedł ze szpitala na przepustkę. Miał odebrać nagrodę literacką. Gdy wraz żoną przygotowywali się do wyjścia z ich mokotowskiego mieszkania, wyskoczył z okna. „Tak kończy się obłęd mój, drodzy bracia i siostry, a zaczyna się wasz, który trwać będzie przez pokolenia".

Ten zbiorowy los Jerzy Krzysztoń przyjmował jednak jako wyzwanie, któremu musimy sprostać.

eprasa.pl 5bce68f2a2



Niewygodna prawda o „Czterech pancernych i psie”

Serial „Czterej pancerni i pies” wychował pokolenia widzów, pokazując losy Armii Berlinga jako piękny element polskiej historii wojennej. W rzeczywistości załogi czołgów 1. Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte były w dużej mierze obsadzone... Rosjanami. Jednostka z serialu nie brała udziału w zdobywaniu Berlina, natomiast po wojnie walczyła z polskim podziemiem niepodległościowym. Jak bardzo historia „Rudego 102” odbiega od popularnej legendy?



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Produkcje wojenne stanowiły istotne narzędzie kształtowania pamięci historycznej w czasach PRL. Serial „Stawka większa niż życie” czy film „Jarzębina czerwona” budowały obraz wojny zgodny z oficjalną linią polityczną i komunistyczną wersją historii. Ich realizacja często stała na wysokim poziomie. Rozmach, dramaturgia i umiejętność budowania napięcia szły w parze z dobrym montażem, sugestywną muzyką i wyrazistymi postaciami. Dzięki temu widzowie bez trudu angażowali się emocjonalnie w kolejne wojenne ekranizacje. W każdej z tych produkcji w mniejszym lub większym stopniu widoczne było wybiórcze podejście do faktów i tworzenie przekłamanej opowieści o II wojnie światowej.

WYRÓŻNIONA KSIĄŻKA, KULTOWY SERIAL

Na tym tle serial „Czterej pancerni i pies”, którego premiera miała miejsce 60 lat temu, zajmuje miejsce szczególne. Niewiele osób pamięta, że jeden z najpopularniejszych seriali epoki PRL powstał na podstawie książki. W 1962 r. Wydawnictwo MON ogłosiło konkurs na powieść młodzieżową poświęconą dziejom tzw. Ludowego Wojska Polskiego.

Wziął w nim udział pisarz i dziennikarz Janusz Przymanowski, walczący w czasie wojny jako żołnierz 1. Armii WP. Jego praca nie zdobyła głównej nagrody, została jedynie wyróżniona. To jednak wystarczyło, aby została skierowana do druku. Powieść ukazała się w czerwcu 1964 r. w stosunkowo niewielkim jak na tamte realia nakładzie 10 tys. egzemplarzy. Szybko jednak zyskała większą popularność wśród czytelników niż w oczach jurorów. Historia załogi czołgu „Rudy 102”: Janka, Gustlika, Grigorija i Tomka oraz psa Szarika była wciągającą przygodą, która bawiła, porywała

Fot. Impuls/East News

eprasa.pl 5bce68f2a2

i wzruszała, trafiając w gust coraz większej grupy czytelników.

Książką zainteresował się kierownik artystyczny Zespołu Filmowego „Syrena", Stanisław Wohl. W lutym 1965 r. zaproponował Przymanowskiemu realizację serialowej adaptacji. Dzięki jego staraniom projekt szybko nabrał tempa i już cztery miesiące później został skierowany do produkcji. W głównych rolach obsadzono młodych aktorów: Janusza Gajosa, Włodzimierza Pressa, Franciszka Pieczkę i Romana Wilhelmiego. Szybko się okazało, że był to wybór wyjątkowo trafny. Serial zrealizował Zespół Filmowy „Syrena" przy wsparciu technicznym Wytwórni Filmów Fabularnych z Wrocławia. Zdjęcia kręcono m.in. w Kotlinie Kłodzkiej, Żaganiu, Wrocławiu i Gdyni. Pilotażowy odcinek „Czterech pancernych i psa" Telewizja Polska wyemitowała w Dzień Zwycięstwa, 9 maja 1966 r., o godz. 20.00. Kolejne odcinki nadawano do 13 listopada. Wkrótce potem serial trafił także do widzów w Związku Radzieckim.

Sprawnie zrealizowana produkcja, z pięknymi zdjęciami, wyrazistymi kreacjami aktorskimi i wpadającą w ucho muzyczną czołówką wykonywaną przez Edmunda Fettinga szybko stała się hitem. Niedzielne emisje przyciągały przed telewizory setki tysięcy widzów, a w czasie wyświetlania odcinków ulice pustoszały. Serial był wielokrotnie powtarzany, zarówno w Polsce, jak i za granicą. Wkrótce Komitet do Spraw Radia i Telewizji oraz Telewizja Polska zdecydowały o nakręceniu kontynuacji. Przymanowski wraz z żoną Marią przygotował scenariusze 13 kolejnych odcinków, doprowadzając losy załogi „Rudego" do samego Berlina i zakończenia wojny. Scenariusze niemal natychmiast trafiły do realizacji, a autor przystąpił do ich adaptacji w formie książkowej. Ostatecznie serial, w znanej dziś wersji liczącej 21 odcinków, wyemitowano 14 grudnia 1969 r. Finałowy odcinek miał premierę 10 maja 1970 r.

„WYZWOLICIELE"

Serial kształtował wyobraźnię milionów ludzi. Dla kilku pokoleń młodych Polaków II wojna światowa kojarzyła się w dużej mierze z „Rudym", Jankiem Kosem i uciekającymi Niemcami. Tym bardziej nie można ignorować propagandowego charakteru tej produkcji, która zakłamywała wydarzenia z 1944 i 1945 r. Serial konsekwentnie przedstawiał Armię Berlinga tworzoną u boku ZSRR jako naturalną i jedyną reprezentację polskich sił zbrojnych. Relacje z Armią Czerwoną ukazywano jako harmonijne i pełne wzajemnego szacunku, pozbawione jakichkolwiek konfliktów czy napięć. Widz otrzymywał obraz świata, w którym sojusz polsko-radziecki jawił się jako fundament zwycięstwa i powojennego ładu.

> Serial konsekwentnie przedstawiał Armię Berlinga tworzoną u boku ZSRR jako naturalną i jedyną reprezentację polskich sił zbrojnych. Relacje z Armią Czerwoną ukazywano jako harmonijne i pełne wzajemnego szacunku

W serialu nie znajdziemy jednak odpowiedzi na jedno z kluczowych pytań: skąd właściwie wzięli się Polacy w Związku Radzieckim? Pominięto dramatyczne losy setek tysięcy obywateli II Rzeczypospolitej deportowanych na wschód po agresji ZSRR w 1939 r. Ich cierpienie, zesłania, łagry i więzienia zostały całkowicie wyparte z przedstawionej wizji historii.

Podobnie przemilczano zbrodnie popełniane przez Armię Czerwoną i NKWD po przejściu frontu wschodniego przez tereny Polski. Rabunki i gwałty popełniane na ludności cywilnej oraz represje, wywózki i egzekucje żołnierzy podziemia niepodległościowego nie pasowały do obrazu niosących wolność i sprawiedliwość wyzwolicieli, który serial konsekwentnie budował. Rosjanie są ukazani niemal wyłącznie pozytywnie. Radzieccy dowódcy są mądrzy i opiekuńczy, żołnierze – godni zaufania i zawsze pomocni. W serialu znacznie częściej negatywnie pokazani są natomiast sami Polacy: nieuczciwy kucharz, nadgorliwy żandarm czy natarczywy chorąży.

POLSKA JEDNOSTKA? POLSKA ARMIA?

Obecność Rosjan w 1. Brygadzie Pancernej została w serialu przedstawiona bardzo oględnie. Dowódca jednostki mówi perfekcyjnie po polsku i nie przypomina typowego radzieckiego oficera. Pierwszy dowódca „Rudego", Olgierd Jarosz, choć formalnie należy do Armii Czerwonej, z pochodzenia jest Polakiem. Pojawia się jeszcze Gruzin Grigorij Saakaszwili. Na tym właściwie kończy się lista obywateli Związku Radzieckiego w jednostce. Pozostali serialowi żołnierze i oficerowie brygady są Polakami. Rzeczywistość wyglądała jednak zupełnie inaczej.

Organizację pułku czołgów przy 1. Dywizji Piechoty rozpoczęto w maju 1943 r. na rozkaz płk. Zygmunta Berlinga. Szybko się okazało, że brakuje wykwalifikowanej kadry. Fachowcy i oficerowie wywodzący się z przedwojennego Wojska Polskiego, którzy dostali się do sowieckiej niewoli, w większości zostali zamordowani w Katyniu, Twerze i Charkowie. Ci, którzy przeżyli, ewakuowali się z gen. Andersem do Iranu. Pozostali walczyli na Zachodzie, m.in. w 1. Dywizji Pancernej gen. Maczka. W tej sytuacji Stalin nakazał uzupełnić braki kadrowe oficerami Armii Czerwonej. W tym celu szukano przede wszystkim żołnierzy o polsko brzmiących nazwiskach. Dobrym przykładem jest pierwszy dowódca pułku, ppłk Anatol Wojnowski – weteran wojny domowej w Hiszpanii, który nie znał języka polskiego, nie utożsamiał się z polskością i otwarcie gardził swoimi podwładnymi. Był znany z regularnego urządzania libacji.

W wyniku napływu „rekrutów" z Armii Czerwonej już 19 sierpnia pułk przekształcono w 1. Brygadę Pancerną.

eprasa.pl 5bce68f2a2



Jednostka formowała się w Biełoomucie nad Oką. We wrześniu 1943 r. jej dowództwo objął płk Jan Mierzycan, również wieloletni oficer Armii Czerwonej, tym razem polskiego pochodzenia. On także nadużywał alkoholu i często upijał się do nieprzytomności. W październiku 1944 r. zastąpił go kolejny Rosjanin, ppłk Aleksander Malutin – weteran kampanii fińskiej i członek partii bolszewickiej. Dowodził jednostką do marca 1946 r.

Radzieccy oficerowie obsadzili kluczowe stanowiska w sztabie brygady. Pełnili także funkcje instruktorów, dowódców czołgów, plutonów i kompanii. Zjawisko to dotyczyło całej armii Berlinga. Pod koniec 1944 r., a więc po akcji poborowej przeprowadzonej na kontrolowanych przez Armię Czerwoną terenach II RP, Rosjanie nadal stanowili ok. 40 proc. kadry Ludowego Wojska Polskiego. W 1. Dywizji Piechoty nawet 67 proc. oficerów wywodziło się ze Związku Radzieckiego. W jednostkach technicznych, takich jak brygada pancerna, odsetek ten był jeszcze wyższy. Zdarzały się pododdziały złożone wyłącznie z żołnierzy Armii Czerwonej. Przykładem może być 13. Pułk Artylerii Samobieżnej, uzbrojony w działa SU-85. Mieszane polsko-radzieckie załogi czołgów były normą. W sztabie powszechnie używano języka rosyjskiego, często bez prób zachowania pozorów. Poziom kompetencji i profesjonalizmu „nowych polskich oficerów" był zróżnicowany. W wielu przypadkach Armia Czerwona korzystała z okazji, żeby pozbyć się mniej wartościowych żołnierzy. Nie mogło to pozytywnie wpłynąć na wartość bojową jednostki.

NIE TAK CHWALEBNY SZLAK BRYGADY

Część brygady uczestniczyła wraz z 1. Dywizją Piechoty w zakończonej wielkimi stratami bitwie pod Lenino w październiku 1943 r. W lipcu 1944 r. 1. Brygada Pancerna razem z 1. Armią LWP przekroczyła Bug. Jako zwarta jednostka przeszła swój faktyczny chrzest bojowy dopiero w sierpniu 1944 r. pod Studziankami. W połowie stycznia 1945 r., podczas ofensywy Armii Czerwonej, brygada uczestniczyła w walkach o Bydgoszcz oraz w rejonie wsi Radawnica, gdzie poniosła dotkliwe straty od ognia niemieckich dział szturmowych. Bardzo źle układała się współpraca z piechotą. Dochodziło do ostrych konfliktów, a nawet rękoczynów. Oficerowie jednostek pancernych i piechoty oskarżali się wzajemnie o brak kompetencji i niechęć do współpracy. W lutym 1945 r. brygada walczyła na Wale Pomorskim: pod Mirosławcem, Sośnicą i Wierzchowem, gdzie została zdziesiątkowana.

Na początku marca 1945 r. brygada została podporządkowana sowieckim związkom pancernym operującym na Pomorzu. W tym czasie dysponowała zaledwie trzema sprawnymi czołgami z 65 etatowych, co w praktyce pozbawiało ją wartości bojowej. Mimo to skierowano ją do walk o Trójmiasto. Decyzja ta miała charakter przede wszystkim propagandowy. Aby ukryć katastrofalny stan jednostki, uzupełniono ją czołgistami z sowieckiej 64. Brygady Pancernej Gwardii. W pewnym momencie polskie załogi obsadzały mniej niż dwa czołgi w jednostce. W takim składzie brygada brała udział w walkach o Wejherowo, Rumię, Gdynię i Kępę Oksywską, tracąc niemal cały sprzęt. W związku z tym – wbrew temu, co sugeruje serial – brygada nie wzięła udziału w walkach o Berlin.

PRZECIWKO ŻOŁNIERZOM WYKLĘTYM

Po zakończeniu wojny wzmocniona wyremontowanymi czołgami brygada została skierowana do Siedlec. Do 9 czerwca 1945 r. jej wszystkie pododdziały zajęły koszary w mieście. Wtedy rozpoczął się najmniej chwalebny epizod w działalności jednostki. Jej nowym zadaniem miało być zlikwidowanie oddziałów polskiego podziemia niepodległościowego działającego na Podlasiu. Żołnierze brygady wzmocnili grupy operacyjne Urzędu Bezpieczeństwa i NKWD, których celem miało być rozbicie działających w okolicy oddziałów partyzanckich: 1. szwadronu 5. Wileńskiej Brygady AK, dowodzonego przez Zygmunta Błażejewicza „Zygmunta", oddziału Obwodu Bielsk Podlaski Armii Krajowej Obywatelskiej pod komendą Teodora Śmiałowskiego „Szumnego" oraz podległe mu jednostki Zygmunta Kamińskiego „Tura" i Władysława Łukasiuka „Młota" (późniejszego legendarnego dowódcę 6. Wileńskiej Brygady AK). Już w czerwcu część brygady wzięła udział w obławach. Po dwóch miesiącach walk, 25 lipca 1945 r., pod Drohiczynem w walce z siłami komunistycznymi poległ „Szumny". W trakcie działań żołnierze brygady uczestniczyli w egzekucjach i licznych aresztowaniach. W wyniku całej operacji zatrzymano kilkadziesiąt osób podejrzanych o sprzyjanie podziemiu.

W kolejnym miesiącu 1. Brygada Pancerna kontynuowała akcje przeciw partyzantom. Mimo obowiązującej amnestii po uzyskaniu dodatkowych rozkazów podjęto działania przeciw oddziałom „Zygmunta", „Młota" oraz Kazimierza Parzonki „Wichury". 9 sierpnia pod wsią Zaleś w wyniku walk ranny został Lech Beynar „Nowina", znany jako Paweł Jasienica. Mimo to żołnierzom podziemia udało się wyrwać z obławy. Walki z partyzantami trwały do końca miesiąca. Następnie, wobec niepowodzenia całej operacji, brygada została wycofana z Siedlec. Trafiła do koszar w Legionowie pod Warszawą, gdzie rozpoczęła się jej demobilizacja. Większość służących w jednostce Rosjan wkrótce powróciła do Związku Radzieckiego.

Fot. Polfilm/East News

eprasa.pl 5bce68f2a2



Typ niepokorny

Robił wiele, by z jednej strony pokazywać talent, a z drugiej – szargać sobie opinię. W najnowszej edycji show „Taniec z gwiazdami” Sebastian Fabijański odbudował wizerunek. I ma szansę wrócić do pierwszej medialnej ligi

Fot. Jacek Kurnikowski, Mieszko Piętka/AKPA MATERIAŁY PRASOWE POLSAT

eprasa.pl 5bce68f2a2



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

„Jestem zwykłą dziewczyną, która »zna« Cię z portali plotkarskich. Moje zdanie o Tobie nie było za dobre, przepraszam. Dzięki TzG zmieniłam je. Trzymaj się. Jesteś megazdolny na wielu płaszczyznach i [...] wydajesz się być miłym człowiekiem. Tyle i aż tyle" – to jeden z wielu komentarzy, pisanych w podobnym tonie, przy okazji udziału Sebastiana Fabijańskiego w „Tańcu z gwiazdami".

18. edycja show zakończy się 10 maja, ale niezależnie od tego, do kogo trafi główne trofeum – Kryształowa Kula i 200 tys. zł (faworytką jest Magdalena Boczarska) – to właśnie Fabijański wydaje się największym beneficjentem programu.



WBREW NOKAUTOM

Mimo jego niewątpliwego aktorskiego talentu, zaangażowania i pasji wielu stawiało już na nim krzyżyk. Przez ostatnie lata skutecznie pracował na medialny, zdrowotny i emocjonalny „zjazd". Równia pochyła wyglądała na coraz bardziej stromą, ale m.in. dzięki udziałowi w „TzG" podniósł się po wcześniejszych, nie tylko wizerunkowych nokautach.

Dzięki wielowymiarowości, którą sukcesywnie odsłaniał (także na potrzeby show), nie dał się spektakularnie pokonać (jak to miało miejsce na deskach Fame MMA) i nie wykruszył się z tanecznej gwiazdorskiej stawki. Wręcz przeciwnie. Nagle okazało się, że ma w sobie jeszcze bardzo wiele niewykorzystanego potencjału, że w żelaznej dyscyplinie tanecznych treningów wzmacnia nie tylko mięśnie, lecz także prostuje mentalne i osobowościowe zawirowania. Że cotygodniowy cel – jak najlepsze zaprezentowanie się na parkiecie, przywołuje doświadczenia sprzed lat – pasji i marzeń z piłkarskiego boiska, a także z młodzieńczego grania hip-hopu.

BEZ ZBĘDNEGO BAGAŻU

Pozostał „typem niepokornym" (nie bez powodu wyrzucono go ze studiów aktorskich już po pierwszym roku; co znaczące – wrócił na studia, choć na inną uczelnię i ukończył ją w 2015 r.). W ostatnim czasie był też postrzegany jako medialna postać z zagmatwaną i kontrowersyjną przeszłością. Mimo takiego „bagażu" z odcinka na odcinek coraz skuteczniej „odbijał się" od deprymujących go dawniej sytuacji i ocen.

Może nie przeszedł w „TzG" spektakularnej fizycznej przemiany. W jego zachowaniu i gestach pozostały ślady „swojskiego" macho, ale pokazał też, że ma w sobie znacznie więcej, niż wydawało się w pierwszych odcinkach programu. Więcej nie tylko waleczności, determinacji, talentu, potencjału, lecz także pozytywnego nastawienia, otwartości, plastyczności i emocjonalności. Być może części widowni przypomniało się, jaką rolą – przed laty – podbił serca przede wszystkim młodych ludzi.

Jako chłopak Sebastian Fabijański marzył o karierze piłkarskiej (dzieląc też pasję swojego ojca – wiernego kibica warszawskich klubów). Przed telewizyjne kamery trafił dzięki... przeświadczeniu swojej mamy, że ma w sobie również inne talenty niż sportowe.

W 2009 r. po raz pierwszy zyskał popularność, grając w serialu „Tancerze" głównego bohatera – nastolatka, który bez artystycznego zaplecza, ale z wielką determinacją walczy o swoje miejsce na parkiecie.

ZNÓW WSZYSTKO ZAGRA

Do tańca – powiązanego z pierwszą pasją (piłką nożną) – wrócił na planie musicalu #WszystkoGra z 2016 r. (gdzie musiał się poddać ciężkiemu treningowi pod okiem Agustina Egurroli), by po dekadzie (podczas której tyle się w jego życiu wydarzyło) znów trafić na parkiet. Tym razem telewizyjnego show, które okazało się dla niego zarazem najlepszą terapią, jak i autoprezentacją.

eprasa.pl 5bce68f2a2



Fot. Jacek Kurnikowski, Mieszko Piętka/AKPA MATERIAŁY PRASOWE POLSAT

Fabijański podkreślał przed laty, że to nie presja boiska, ale aktorstwo wymusiło na nim pracę nad ciałem. Nie miałby tyle samozaparcia, by tak ostro trenować. Tymczasem kolejne produkcje wymagały od niego określonych sprawności. Począwszy od „Tancerzy" przez seriale „mundurowe": „Misja Afganistan" i „Strażacy", wspomniany musical „#Wszystkogra" oraz film „Gwiazdy" (2016), gdzie wcielał się w zawodowych piłkarzy, po „Pitbulla. „Niebezpieczne kobiety", gdzie zagrał psychopatycznego „Cukra", czy serial „Belfer" (również jako zakochany bandyta Adrian udowadniał, że potrafi odnaleźć się w rolach twardych mężczyzn).

„Musiałem doprowadzić się do konkretnego wyglądu, którego nie osiągnąłbym bez ostrego treningowego i dietetycznego reżimu" – wspominał Fabijański.

Przygotowując się do przełomowego „Kamerdynera" (2018) w reżyserii Filipa Bajona, nauczył się jeździć konno i grać na pianinie, ale to ekranowy czas tej historii okazał się największym wyzwaniem. W rolę osieroconego kaszubskiego chłopca, przygarniętego przez arystokratyczną familię, wchodził jako ekranowy 15-latek, a zamykał ją z bagażem doświadczeń 45-letniego mężczyzny.

OBCIĄŻONY UMYSŁ I SERCE

Coraz bardziej wyczerpujące (zarówno dla człowieka, jak i aktora) wyzwania zaczął podejmować ok. dekady temu. Wraz z nimi przyszły rosnące, fizyczne i psychiczne obciążenia. Już postać „Cukra" wymuszała „zanurzenie się w mroczny, ciemny, obciążający umysł i serce, świat. Odnalezienie go w sobie, a potem odchorowanie". Fabijański deklarował: „Fascynuje mnie w aktorstwie dochodzenie do swoich granic, pokonywanie oporu materii, świadomość walki, jaką muszę stoczyć. Gdy w efekcie czuję zmęczenie po zdjęciach, po filmie. Psychiczne i fizyczne. To definiuje moją zawodową drogę: każda rola musi mnie kosztować. Wtedy wiem, że jestem i postaci, i filmowi potrzebny".

Wypowiadając te słowa, chyba nie do końca zdawał sobie sprawę, jakie skutki mogą przynieść podobne role. Zwłaszcza gdy nałożą się jeszcze na nie stresogenne, pozafilmowe sytuacje. Gdy nadejdzie osobiste doświadczenie straty bliskiej osoby, a potem wywracająca wszystko do góry nogami pandemia.

W STARCIU Z DEMONAMI

Jakiś czas temu Sebastian Fabijański otwarcie przyznał się do walki z poważnymi problemami psychicznymi, w tym z depresją, stanami lękowymi i atakami paniki, które nasiliły się po śmierci jego ojca w 2017 r. Nie ukrywał 10-tygodniowego pobytu w prywatnym szpitalu psychiatrycznym ani trwającej nadal terapii. Jej efekty widać.

Aktor potrafi już obiektywnie mówić m.in. o burzliwym związku z Maffashion, czyli Julią Kuczyńską, matką swojego sześcioletniego syna Bastiana (jak podkreśla, ojcostwo to dla niego niezwykle budujące i cenne doświadczenie). Nie wypiera się też afery obyczajowej, w którą uwikłał się parę lat temu czy zaskakujących celebryckich walk Fame MMA, na które się zdecydował.

Co znaczące, nawet w najtrudniejszym czasie, mimo bardzo dużego prywatnego rozchwiania, Fabijański nie rezygnował z grania. Często podkreślał, że budowanie ról to dla niego również forma terapii. Skupiony na zadaniu udowadniał, że największe psychiczne obciążenia nie pozbawiły go aktorskiego nerwu i talentu. W otwierającej ten rok megaprodukcji „Dziki" Macieja Kawulskiego stworzył zapadającą w pamięć postać diabolicznego inkwizytora.

Zupełnie inny, choć równie poruszający, był tytułowy bohater „Powstańca 1863" (premiera w 2024 r.). Propozycja udziału w tym projekcie przyszła do aktora w najtrudniejszym, jak ocenia, okresie. „W czasie, kiedy – prywatnie – czułem się niepotrzebny, zbędny i odrzucony, robiłem film o człowieku, który był kompletną odwrotnością mojego stanu. Był potrzebny, przygarnięty, kochany. I to też było dla mnie bardzo ważne".

NIEIDEALNY, ALE W DRODZE

Nawiązując nie tylko do przydomka nadanego legendarnemu dowódcy w sutannie (ks. Brzósce) przez Rosjan, aktor po tej roli chyba po raz pierwszy zaczął przyznawać, na ile znacząca była dla niego duchowość granej postaci. On, który znakomicie odnajdywał się w kostiumie („Kamerdyner", a także „Legiony" czy „Panie Dulskie"), grając też u Patryka Vegi czy walcząc na ringu Fame MMA, szukając artystycznego wentyla bezpieczeństwa m.in. w hip-hopie (wydał pięć albumów), przyznawał: „jestem totalnie pogubionym gościem w wielu aspektach. [...] Gdybym tylko bólu i cierpienia mógł sobie nie wybrać, ale one znajdują mnie same...".

Dziś coraz częściej mówi o swojej „wędrówce przez wiarę i pojęcie Boga". Wspomina też o artystycznym, pozaaktorskim sposobie definiowania siebie na nowo i uwalnianiu emocji. Nie tylko kontynuuje śpiewanie (podczas koncertu „Premiery" tegorocznego 63. Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu wykona w duecie z Daryą utwór „Nieidealna"), lecz także maluje (jeden z najnowszych obrazów ofiarował na rzecz głośnej akcji youtubera Łatwoganga).

eprasa.pl 5bce68f2a2





HITY i KITY ZAREMBY

Olga Tokarczuk o zabijaniu myśliwych

Adaptacja powieści Olgi Tokarczuk w Teatrze Narodowym to spektakl sprawnie zrobiony i dobrze zagrany. „Prowadź swój pług przez kości umarłych" ma budzić w nas moralny sprzeciw wobec polowań i ja go podzielam. Jednak nie zaakceptuję pochwały zabijania ludzi, nawet jeśli to tylko metafora

Powieść wydano w 2009 r. Dzieje się w Kotlinie Kłodzkiej, dziś głośnej z powodu innych zdarzeń. To mała ojczyzna pisarki. Czy istotnie polowania na zwierzęta to tak istotny składnik tamtejszego życia, że outsiderka Janina Duszejko musi się czuć osaczona nimi? Taka jest literacka wizja artystki.

Dla Olgi Tokarczuk przyroda to podstawowy punkt odniesienia. Tak ważny, że w sadze „Prawiek i inne miejsca" najgorszym, co zobaczyła w stalinizmie na polskiej wsi, także były polowania na zwierzęta. Nie było polowań na ludzi, nie było nawet kolektywizacji. W przypadku książki „Prowadź swój pług..." konfrontacja z naturą to jedyny temat. Pani Duszejko nie tylko chce powstrzymać polowania, lecz także ogłasza, że zwierzęta są równie wrażliwe i mądre jak ludzie.

Ten utwór jest niejako kryminałem. Giną kolejni ludzie mający na sumieniu krzywdzenie zwierząt. Duszejko twierdzi, że to przyroda dokonuje pomsty. Czy jednak sama nie ma czegoś wspólnego z tymi śmierciami? Powieść doczekała się adaptacji filmowej. To „Pokot" Agnieszki Holland, pamflet na „prawicową" prowincję. Teatr Narodowy wystawił wersję Ewy Platt, w adaptowaniu tekstu pomagał jej Miłosz Markiewicz. Wypełnili oni podobno ostatnią wolę Piotra Cieplaka, który przymierzał się do wystawienia tego tekstu na scenie.

Ta adaptacja płomiennego wyznania wiary Tokarczuk jest bardziej kameralna niż film. Redukuje wątki poboczne, koncentrując się na aktywności pani Duszejko, czyli na dokonywanej przez nią zemście. Wszystko dzieje się na pustej, choć przysypanej ziemią scenie (scenografia Anna Rogóż). Jedynym elementem dekoracji jest tu ogromna myśliwska ambona, z której pod koniec kazanie wygłosi ks. Szelest, duchowy patron myśliwych.

Podzielam sprzeciw pisarki wobec rozrywek myśliwych, owego smarowania się krwią zwierząt przy akompaniamencie absurdalnych rytuałów, tych opowieści, że to dla dobra ofiar. Bynajmniej nie wszyscy konserwatyści to lubią (Jarosław Kaczyński). Zarazem wiara w racje przyrody, zawsze ważniejsze niż racje człowieka, wydaje się prowadzić narrację Tokarczuk w ślepy zaułek. Czy na pewno trzeba zaniechać zbierania drewna, bo w każdym pniu znajdują się larwy rzadkiego gatunku chrząszcza?

Mamy kilka efektownych scen, najbardziej sugestywną jest kostiumowy bal grzybiarzy. Tyle że wszelkie fabularne dygresje są tu przykryte jednym fundamentalnym tematem: myśliwi zasługują na karę. Pisałem to przy okazji premiery filmowego „Pokotu" i napiszę raz jeszcze: uznanie, że taki odwet na ludziach za krzywdy czynione zwierzętom jest usprawiedliwiony, to dla mnie okrutny zabobon. Autorka próbuje nas do tego przekonać. W moim przypadku to wysiłek bezcelowy.

Ta teza czyni skądinąd artystyczne ozdobniki jedynie dekoracją dla publicystycznego wywodu. Oczywiście Dominika Kluźniak jako Janina Duszejko, młodsza niż w powieści i w filmie, znakomicie buduje postać kobiety kruchej, pogubionej, a jednak przeraźliwie twardej. Reszta to postaci drugoplanowe, świetnie zagrane przez Oskara Hamerskiego, Adama Szczyszczaja, Wiktorię Gorodecką, Justynę Kowalską, Pawła Paprockiego, Karola Pochecia, Magdalenę Warzechę, Jacka Mikołajczaka, Piotra Grabowskiego i Mirosława Konarowskiego. Tworzą oni okrutny klimat tej przypowieści, której wymowy, produktu progresywnego, „ekologicznego" radykalizmu, niestety przyjąć nie mogę.

Piotr Zaremba

Fot. Przemysława Jendroski/Teatr Narodowy

„Popiół i diament", czyli pół prawdy

Film „Popiół i diament" został właśnie dołączony do zbiorów filmowej klasyki Netfliksa. Zbiega się to z 100. rocznicą urodzin Andrzeja Wajdy. To jeden z ważnych polskich filmów. Ale jeśli chcieć go uznać za źródło historyczne, wchodzimy w ślepy zaułek

Najpierw była powieść Jerzego Andrzejewskiego z 1948 r. Podobno napisał ją na zamówienie szefa PPR-owskiej propagandy Jakuba Bermana. Pierwszego dnia po wojnie AK-owiec Maciek Chełmicki zabija sekretarza PPR Szczukę. Andrzejewski pokazuje zabójcę jako normalnego młodego człowieka, ale błądzącego. Racje historyczne są w pełni po stronie nowej władzy. Mimo to pisarz został zmuszony do składania samokrytyki i poprawiania powieści.

Andrzej Wajda nakręcił adaptację filmową w 1958 r. Korzystając z atmosfery postalinowskiej odwilży, dodał nowe sceny. Pamiętam moje zaskoczenie, kiedy oglądałem ten film w latach 70. Ubek bije innego antykomunistycznego partyzanta po twarzy. „Strzelasz do ludzi" – mówi. „A pan do wróbli?" – pyta chłopak. Wydawało mi się to wtedy bardzo odważne. Film czasem powtarzano, a zarazem w następnych PRL-owskich epokach nawet ten rodzaj prawdy nie był już dopuszczany przez cenzurę.

Obraz jest kręcony sugestywnie, trudno zapomnieć gorączkową atmosferę świętującego koniec niemieckiej okupacji hotelu w prowincjonalnym mieście. Albo wędrówkę Maćka Chełmickiego z nowo poznaną dziewczyną do kościoła. Albo tragikomiczną postać sekretarza prezydenta miasta, granego przez Bogumiła Kobielę. To od „Popiołu i diamentu" zaczęła się legenda Zbyszka Cybulskiego grającego Maćka jako nowoczesną, zbuntowaną postać.

Delektując się filmowymi smaczkami, warto jednak pamiętać, że nie pokazywał wprawdzie powojennej historii w duchu topornej propagandy, ale nie wychodził poza schemat co najwyżej wojny domowej, w której każda ze stron „miała swoje racje", a nowa władza w sumie miała ich więcej. Dobrotliwy sekretarz PPR Szczuka to postać kompletnie sztuczna. A metaforyczna śmierć Maćka na śmietniku mogła wielu Polaków, odczuwających nowy system jako okupację, po prostu urażać.

I ten podział w spojrzeniu na skądinąd efektowny film trwa do dziś. Gdy ktoś mi kiedyś powiedział, że to najlepszy nakręcony obraz o „wyklętych", mogłem się tylko popukać w głowę.



Fot. Zespół Filmowy „Kadr"



„DRAMA" – MAŁO ROMANTYCZNA, ALE DO OBEJRZENIA

Ten film Kristoffera Borgliego nie przynosi nowych prawd ani przełomu w naszej wiedzy o świecie. Jest tylko zgrabną satyrą na ludzkie słabości. A jednak to się naprawdę dobrze ogląda

Borgli jest Norwegiem, ale nakręcił film amerykański i dziejący się w Ameryce. Względnie młoda para, Amerykanka i Australijczyk, ma wziąć ślub. Zdawałoby się, że dwa lata chodzenia ze sobą dają możliwość, by się poznać. Ale wystarczy kolacja ze ślubnymi świadkami, podczas której każdy musi się zwierzyć z czegoś szczególnie strasznego, co zrobił w życiu, aby między Charliem i Emmą zapanowała nieufność. Lęki są uniwersalne, choć ufundowane na typowo amerykańskich obsesjach.

Film jest reklamowany jako komedia romantyczna. W kilku miejscach bywa zabójczo zabawny, ale romantyzmu w nim nie za wiele, może w samym finale. Mamy za to stare prawdy o niepewności, którą zawsze wnosi do naszego życia związek. Ofiarą dopiero co poznanej tajemnicy wydaje się Charlie, ale czy jego reakcje są zachowaniami w pełni dojrzałego faceta? Zresztą za ofiarę można też uznać Emmę. Wszystko zależy od punktu widzenia. Gdy zaś dodać galerię drugoplanowych postaci, które niekoniecznie pomagają młodym we wzajemnym zrozumieniu, oraz klimat charakterystycznego chaosu przed weselem...

Charliego gra nieco już „postarzały" Robert Pattinson, dawny wampir z cyklu „Zmierzch", jeden z wielu Batmanów, teraz już 40-letni. Emmą jest nieco ciemnoskóra 29-letnia Zendaya, modna aktorka i piosenkarka, gwiazda ostatnich „Spidermanów" czy trzech kolejnych „Diun". Dają popis zgrabnych, psychologicznych, cokolwiek podszytych komizmem ról. Ale może nawet bardziej zapamiętuje się Alanę Haim jako Rachel, świadkową. Chyba każdy musi czasem trafić na tak upiornych przyjaciół.

Sporo tu zwyczajnego rytmu życia, który odkryjemy również na swoim podwórku. Choć w Polsce, dzięki Bogu, nie ma strzeleckich masakr w szkołach. Ale może i to przed nami?

Fot. Monolith Films



BOHATEROWIE „SNU NOCY LETNIEJ" I „THE FAIRY QUEEN"*

Oczarowani w czasie i przestrzeni





Czy można się zagubić i zarazem odnaleźć w mitycznym lesie Williama Szekspira, przeniesionym potem do opery Henry'ego Purcella, a dziś w niezwykły sposób wykreowanym na historycznej scenie Teatru Stanisławowskiego?

Taką niezwykłą i czarowną podróż, łączącą odległe czasy i odczytania ze współczesnymi kontekstami w fantastycznej i poszerzającej przestrzeń oprawie proponuje widzom Polska Opera Królewska w swojej najnowszej premierze – „The Fairy Queen".

Spektakl w reżyserii, scenografii i z projekcjami Kamili Siwińskiej, zrealizowany w 410. rocznicę śmierci Szekspira, ponad trzy wieki od premiery opery Purcella (1692) i ponad dwa od otwarcia królewskiej sceny w Łazienkach (1788) to pełna niespodzianek wędrówka w czasie, przestrzeni i scenicznej estetyce.

Inspirowane „Snem nocy letniej" dzieło jest formą charakterystyczną dla angielskiego baroku, tzw. maską, łączącą teatr dramatyczny z muzyką, śpiewem (w tym chóralnym) i tańcem.

Dzięki najnowszym możliwościom technicznym i niemal nieznającej ograniczeń wizualnej wyobraźni Kamili Siwińskiej kameralna scena Teatru Królewskiego w Starej Oranżerii niewiarygodnie rozsunęła swoje historyczne i fizyczne ściany, zabierając widzów w wielowymiarową drogę. Także współczesnych odczytań tekstu, zjawiskowych kostiumów (Doroty Kołodyńskiej), scenicznego ruchu i (co w angielskiej operze barokowej również nie bez znaczenia) muzycznej wyobraźni, interpretacji oraz prowadzenia orkiestry (Krzysztof Garstka).

Warto też wspomnieć, że pięć lat temu Kamila Siwińska wystawiła w Teatrze Królewskim napisaną w 1946 r. przez Benjamina Brittena operę „Gwałt na Lukrecji". Tym samym tytułem osiem lat wcześniej zadebiutowała jako reżyser operowy. Wtedy zrealizowała spektakl w... hali dawnej warszawskiej drukarni PAP, przy ul. Mińskiej 65 (od października ub.r. obiekt ten jest wpisany do rejestru zabytków).

Dziś pytana o „industrialne początki" Siwińska nie kryje, że znów mogłaby się artystycznie odnaleźć w takiej przestrzeni, ale ma też inscenizacyjne pomysły związane z historyczną strukturą Łazienek Królewskich.

Jolanta Gajda-Zadworna

**Najnowszej premiery Polskiej Opery Królewskiej*

Fot. K. Jóźwiak, materiały Polskiej Opery Królewskiej

eprasa.pl 5bce68f2a2



SŁODKO-SŁONY

Zupa gryczana z rybą

ANNA MONICKA

Kiedyś koleżanka zaprosiła mnie na zupę. Dzień był słoneczny, ale tak chłodny, że przemarzłyśmy do szpiku kości. Zawsze eksperymentowała w kuchni, była mistrzynią wegetariańskich przekąsek, sama piekła chleby i wyszukiwała rolników, u których kupowała skrzynki pomidorów, żeby zrobić domowe soki i passaty. Zupą mnie zaskoczyła, bo nie wpadłabym na pomysł, by połączyć dorsza, kaszę gryczaną i mleczko kokosowe. Smak był doskonały, lekko pikantny, bo doprawiła ją na tajską modłę ostrą papryką i świeżą kolendrą.

Przypomniałam sobie o tej zupie właśnie teraz, bo uznałam, że idealnie rozgrzeje nam brzuchy w taką wiosnę, jak ta za oknem. Poza tym dostałam w prezencie kilka woreczków niepalonej kaszy gryczanej prosto od ekologicznego rolnika. Jeden postanowiłam od razu wykorzystać – z 0,5 kg wyszedł pokaźny garnek świeżutkiej i pachnącej hreczki. Dokupiłam do niej delikatne polędwiczki z dorsza grenlandzkiego i zabrałam się do dzieła. Pierwszy krok to gotowanie bulionu – nie musi być rybny, wystarczy solidna porcja warzyw: marchewka, pietruszka, seler, por, cebula, ząbek czosnku, kawałek obranego imbiru, ziele angielskie, listek bobkowy, kilka kulek pieprzu. Po godzinie na wolnym ogniu jest gotowy.

Następnie w głębokim garnku podsmażamy na oliwie posiekaną cebulkę, rozgnieciony ząbek czosnku, pokrojoną w drobne talarki ostrą papryczkę (zieloną lub czerwoną, bez pestek, żeby nie przesadzić z mocą) i starty imbir, a po kilku minutach doprawiamy do smaku zieloną pastą curry, która pod wpływem temperatury uwalnia całe bogactwo smaku. Na koniec dodałam wyjęte z wywaru pokrojone drobniutko seler, pietruszkę i marchewkę i zalałam wszystko bulionem. Kaszę wsypujemy od serca, bo zupa ma być gęsta i pożywna (biała jest delikatniejsza i ma mniej wyrazisty gryczany smak). Zaprawiamy mleczkiem kokosowym i wkładamy do wrzątku pokrojone w kawałki dorszowe polędwiczki. Ich mięso jest bardzo delikatne i gotuje się w kilka minut, więc nie mieszamy zbyt zamaszyście, chyba że zależy nam na tym, żeby się rozleciały. Możemy je też wcześniej usmażyć na maśle, doprawione tylko solą i pieprzem.

Tuż przed podaniem zupę skrapiamy sokiem z limonki i dodajemy odrobinę oleju sezamowego oraz natkę kolendry. Będzie miała bardziej cytrusowy smak, gdy oprószymy ją świeżo startą skórką z limonki.

Fot. Shutterstock, Fratria



WILCZYM OKIEM

Pustynna Polska

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Ostatnio z wiadomych powodów moje myśli często kierują się ku wodzie. Zapewne nie tylko moje. Przyczyny są oczywiste, bo niespotykanie mała ilość opadów w ostatnich tygodniach nie sugeruje już stepowienia Polski – o tym procesie mówi się od dawna – ale pustynnienie. Kiedy spadnie deszcz? I co zrobimy z wodą?

Jedna z hiszpańskich prowincji przez lata wegetowała, utrzymując swoje zapasy wody na poziomie kilkunastu procent maksymalnej pojemności zbiorników. By nie musieć skrajnie oszczędzać, potrzebowali ok. 40 proc. W tym roku dzięki wyjątkowym opadom zgromadzili przeszło 80 proc. Deszcze padały, a oni gromadzili – w zbiornikach naturalnych, które bardzo hołubią, i w zbiornikach sztucznych.

Zbiorniki sztuczne budzą wątpliwości, jeżeli wiążą się z przegradzaniem rzek tamami. Można jednak – o czym pisałem już nieraz – zastosować zbiorniki sztuczne nie na samej rzece, ale zasilane boczną, specjalnie wykonaną odnogą, która napełniałaby zbiornik w przypadku wezbrań, i z taką samą odnogą odpływową, która zapewniałaby przepływ, jakość i natlenienie wody. Wykonaną w ten sposób, by woda gromadziła się w zbiorniku i wypływała dopiero powyżej odpowiednio wysokiego poziomu. Takie zbiorniki mogą mieć różny charakter, np. być porośnięte lasem łęgowym, który potrzebuje okresowego zalewania. Przy okazji byłoby to odtworzenie siedliska, które w Europie niemal zanikło, a jest niezmiernie różnorodne gatunkowo. Tak funkcjonują lasy Amazonii – i właśnie do Amazonii bywają porównywane resztki europejskich łęgów.

Moim drugim postulatem jest inwentaryzacja rowów odwadniających. Zweryfikowanie, które trzeba zlikwidować. Zostały z dawnych czasów, często nie tylko niepotrzebne, lecz wręcz szkodliwe, kiedy wciąż odsysają resztki wody z suchych jak pieprz lasów, łąk i pól.

A co z wodą w miastach? Spływa, zalewając ulice, jeżeli spadnie deszcz. I bezpowrotnie znika w studzienkach, zamiast trafić np. do podziemnych zbiorników.

Nie szanujemy wody, a wysychamy. Do przetrwania potrzebujemy przemyślanego, skutecznego programu gromadzenia zasobów wodnych w dużych ilościach. Opracowanego mądrze, niezwłocznie i wdrożonego natychmiast. Woda stanowi narodowy priorytet. I nie sprawdzajmy na własnej skórze, że faktycznie tak jest.

eprasa.pl 5bce68f2a2



ROBERT TEKIELI

3 MIŁOŚCI

Satanic Convent

Zakaz reklamowania dzieciom zmiany płci i ochrona przed treściami LGBT+ są sprzeczne z wartościami europejskimi. Państwa członkowskie UE nie mogą skutecznie powoływać się na swoją tożsamość narodową. Minister Barbara Nowacka wprowadza do szkół lekcje buddyzmu – stosowne porozumienie z Polską Unią Buddyjską podpisano pod koniec marca. A ulegające mainstreamowej, rewolucyjnej normie władze miasta Krakowa zaakceptowały Satanic Convent: „W 2026 r. serce Krakowa stanie się centrum współczesnego satanizmu, filozofii wolności i niezależnej duchowości".

Zanotowane powyżej fenomeny to trzy pierwsze z brzegu informacje z mojego profilu na platformie X. Wyznaczają one medialną normę i opisują świat, któremu nasze dzieci już się nie dziwią. Oto efekt pracy pięciu pokoleń ludzi nienawidzących cywilizacji wywiedzionej z objawienia. Intelektualna praca nad nowym ukonstytuowaniem struktury myślenia współczesnego człowieka Zachodu rozpoczęła się bowiem 100 lat temu.

Głównym ośrodkiem krystalizacji idei była wtedy neomarksistowska szkoła frankfurcka (Horkheimer, Adorno, Marcuse, Habermas). Będące efektem tej pracy całkowite zakwestionowanie dotychczasowego ładu społecznego uzewnętrzniło się na ulicach i w kampusach Francji i USA w 1968 r. Kiedy rewolucja uliczna okazała się falstartem, zmieniono strategię i rozpoczęto marsz przez instytucje. Przygotowania do globalnej rewolucji trwały do zakończenia zimnej wojny. Gdy Zachód cieszył się końcem historii, w latach 1990–1996 pragmatyczni rewolucjoniści rozpoczęli etap globalnej promocji wypracowanych przez 20 lat idei przełożonych na działanie. Posłużyła do tego ONZ. W 1996 r. rozpoczął się etap wdrażania projektu. Na Zachodzie rewolucja relatywizmu zwyciężyła 15–20 lat temu. Zaczęły działać cenzura i aksamitny terror.

Światowy ład, którego rozbicie było celem cichej rewolucji, został ustanowiony po 1945 r. Powstała ONZ, wprowadzono prawa człowieka. Rewolucję kulturalną poprzedziło na Zachodzie odsunięcie Bożej transcendencji poza horyzont ludzkich zainteresowań. Przegrani 1968 r. od końca lat 60. zajmowali najważniejsze stanowiska w ONZ, która przyznała sobie monopol na rozstrzyganie kwestii etycznych, twierdząc, że jest jedyną organizacją zdolną do nadania globalizacji ludzkiej twarzy.

Rewolucja jest w stanie przeobrazić każdą kulturę w jej rozmemłane przeciwieństwo, a wytworzoną przez siebie papką potrafi „zaspokoić" wszelkie ludzkie potrzeby. Jej wrogami są prawda, dobro i piękno

W ciągu sześciu lat, od 1990 do 1996 r., ONZ zorganizowała serię bezprecedensowych konferencji międzynarodowych. Ich tematami były: edukacja (Jomtien), dzieci (Nowy Jork), środowisko naturalne (Rio de Janeiro), prawa człowieka (Wiedeń), ludność (Kair), rozwój społeczny (Kopenhaga), kobiety (Pekin), budownictwo mieszkaniowe (Stambuł), bezpieczeństwo żywnościowe (Rzym). Celem „procesu konferencyjnego" było zbudowanie nowego globalnego porozumienia w sprawie norm, wartości i priorytetów dla międzynarodowej społeczności nowej ery. Faza wprowadzania w życie tej spójnej wizji nowego światowego porządku rozpoczęła się ok. 1996 r.

Trzeba wyraźnie podkreślić sieciowy charakter tej rewolucji. Jej różne nurty wypływały z różnych źródeł, płyną obok siebie, czasami wręcz wchodzą w konflikt. Choć nie można wykluczyć punktowych inspiracji, ruch jest zarządzany poprzez modę. Celebryci, piosenkarze, aktorzy doskonale wiedzą, jakie postawy są nagradzane. Cicha rewolucja jest zdecentralizowana jak internet. Nie da się ściąć jej głowy.

Światowa rewolucja wylała się w Polsce na ulice, dziś wdziera się do szkół, opanowała uniwersytety, jej język zaczyna być przyswajany nawet przez konserwatywnych polityków. Dzisiejsza rewolucja nihilizmu jest czystą destrukcją, niczego nie tworzy. Rozcieńcza i dekonstruuje wszystkie instytucje i pojęcia.

Rewolucjoniści doskonale wiedzą, że kto panuje nad językiem, ten ma władzę. W ramach cichej rewolucji dokonują więc pojęciowych przesunięć: od „rozwoju" rozumianego jako wzrost do „zrównoważonego wzrostu" (sustainable development), od rządu (goverment) do „współrządzenia" (governance), od małżonków do „partnerów", od szczęścia do „jakości życia", od rodziny do „różnych form rodziny", od tożsamości kulturowej, do „różnorodności kulturowej", od głosowania na zasadzie większości do „kompromisu", od bezpieczeństwa międzynarodowego do „bezpieczeństwa człowieka", od wartości uniwersalnych do „etyki globalnej".

eprasa.pl 5bce68f2a2



Mamy też nową hierarchię wartości zawartą w języku politycznego mainstreamu. Przyjemność stawia się ponad miłością, zdrowie i dobre samopoczucie ponad świętością życia, prawa kobiet ponad macierzyństwem, etykę ponad moralnością, prawo wyboru ponad odwiecznym prawem wypisanym w ludzkich sercach, nową formę demokracji i humanizm ponad Bożym objawieniem, immanencję ponad transcendencją, świat ponad niebem, człowieka ponad Bogiem.

Szacunek dla kultury mamy traktować jako „podejście pełne wrażliwości kulturowej", a judeochrześcijańskie pojmowanie wartości jako równoznaczne z „zasadą słuszności". By moralne i teologiczne formowanie sumienia zastępować przez działania, które mają na celu „rozwijanie świadomości" i „uwrażliwianie", by zamiast nauczania o równej godności kobiety i mężczyzny zajmować się „włączeniem kwestii płci do głównego nurtu polityki" (gender mainstreaming), a w miejsce życia nadzieją bazującą na Bogu propagować „pozytywne myślenie", aby wolność w Chrystusie zamienić na „wolność wyboru". By zamiast zdrowej prokreacji promować „zdrowie reprodukcyjne", a zamiast troski o zdrowe matki i dzieci (poczęte lub narodzone) zabiegać o „bezpieczne macierzyństwo", by rezygnować z wychowania do abstynencji i wierności na rzecz kampanii nastawionych na „zmianę zachowania" (których celem jest upowszechnienie antykoncepcji), aby radość z dobrej nowiny o miłosiernej miłości Boga zamieniać na entuzjazm dla „praw człowieka", przywilejów i „braku dyskryminacji", a w końcu by spójny rozwój, pełen szacunku dla ludzkich wartości i kultur, mylnie utożsamiać z programem konferencji organizowanych przez ONZ.

Rewolucja nihilizmu jest spadkobierczynią protestantyzmu ze swą totalną teologią negacji, rewolucji francuskiej, która uwielbiła człowieka-boga aż po biały i czarny satanizm, rewolucji masońskiej w Meksyku, gdzie już w 1910 r. rewolucyjni terroryści postanowili zniszczyć Kościół katolicki, bolszewickiego puczu oraz rewolucji narodowo-socjalistycznej w Niemczech i Austrii.

Pole do działań operatorów cichej rewolucji oczyściła praktycznie całkowita sekularyzacja Zachodu w latach 50. XX w. W tę pustkę weszły neomaltuzjanizm, przemysł aborcyjny oraz ekonomicznie uwarunkowana mentalność propagatorów aborcji, ruch LGBT+, „filozofia" gender z dywizjami misjonarzy seksedukacji, radykalny feminizm, ideologiczny ekologizm wraz z „religijnością" wegetariańską, kult multi-kulti, ideologia ocieplenia klimatu wywołanego przez człowieka, ezoteryczny i okultystyczny New Age.

Rewolucja toczy niewypowiedzianą wojnę z zachodnim ładem społecznym, używając cenzury i jej narzędzi: poprawności politycznej i mowy nienawiści, aksamitnego terroru państwowego, postmodernistycznej rewolucji językowej, promowania m.in. przez ONZ uderzających w państwa narodowe mechanizmów decentralizacji i regionalizacji, nowoczesnej, najczęściej bluźnierczej sztuki, odbierającej piękno kolejnym pokoleniom.

Swoisty rewolucyjny „uniwersalizm" ujawnia się w nieustającym i pogłębiającym swe działanie procesie niszczenia tożsamości, rozmywania rozróżnień. Rewolucja jest w stanie przeobrazić każdą kulturę w jej rozmemłane przeciwieństwo, a wytworzoną przez siebie papką potrafi „zaspokoić" wszelkie ludzkie potrzeby. Jej wrogami są prawda, dobro i piękno. W końcu każdy ma swoją prawdę, nie oceniaj, gusta są różne.

Rewolucja jest antytożsamościowa. Walczy z każdą wyrazistą tożsamością – narodową, chrześcijańską oraz z instytucją rodziny i małżeństwa.

Efektem aksamitnej rewolucji przełomu XX i XXI w. jest nowa globalna etyka, której celem pozostaje wyparcie chrześcijaństwa oraz pozostałych religii będących fundamentem innych cywilizacji niż łacińska. Naprzeciwko siebie stoją zatem anty-Kościół i Kościół. Nowa globalna etyka próbuje zastąpić wartości uniwersalne, ścierają się światopoglądy ateistyczny oraz magiczny z chrześcijańskim, w szczególności z katolickim, alternatywny porządek globalny walczy z cywilizacją chrześcijańską, która zaczerpnęła z najlepszych tradycji monoteistycznego judaizmu, Grecji i Rzymu.

Zwycięstwo w tej wojnie dwóch paradygmatów rozstrzygnie o losach ludzkości.

Fenomen, o którym mowa, opisywałem wyżej jako neomaterialistyczną rewolucję kulturową neomarksizmu i postmodernizmu, dyktaturę relatywizmu, cichą rewolucję, rewolucję antywartości, globalną rewolucję kulturową, aksamitną rewolucję. Każde z tych pojęć ujmuje jakiś istotny rys tego zjawiska.

By nie nastąpiło ostateczne rozwiązanie kwestii cywilizacji zachodniej, musimy stać po stronie wartości uniwersalnych, rugując z kultury i polityki nową globalną etykę.

Rewolucja upadnie, tak jak upadła dyktatura jakobinów, jak zniszczono nazistowską watahę niosącą czarną śmierć, jak rozmywając się, przegrała zaprzeczająca ludzkiej naturze czerwona zaraza. Globalna rewolucja nihilizmu bazuje na błędzie antropologicznym i zaprzecza naturze świata, dlatego człowiek strząśnie ją wreszcie jak zużyty, przegniły i śmierdzący płaszcz.

My, katolicy, jesteśmy wezwani, by budować cywilizację miłości. Po klęsce rewolucji kulturowej świat już nie będzie taki jak przed rozpoczęciem tej nowożytnej rewolucji nihilizmu, ale będzie jakiś. My musimy sprawić, by był Chrystusowy.

Fot. siekierski.photo / Shutterstock.com

eprasa.pl 5bce68f2a2

OGNIEM NA WPROST

Zeżremy jeden drugiego



Andrzej Rafał Potocki

Moskal przechodzi samego siebie. Brytyjski dziennik „The Sunday Times" potwierdził przypadki, o których wcześniej informował ukraiński wywiad. Z analizy przechwyconych nagrań i zdjęć wynika, że u Kacapa w jednostkach dochodzi do aktów kanibalizmu. W jednej z podsłuchanych rozmów oficer opisuje żołnierza, który zabił dwóch kolegów, a potem próbował ich zjeść, używając do tego m.in. maszynki do mięsa. Portal Kresy24.pl. dodaje swoje: „Zeżremy jeden drugiego. Wszystko w pizdziec. A co tam, niech będzie. Trzeba tylko wybrać jakiegoś młodszego. Noże już naostrzyłem. Mnie tam wszystko jedno, którego zarżnę. Chcę żreć. I inni też" – mówi bojec ze zdjęcia, były łagiernik. Dla nich kanibalizm to nie pierwszyzna. Ten z fotografii, Denis Gorin z Sachalinu, był skazany na 22 lata za zamordowanie i zjedzenie 12 osób, ale wypuszczono go, wstąpił do wagnerowców i w 2023 r. Putin go ułaskawił. W 2024 r. ponownie ruszył na front i na szczęście został zabity. Wcześniej w podobny sposób wolność odzyskał Nikołaj Obołobiak, herszt satanistów z Jarosławia, skazany na 20 lat także za kanibalizm. Z kolei w czerwcu tego roku głośno było np. o żołnierzu 68. Dywizji Zmotoryzowanej, który zabił swojego kolegę i żywił się nim przez dwa tygodnie. Powód? Do kanibalizmu wśród Moskali dochodzi coraz częściej, od kiedy z powodu zniszczenia tras logistycznych do wielu pododdziałów przestały docierać dostawy żywności. „A wracajcie w cholerę do swojej dziczy" (słowa Napoleona po bitwie pod Pruską Iławą w 1807 r.). Pomyśleć, że w Polsce jest banda głupców, którzy chętnie wsparliby Putina. Smacznego!

Mongoły z Kremla, zdaje się, już cienko przędą. Bryndza zajrzała nie tylko do żołądków wygłodniałych bojców. Sławna defilada, która niegdyś odbyła się z Jaruzelskim jako gościem honorowym, spuszcza mocno z tonu. Kreml może w ogóle zrezygnować z wojskowej fanfaronady z obawy o bezpieczeństwo Putina i odwetowych ataków dronów ze strony Ukrainy – sugeruje „The Moscow Times". „Parada 9 maja, święty rytuał dla Moskali, odbędzie się na Placu Czerwonym bez pojazdów wojskowych, z udziałem jedynie kolumny maszerujących żołnierzy. Według moich źródeł uczestniczyć w niej będzie kilkuset gości zamiast tysięcy, jak dotychczas. Całe przedstawienie potrwa mniej niż godzinę. Maszyna propagandowa ogłosi, że taki był plan od początku i nie ma to nic wspólnego z dronami" – napisała w serwisie X była doradczyni Banku Kacapii i analityczka Aleksandra Prokopenko. Na czort wam parady, lepiej zżerajcie się nawzajem, a innym dajcie spokój.

Ruski dostaje baty nie tylko na Ukrainie, lecz także w afrykańskim Mali. Po przejęciu władzy przez juntę wojskową kierowaną przez Assimiego Goïtę Mali zdecydowało się zakończyć współpracę z Francją i zaprosić w jej miejsce ruskich najemników, wywodzących się z dawnej Grupy Wagnera, dziś funkcjonujących jako moskiewski Afrika Korps. Miało to przynieść stabilizację. Ale jak to z Moskalami. Jak informuje France 24, najemni bojcy zostali zmuszeni do opuszczenia bazy w strategicznie położonym mieście Kidal. Porozumienie w tej sprawie ogłosili tuaresccy rebelianci z Frontu Wyzwolenia Azawadu, działający w powiązaniu z ugrupowaniami dżihadystycznymi. To symboliczny moment, pokazujący ograniczoną skuteczność nowych sojuszników władz w Bamako.

Jeszcze bardziej dramatyczne wydarzenia miały miejsce w samej stolicy kraju. Według relacji Agencji Reutera powiązana z Al-Kaidą organizacja JNIM przeprowadziła skoordynowane ataki na kluczowe obiekty państwowe. W ich wyniku zginął minister obrony Mali gen. Sadio Camara. Islamiści ogłosili, że ich celem była „nie tylko rezydencja ministra, lecz także prezydent i międzynarodowy port lotniczy w Bamako". Za co się nie wezmą, wszystko spartolą. Nawet Afrika Korps.

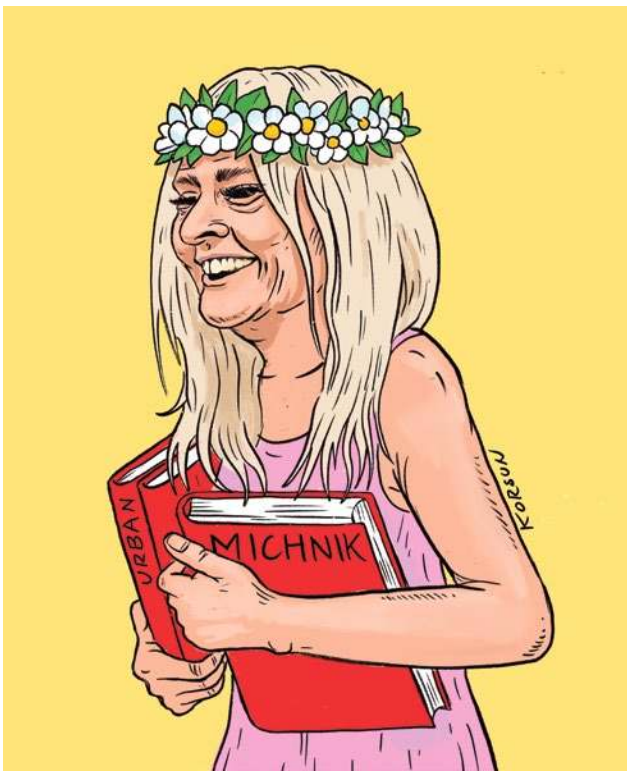
Jak podaje portal Militarny, Sztab Generalny Sił Zbrojnych Ukrainy planuje odejście od dotychczasowego modelu szerokiego szkolenia wojskowego za granicą na rzecz koncentracji całego procesu przygotowania żołnierzy w kraju. Kluczowym powodem zmiany jest rosnąca luka między doświadczeniem zachodnich instruktorów a realiami współczesnego pola walki na Ukrainie. „Zagraniczni instruktorzy są oderwani od naszych realiów i aktualnych działań bojowych" – wskazał Jewhen Meżywikin, zastępca szefa Głównego Zarządu Doktryn i Szkolenia Sztabu Generalnego. Według Ukraińców zachodni szkoleniowcy mają niewystarczające pojęcie o masowym użyciu dronów FPV, walkach w okopach i strefach zurbanizowanych, intensywnej artylerii i środkach walki radioelektronicznej, a także z szybką adaptacją taktyk na poziomie pododdziałów. Ostatnie manewry NATO, podczas których siły państw zachodnich poniosły sromotną porażkę w symulowanym starciu z SZU, dają wiele do myślenia.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5bce68f2a2

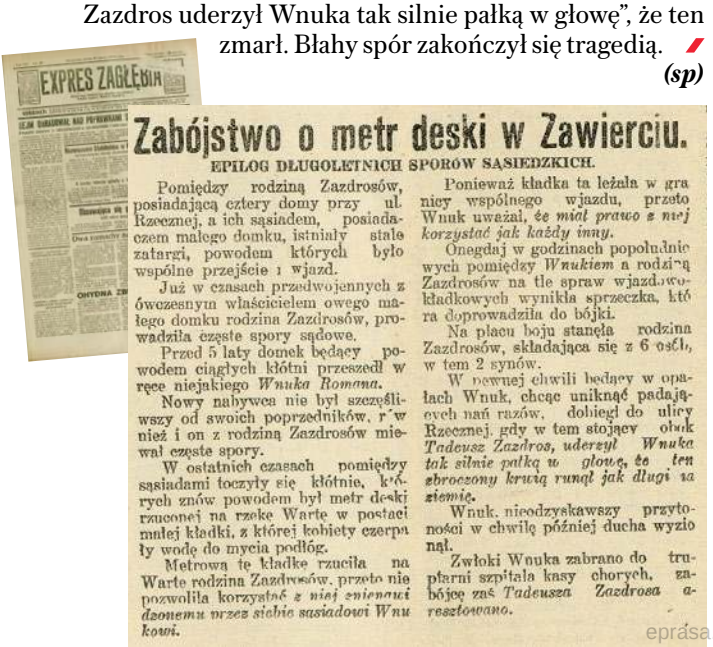
***Michał Korsun prezentuje:** Legenda Moniki Olejnik, ps. Stokrotka: apolityczna dziennikarka społeczna, recenzentka książek*



Wycinki z przeszłości

Każdy przeżył jakiś sąsiedzki spór. W 1933 r. „Express Zagłębia" opisywał konflikt w Zawierciu o... „metr deski rzuconej na rzekę Wartę w postaci małej kładki", z której czerpano wodę. Sąsiedzi kłócili się o to, kto może z niej korzystać. Wieloletnie zatargi przerodziły się w bójkę kilku osób, podczas której „Tadeusz Zazdros uderzył Wnuka tak silnie pałką w głowę", że ten zmarł. Błahy spór zakończył się tragedią.

(sp)


EXPRES ZAGŁĘBIA

Zabójstwo o metr deski w Zawierciu.

EPILOG DŁUGOLETNICH SPORÓW SĄSIEDZKICH.

Pomiędzy rodziną Zazdrosów, posiadającą cztery domy przy ul. Rzecznej, a ich sąsiadem, posiadaczem małego domku, istniały stałe zatargi, powodem których było wspólne przejście i wjazd.

Już w czasach przedwojennych z ówczesnym właścicielem owego małego domku rodzina Zazdrosów, prowadziła częste spory sądowe.

Przed 5 laty domek będący powodem ciągłych kłótni przeszedł w ręce niejakiego *Wnuka Romana*.

Nowy nabywca nie był szczęśliwszy od swoich poprzedników, r´w nież i on z rodziną Zazdrosów miewał częste spory.

W ostatnich czasach pomiędzy sąsiadami toczyły się kłótnie, których znów powodem był metr deski rzuconej na rzekę Wartę w postaci małej kładki, z której kobiety czerpały wodę do mycia podłóg.

Metrową tę kładkę rzucili na Wartę rodzina Zazdrosów, przeto nie pozwolili korzystać z niej sąsiadowi Wnukowi.

Ponieważ kładka ta leżała w granicy wspólnego wjazdu, przeto Wnuk uważał, że *miał prawo z niej korzystać jak każdy inny.*

Onegdaj w godzinach popołudniowych pomiędzy *Wnukiem* a rodziną Zazdrosów na tle spraw wjazdowo-kładkowych wynikła sprzeczka, która doprowadziła do bójki.

Na placu boju stanęła rodzina Zazdrosów, składająca się z 6 osób, w tem 2 synów.

W pewnej chwili będący w opałach Wnuk, chcąc uniknąć padających nań razów, dobiegł do ulicy Rzecznej, gdy w tem stojący obok *Tadeusz Zazdros, uderzył Wnuka tak silnie pałką w głowę, że ten zbroczony krwią runął jak długi na ziemię.*

Wnuk, nieodzyskawszy przytomności w chwilę później ducha wyzionął.

Zwłoki Wnuka zabrano do trupiarni szpitala kasy chorych, zabójcę zaś *Tadeusza Zazdrosa* aresztowano.

Z WOLEJA

Małpa i UEFA



Ryszard Czarnecki

Mecz Realu Madryt z Benfiką Lizbona przeszedł do historii z powodów pozafutbolowych. Chodzi o to, co argentyński piłkarz drużyny gospodarzy ze stolicy Portugalii powiedział brazylijskiemu piłkarzowi drużyny gości ze stolicy Hiszpanii. Językiem ojczystym Brazylijczyka Viniciusa Júniora jest oczywiście portugalski, językiem ojczystym Argentyńczyka Prestianniego – oczywiście hiszpański, ale oba języki należą do grupy romańskich, więc obaj piłkarze powinni się rozumieć. Zwłaszcza gdy jest to język obelg. Akurat zawodnik „Królewskich" strzelił gola Benfice, co raczej nie spodobało się grającemu w niej reprezentantowi Argentyny. W związku z tym ów przedstawiciel Albicelestes (Biało-Błękitni, bo w takich strojach grają rodacy Diego Maradony, Mario Kempesa i Diego Simeone) postanowił zwymyślać podwójnego sąsiada. Podwójnego, bo Hiszpania graniczy z Portugalią, a Argentyna z Brazylią. I zwymyślał. Od najgorszych. Gianluca Prestianni, mądra głowa niczym Koziołek Matołek z Pacanowa, literacki syn wielkiego Kornela Makuszyńskiego, sprytnie zakrył usta koszulką i dopiero wtedy wykrzyczał, co myśli o rywalu. Gdyby nie użył koszulki, nagrałyby to kamery, a specjaliści od czytania z ruchu warg mieliby od razu czarno (za przeproszeniem!) na białym, o jaki bluzg chodziło. I tu pojawiają się różnice w zeznaniach. Brazylijczyk mówi, że Argentyńczyk użył wobec niego epitetów rasistowskich. Argentyńczyk zaprzeczył. Francuski sędzia, przedstawiciel kraju, w którym „poprawność polityczna" jest niemal religią, przerwał spotkanie na 10 minut.

Po meczu wszczęto dochodzenie. Przyjęto na wiarę zeznania zawodnika drużyny zwycięskiej, że zawodnik drużyny przegranej nazwał go „małpą". Być może było to nawiązanie do tańca przy bocznej chorągiewce, który zaprezentował Brazylijczyk, gdy strzelił gola. Media rozpisywały się, że Argentyńczyk, owszem, obraził Brazylijczyka, ale nie na tle rasistowskim, tylko... homofobicznym? W domyśle sugerowano: zbrodnia, ale mniej ciężka.

Efekt końcowy: zawieszenie piłkarza Benfiki na sześć meczów. Dużo? Tak naprawdę na trzy, bo reszta w zawieszeniu. A tak całkiem naprawdę to na dwa, bo w jednym już nie zagrał. Radzę UEFA, aby opracowała precyzyjny cennik: za takie i takie słowa ban na tyle i tyle meczów. „Małpa" – już wiemy: sześć. A „pedał"? „Ch...j"? A gdy ktoś krzyknie na rywala „ślimak", że ten niby wolno biega – to ile? A jak ktoś usłyszy: „kaszalot", że niby ma nadwagę – to ile spotkań będzie „wisiał"? Oto problemy godne UEFA.

eprasa.pl 5bce68f2a2



OD A DO ZYBERTOWICZA

System trafia w punkt

By rozumieć świat, potrzebne są obie perspektywy. Punktowa czasem ogłasza alarm. Systemowa pozwala nie pomylić alarmu z diagnozą

Od lat zastanawiam się – jako badacz i wieloletni nauczyciel akademicki – jak to w istocie jest: czy faktycznie rozumiemy mechanizmy rządzące światem, czy tylko na nie reaktywnie odpowiadamy?

Wydawać by się mogło, że poprawna odpowiedź brzmi: tak, rozumiemy. Bo przecież rewolucja naukowo-techniczna, powszechna edukacja, wreszcie „demokratyzacja wiedzy" przyniesiona przez internet zaoferowały ludzkości – wyrwanej z religijnych przesądów – dobre rozumienie mechanizmów, które rządzą światem.

A TYMCZASEM…

…jest inaczej. Zamiast obiecanego rozumienia dominuje coś, co nazywam percepcją punktową: oświetlamy w polu uwagi pojedyncze zdarzenie, np. cytat, sondaż, skandal, wypowiedź, decyzję, i traktujemy je tak, jakby było całością.

Oczywiście daje to satysfakcję poznawczą typu „zrozumiałem!". To „poznanie" można nawet zapakować w 280 znaków, w nagłówek, w slajd dla zarządu firmy.

Perspektywa systemowa, która uchwytuje powiązania, sprzężenia zwrotne, długie horyzonty czasowe, jest znacznie trudniejsza. Wymaga pokory wobec złożoności, czasu na analizę, gotowości do zaakceptowania, że może nie być prostej pointy. W kulturze, która premiuje natychmiastowość i widzialność, analiza systemowa po prostu się nie opłaca. Dlatego te same problemy wracają jak bumerang. Wracają, bo nigdy nie zostały zrozumiane, lecz tylko skomentowane.

POLITYKA POLSKA

To przypadek modelowy. Ujęcie punktowe redukuje polską politykę do dramaturgii personalnej: kto kogo, kto wygrał debatę, czyje notowania spadły, kto popełnił gafę. „Zmieńmy ekipę! – i będzie dobrze".

Tymczasem od dekad reprodukują się te same pułapki. Słabe instytucje, których nie reformuje żadna ze stron (np. media „publiczne"), bo każda zastaje je w stanie wygodnym do użytku. Geografia ekonomiczna oddzielająca metropolie od regionów. Klientelizm zaszyty w mechanizmie nominacji. Długie cienie transformacji 1989 r. Wreszcie przyniesiona przez rewolucję cyfrową tzw. ekonomia uwagi, premiująca polaryzację ponad konsens.

Czasem myślę, że obecna scena wcale nie jest „starciem dwóch projektów". Mamy dwa obozy, ale osadzone w tej samej systemowej koleinie. Jeden obwinia drugi za skutki struktury, której obaj bywają beneficjentami. A dopóki widzimy tylko graczy, każda zmiana władzy wiąże się z pułapką wpadnięcia w stare systemowe pułapki. Mechanizm pozostanie i bumerang wraca cięższy.

SZTUCZNA INTELIGENCJA

To drugi przykład. Tu percepcja punktowa jest niemal kuriozalna w swojej powtarzalności. Raz AI „zabierze pracę", a innym razem „uratuje gospodarkę". Albo: „zakażmy", „uregulujmy" czy (to jest najgorsze) „wdróżmy w szkołach". W każdej z tych tez powtarza się ten sam gest – sprowadzenia technologii do narzędzia, które się obsługuje.

Tymczasem AI nie jest narzędziem w sensie, w jakim jest rower. To raczej infrastruktura poznawcza, zmieniająca warunki samego myślenia: zarządza naszą uwagą, przesuwa kompetencje, przekształca relacje między ekspertem a laikiem i – na domiar złego – między państwem a obywatelem.

Sztuczna inteligencja już działa w sprzężeniu zwrotnym z kapitałem, danymi i mocą obliczeniową, a te są koncentrowane w rękach nielicznych szybciej niż jakakolwiek regulacja. Krótkoterminowo AI zwiększa produktywność, długoterminowo może podmywać zdolność do samodzielnego sądu.

Punktowo widzimy tylko aplikacje w smartfonie. Tylko w ujęciu systemowym dostrzegamy warstwę, w której osadzą się nasze instytucje edukacyjne, prawne, polityczne. Zamiast pytać, czy wprowadzić AI, na poważnie rozważmy, w jakim kraju – ba, w jakiej formule człowieka obudzimy się za dekadę.

SYNTEZA

By rozumieć świat, potrzebne są obie perspektywy. Punktowa czasem ogłasza alarm. Systemowa pozwala nie pomylić alarmu z diagnozą. Tyle że nasze instytucje – polityka, media, korporacje, uniwersytety – są dziś skonstruowane tak, by nagradzać tę pierwszą i karać tę drugą.

Inwestycja w myślenie systemowe jest opłacalna w długim horyzoncie, lecz ciągle żyjemy w kwartalnych cyklach biznesowych i kilkuletnich wyborczych, żerujących na alarmach. Od przełamania tej asymetrii zależy więcej, niż się wydaje.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 5bce68f2a2

Zbieramy fundusze na mobilne centrum transmisyjne.
Chcemy być jeszcze bliżej widzów
i walczyć o polskie sprawy!

POMÓŻ NAM ODKRYWAĆ PRAWDĘ

wPolsce 24





Piotr Pawelec
prowadzący „Wiadomości"

wesprzyj.wpolsce24.tv

WSPIERAJ wPolsce24

Wesprzyj niezależne media

numer konta:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

tytuł wpłaty:

DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 5bc...582...

wPolsce 24

Wierzbicki Biedroń

mówią jak jest



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl 5bce68f2a2